



POD ZŁĄ GWIAZDĄ

SAGA RODZINNA

EWA POPLAWSKA



OFICYNKA
WYDAWNICTWO



POD ZŁĄ
GWIAZDĄ
SAGA RODZINNA

EWA POPLAWSKA



I



*K*olejny rok rozpoczął się dla mieszkańców Łodzi spokojnie i powiadano, że dawno nie było tak bezpiecznie na ziemiach wschodniej Wielkopolski. Miasta i okoliczne wsie ukochały sobie ten spokój i Polacy spoglądali w przyszłość z coraz większą pewnością. Choć na wątych polach mało co rosło, a zwierzyny hodowlanej nie było tyle, co kiedyś, wydawało się, że do niewielkiej Łodzi powrócił spokój.

– Panie łaskawy, daj urodzaj tego lata – powtarzano w kościele, w karczmach i na placach.

Każdemu w Rzeczpospolitej zależało, by ziemia, w którą wsiąkło tyle krwi, dała plony i dostatek. Dobrobytu już prawie nie pamiętano.

Tak to było we wschodniej Wielkopolsce, a zwłaszcza na Ziemi Sieradzko-Łęczyckiej. Teren, na którym przyszło żyć łodzianom, był nie tylko kapryśny, lecz także pełny niespodziewanych wylewów i susz. Bagna rozciągały się tam dookoła, tak że czasem nawet przyjezdni, którzy jechali głównymi traktami, mieli problem z końmi zapadającymi się w muł. Kapryśnie wylewał kręty Jasień. Nieprzyjazna była ta ziemia.

Oprócz bagien i zwodniczych torfowisk Łódź otaczały mroczne bory, zza których próżno było dostrzec choćby prześwit zachodzącego słońca. Świetlista kula migotała w zenicie, ale pod koniec dnia oświetlała już tylko drewnianą wieżyczkę kościoła i Górki Plebańskie, na których spoczywali zmarli. Zza cmentarza wybiegała czasem tęczowa łuna i rozwijała się niby długi, kolorowy jęzor. Łodzianie przystawali wówczas i obserwowali niezwykle zjawiska, ciesząc się, że planetnicy kierujący pogodą zsyłają słońce po deszczu.

Domów było niewiele, a rodzin jeszcze mniej. Niektóre budynki stały puste i niszczały smętnie. Rozpamiętywano, kto w nich niegdyś mieszkał. Starsi łodzianie pamiętali, że przed najazdem szwedzkim i zarazą było tu więcej bogatszych ludzi. Niektórzy uciekli, innych wymordowano. Ostatni rok także nie przyniósł ukojenia, bo w całej Wielkopolsce powtarzano sobie imię diabelskie, skalane krwią Polaków, tak mieszczan, jak i chłopów. Z przerażeniem wspominano Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, który szwendał się po Rzeczpospolitej i napadając na miasta, wyrządzał wielkie szkody. Łodzian nie oszczędził okrutny los. Dlatego wciąż pamiętano, że nieprzyjaciel króla krąży nad Wielkopolską jak sęp, a jego żołnierze niczego się nie boją.

Wśród tej przerażonej ciżby, w domu blisko rynku, mieszkała rodzina Sobótków nad wyraz spokojna i szanowana, nie tyle z powodu majątku, ile grzecznego usposobienia i pobożności. Było ich czworo. Zofia i Ryszard, i jeszcze córka Wanda, dziewczyna energiczna i uprzejma. Złote włosy zaplatała zwykle w warkocz i wiązała na końcu wstążkę kolorem pasującą do humoru i okazji. Nie była ani piękna, ani brzydka, choć łódzcy chłopcy stale oglądali się za nią. Miała w sobie bowiem rzadko spotykaną beztroskę.

W domu Sobótków mieszkał też najstarszy łodzianin, dziaduszek Jerzy. Człek z niego był wyjątkowo uparty. Nawet ksiądz nie mógł go przekonać do swoich racji. Niektórzy po cichu podśmiewali się z dziaduszka, plotkując, że zapomina imion sąsiadów. Ale bardzo cenili go za mądrość i pogodę ducha.

Wanda była pomocną córką. Ostała się w domu jedna, bo jej siostra Jadwiga wyszła za kupca ze Rzgowa i tam zamieszkała. Wanda nie miała więc komu powierzyć swoich tajemnic. Od dziewcząt miejscowych nie stroniła, ale zawsze powściągliwie traktowała ich zapewnienia o przyjaźni. W Łodzi nic bowiem nie mogło pozostać tajemnicą. O tym, co jedna powiedziała drugiej w zaufaniu, na drugi dzień wiedziało całe miasto. Toteż Wanda nikomu nie mówiła o swoich myślach, a nawet nie miałyby o czym, bo dziewczę było z niej proste i uczynne. Jeśli nie pojawiłaby się na mszy lub szukała po szynkach męża, zaraz całe miasto by o tym rozmawiało.

Każdy w Łodzi był bowiem obserwatorem, a jeśli nawet ktoś czegoś nie zauważył, to zaraz sąsiad opowiedział. Nic nie mogło pozostać tajemnicą, oprócz jednego. Mieszkańcy głowili się nad tym, kto jest ojcem bękarta Grosikówny – Stacha Grosika.

Dziecię było małe, siedmioletnie. Nie mówiło za dobrze, ciągle było zawstydzone i stąpało ostrożnie, nigdy nie zbliżając się do rynku, bo tam ciżba naśmiewała się z niego bez skrpułów. Rodzina Staszka żyła w skrajnej biedzie. Tylko stara Grosikowa pracowała, córka zajmowała się domem i wątłym dzieckiem. Wdowie po Stanisławie Grosiku niegdyś żyło się całkiem dobrze, ale odkąd mąż zmarł w połowie lat pięćdziesiątych, bieda zapukała do drzwi. Cóż było robić? Grosikowa zostawiła chatę na głowie córki, a sama najęła się do pracy służebnej u Korkowskich – bogaczy mieszkających przy rynku.

Nagle – nie wiedzieć jakim sposobem – córce Grosikowej zaczęła rosnąć brzuch. Zrazu śmiano się, że przytyła, ale było to mało prawdopodobne, ponieważ prawie nie jadła. Przeleżała kilka miesięcy w domu i nikt nie mógł podejrzeć, co się z nią dzieje, ponieważ Grosikowa zasłoniła okna szmatami, mówiąc, że córka bardzo choruje i nie życzy sobie odwiedzin. Łodzianie wymyślili fortel. Wysłali obwoźnego kupca Michała do domu Grosikówny, by wykorzystał swój spryt i odgadł, co stało się z dziewczyną.

Po mieście chodziły różne plotki, ale nie można było odgadnąć, która jest prawdziwa. Cięży nie wykluczano, choć równie prawdopodobna była ciężka choroba lub opętanie czarami. Zatem Michał, cały w strachu, nie kwapił się sprawdzać, o co chodzi. Podjął się zadania dopiero po dobrej porcji miodu i obietnicy, że za śledztwo dostanie dwie kury.

Obwoźny kupiec stanął z towarem pod domem Grosikowej. O tej porze stara była na posłudze, więc dziewczyna została sama. Najpierw Michał począł zaglądać w okna, ale niczego nie znalazł, bo wszystkie były szczelnie zasłonięte płóciennymi szmatami, a dokładnie rzecz biorąc, podartą koszulą po wdowcu Grosiku. Michał wypił kilka łyków gorzałki, by się ośmielić. Przeżegnał się, po czym wrzasnął: „Pali się dom Grosikowej!”.

Wszyscy, którzy usłyszeli krzyk, w jednej chwili przerażeni wyskoczyli z domów. Wybiegła z domu i Grosikówna – bosa, z ogromnym brzuchem wskazującym na jedno. Gdy zaś popatrzyła, że dom wcale się nie pali, a połowa biedoty patrzy na nią w osłupieniu, krzyknęła, rozplakała się i z powrotem wskoczyła do sieni. Odtąd jej losem interesował się każdy. Nawet możni przejeżdżali obok jej domu z nadzieją, że zobaczą to, o czym rozpowiadano w całej Łodzi.

Grosikowa, dowiedziawszy się o całym zdarzeniu, pół miesiąca dumiała, co począć. Chodzenie na posługę do Korkowskich stało się nie do

wytrzymania. Słyszała za sobą szepty ludzi, wytykano ją palcami, aż wreszcie i Korkowscy wezwali ją do siebie.

– Prawda to, że twoja córka bękarta urodzi? – zapytali.

– Prawda – odparła twardo Grosikowa, bo i tak wszyscy już wiedzieli, a poza tym trzeba było zmierzyć się z tą myślą i stanąć naprzeciw miasteczku.

– Wiesz, że to hańbą okrywa całą twoją rodzinę? Bogaci nie byliście nigdy, ale jak się córce mogło amatorów zachcieć, gdy bez żywiciela rodziny zostaliście? Co na to powiesz? Wiesz, kto jest ojcem dziecka?

Grosikowej nagle w oczach błysnął płomień gniewu.

– Jeśli jedynie to chce pan wiedzieć, panie Korkowski, to ja nie powiem, bo nie wiem.

– Twoja służba jest dla nas hańbą. Nadszedł czas pożegnania. Poza miastem szukaj, kto cię na robotę przyjmie... – rzekł Korkowski, ale nawet nie dokończył, bo Grosikowa wybuchła płaczem i zgięła się wpół, prawie padając przed chlebodawcą na kolana.

– Gdzie ja teraz pójdę? Nie wypędzaj mnie, panie Korkowski, nie po chrześcijańsku to! Zlituj się nad starą kobietą! Przecież ja ani konia nie mam, by gdzieś jeździć, ani nawet wołu, by do pracy na roli pójść. Przecież ja się nigdzie nie nadam, a córka to już tym bardziej. Panu hańba i mnie hańba. I całej Łodzi, całemu światu hańba, że ja takie dziecko wychowałam. Ale nie wypędzaj mnie, panie, bo z głodu pomrzemy.

Korkowski pławił się w błagalnym tonie, bo był człowiekiem okrutnym. Do tej pory traktował Grosikową dobrze, nie zwracając uwagi na to, że jest z miejskiej biedoty, ale to się zmieniło.

Grosikowa wróciła do domu, ledwo co mając do jedzenia, posiniaczona, zgięta w pałąk. Zdjęła stare szmaty z okien, tylko w izbie zostawiła, bo tam miała rodzić córka.

Nikogo poza Grosikową przy tym nie było. Ona odbierała poród. Dziecko urodziło się zdrowe, ale wątłe, z niewielką szansą na przeżycie. Wola życia była jednak silniejsza od głodu. Chudziutkie dziecię rosło i chowało się we względnym zdrowiu pod czujnym okiem matki.

– Niech będzie Stachu, po ojcu – powiedziała Grosikówna, choć matka gorszyła się, że bękart plami pamięć męża Stanisława Grosika.

– Kto widział, by bękart nazywać imieniem ojca, latawico! – wygrażała palcem, trzęsąc się z oburzenia.

Sobótkowie mieli podobny stosunek do biedoty co reszta miasta mieszkająca przy rynku. Nie zadawali się z gorszymi od siebie i wszyscy to rozumieli. Wanda nie lubiła patrzeć na samotne porzucone dziecię, z którego inne robiły sobie żarty. Nie było jej żal, ale czuła niesmak.

– Żeby ten dzieciak chociaż miał jedną dobrą osobę do zabawy, to by się łatwiej na tę biedę patrzyło – wzdychała Zofia Sobótko.

Jedyną osobą w miasteczku, która żałowała chłopca, był dziadunio Jerzy Sobótko. Nikt rzecz jasna nie wiedział o jego odczuciach, bo z niego też by się śmiano. Jednak ilekroć poruszano w domu temat Grosików, to dziadunio wychodził na podwórze, niby to rąbać drwa, karmić krowy lub łątać dach. Głupio mu było, bo nie mógł nic zrobić i musiał udawać, że myśli o rodzinie Stacha tak, jak całe miasto. A myślano, że jest to biedota niepobożna, grzeszna i cierpieniami słusznie obdarowana, by za winy pokutować.

– Patrz, Wandusiu, by nie skończyć jak Grosikówna, z której się teraz całe Sieradzkie śmieje – mawiała Zofia, choć bardziej dla samej gadki moralnej niż z drwiny.

A Wanda wyglądała przez okno i uśmiechała się spokojnie do ludzi, bo czuła, że nigdy nie postąpiłaby tak nieroztropnie, aby się zadać z kimś bez ożenku.

Wanda w ogóle rozsądnie podchodziła do spraw damsko-męskich. Wiedziała, że jest obiecana bogatszemu sąsiadowi Żelichowskiemu i traktowała to jako rzecz naturalną i oczywistą. Nie mogła jednak zdradzić przed rodzicami, że wie o tej wstydlivej sprawie, jeszcze dla niej nieprzystojnej i tajemniczej.

Już raz swat był w jej domu. Młody Mirczak z biedoty zachwyił się pszenicznymi warkoczami panny Wandy. Jego rodzice radzi byli pomysłowi, bo gdyby doszło do ślubu, ich syn ożeniłby się z dobrą partią. Rodzice Wandy grzecznie przyjęli swata, dali mu pić i jeść, a na koniec – grzecznym zwyczajem – kazali czekać i wstrzymali się od decyzji.

– Trzeba było im powiedzieć, że Wanda obiecana już Żelichowskiemu – grzmiał dziaduszko. – Albo od razu czarną polewkę podać. Mirczakowie to bieda, nie dla naszej najmilszej – denerwował się, stukając drewnianą laską przy każdym wypowiedzanym słowie.

– Kiedy swata wypędzić niemiło – trapiła się Zofia. – Ostatecznie i tak polewkę po szlachecku podamy, ale niech jeszcze poprzychodzi, to inni będą patrzeć, jaką cenną partię w domu trzymamy i zawsze grzecznie jadło i gorzałkę podajemy.

– Niemądrze, niemądrze. Chwała najwyższemu, że Wandzia już obiecana, bo by wam jeszcze do głowy strzeliło, by ją Mirczakom oddać i na biedę skazać – warczał dziadunio. – Kiedyś to tak nie było, żeby biedota pod drzwi podchodziła i bezczelnie chciała rękę możnej mieszczki – mamrotał, choć już nikt go nie słuchał, a jedynie Zofia czasem się denerwowała.

– Jacy my możni? – mówiła. – Kto tu teraz możny, jak wszystko popalone, części domów nie ma, włóczędzy pod miasto podchodzą, a ze zwierząt to widać tylko na poły zdechłe kury, które ze strachu przed zarazą i wojskiem nieść się nie chcą?

– A ja mówię dalej – dwa woły odkupimy za dukaty w ziemi zakopane, stare sprzedamy...

– Jakie dukaty? – zapytała Zofia.

– Toż ja dukaty w ziemi zakopałem, jak wojsko szwedzkie przyjechało – powiedział skonsternowany dziaduszko – ale miałem nie mówić na razie.

– Ojczy! – krzyknęła Zofia w osłupieniu. – Dlaczego nie powiedziałeś? Jarmark się zbliża, nowe woły kupimy, płot naprawimy!

Dziaduszko istotnie zakopał kilka dukatów, gdy Szwedzi przyjechali do miasta i ograbili łodzian z dobytku. Nie patyczkowali się przy tym. Część ludzi wyrznęli, a domy ograbili i spalili. Ludzie odbudowywali je, kiedy mieli pieniądze. Zdarzało się, że biedota spała w zwęglonych ścianach, bez dachu nad głową. Wiele się z tego chorób namnożyło i kilku mieszkańców zmarło zimą. Szczęśliwie wiosna nie przyniosła kolejnych nieboszczyków, co natchnęło łodzian nadzieją. Nadal wznosili modlitwy do Boga, by im wreszcie poprawę zesłał.

Pogoda była dobra. Rozpoczął się siew gryki, uboższy, co prawda niż kiedyś, ale mieszkańcy starali się, by na zniekanej ziemi coś wyrosło. Wszyscy pracowali w polu. Wcześniej zasiali lnem niewielki skrawek ziemi, potem – na świętego Filipa i Jakuba – rozpoczęli siew konopi. I cały czas rozmawiali.

W sześć lat po zakończeniu wojny mówiło się w Łodzi o szlachcicu Konradzie Jezierskim z Chojen i plotkowano, że wróci do domu. Rozprawiano o nowych ożenkach. Ważnym wydarzeniem był też jarmark, do którego rozpoczęto przygotowania pod okiem księdza i wójta

Gliniewicza. Taki zjazd był wielką szansą dla Łodzi. Nic więc dziwnego, że wszędzie rozmawiano tylko o nowinkach.

W niedzielę Wanda włożyła czepiec i postanowiła po nabożeństwie pójść na spacer, by nacieszyć się słońcem. Obserwowała rynek, nielicznych przechodniów i dwóch Żydów stojących przy karczmie. Wszystko wydawało jej się nienaturalne. Sztuczne było nie tylko słońce zawieszone nad miastem w bezkresie nieba, lecz także blade cirrusy – chmury szponiasto wbijające się w błękit. Na Górkach połyskiwały nieliczne żelazne krzyże, a w oddali widać było pola i bór. W niedzielę Łódź stawała się ruchliwym miastem i bez trudu rozpoznawano, która godzina. Zachowanie ludzi wskazywało na to, czy czas na obiad, czy odwiedziny.

Wanda szła drogą Jagodnicką. Tu i ówdzie widać było mizernie obsiane pola, a dalej łąki otoczone borem. Dziewczyna szła szybko i unikała ludzi, bo męczyły ją ciekawskie oczy. Było to niedorzeczne, ponieważ w mieście każdy obserwowany był zarazem obserwatorem i siewcą plotek. Jednak sama Wanda tego nie robiła i jak ognia bała się opinii tłumu.

Samotny spacer po polach nie był może najlepszym pomysłem, by uniknąć obmawiania, ale przecież dziaduszko – najstarszy łodzianin i rolnik niezrównany – często zapuszczał się na te tereny, a czasem nawet zbierał zioła.

Jerzemu Sobótce pozwalano na więcej, szepcząc po kryjomu, że stary zdziwaczał i nie należy mu przeszkadzać, bo i tak powie, że wie lepiej. Istotnie, co by nie mówiły mieszczańskie autorytety, dziaduszko bez chwili wahania je wyśmiewał i tym sposobem wiele razy zyskiwał sympatię ubogich. Ileż to razy zawstydził wójta Gliniewicza, który wyroki wydawał

często, ale wedle własnych kaprysów. Jak kogoś nie lubił, to i zasądził cięższą grzywnę. Z ławnikami hulał często, gorsząc księdza.

Dziaduszek również do niego nie miał zaufania. W dni powszednie, kiedy nie wypadało żadne święto, nucił bezbożne pieśni, których nie zaśpiewaliby nawet szynkarze.

– Aj, aj, patataj, na koń siadaj! A jak przyjdzie miła nocka, na kolanko żwawo hycka! Patataj!

Takie oto pieśni rozlegały się wieczorową porą, gdy całe miasto zaczynało zasypiać. Na nic zdały się prośby i błagania małżeństwa Sobótków. Jerzy, łodzianin najstarszy i rolnik niezrównany, tylko udawał, że nie słyszy i jeszcze głośniej zaczynał śpiewać, aż Zofia zatykała Wandzie uszy i kazała jej zamknąć się w komorze i modlić.

Łódź dla wszystkich była jednakowa, więc – choć nie było to postrzegane najlepiej – samotne dziewczę mogło zapuścić się dalej. Wanda tak zrobiła, mając nadzieję, że nie spotka żadnego włóczęgi czy hultaja. Od końca wojny kręciło się ich w Sieradzkiem wielu. Podchodzili też pod Łódź, ale widząc, jak niewiele ma do zaoferowania zniszczone miasto, prosili o jałmużnę i odchodzili szukać szlacheckich dworów albo przedmieść większych miejscowości.

Wanda nie widziała nikogo. Wiatr smagał jej opaloną, piegowatą twarz. Błękitne oczy wodziły za łanami zboża łagodnie uciekającymi przed muskającymi je powiewami. Dziewczyna nuciła pobożne pieśni, ufając, że ochronią ją przed złem.

Dotarła ścieżką prawie poza Łódź i skręciła w pola. Za plecami zostały łódzkie chaty. Droga się rozwidlała. Jedna prowadziła do Lutomierska, skąd, po wojnie szwedzkiej, przychodziło wszelkie bogactwo, bo miasto szybciej się odbudowało.

Na łące, na której Wanda postanowiła odpocząć, rosły chabry, maki i niewielkie kaczeńce. Dziewczyna położyła się na plecach pośród tej mozaiki i słuchała cichych podmuchów w szeleszczących trawach. W oddali szumiały korony drzew, a las – jak nieprzystępna dżungla – podchodził aż pod dalekie, mieszczańskie pola. Było spokojnie i tylko bzyczenie owadów zagłuszało ciszę prowincjonalnego sieradzkiego miasteczka.

Wanda rozmyślała o tym spokoju i pragnęła, by trwał jak najdłużej. Całe jej dzieciństwo było naznaczone katastrofami. Nie była nawet nastoletnia, gdy rozpoczęła się wojna. Krzyki zabijanych wciąż powracały w sennych koszmarach. Na dodatek Lubomirski, niczym okrutny zwierz, zaledwie przed rokiem rzucił się z wojskiem na to, co zostało z Łodzi, grabiąc ją doszczętnie.

Dziewczyna poczuła, że mrówki chodzą po jej bosych stopach. Strząsnęła je i postanowiła wracać. Czepiec przekrzywił się całkiem, ale dzięki temu było jej nieco chłodniej. Postanowiła go nie poprawiać. Podeszła do głównego traktu na Lutomiersk i zręcznie wskoczyła w rów. Zwykle przepływał tamtędy skromny strumyk, ale nawet niewielka susza sprawiała, że wysychał.

Wtem Wanda usłyszała stukot końskich kopyt. Speszona pojęła, że ktoś znaczniejszy podąża w stronę Łodzi. Postanowiła wydostać się z rowu i dojrzeć, kto to. Pomyślała, wspinając się, że może to wójt Gliniewicz. Gdy usłyszała wyraźniej stęp dwóch koni, zrozumiała, że to nie on.

Kiedy dotarła na skraj rowu, aż westchnęła z przerażenia, widząc przed sobą koński łeb. Nie zdążyła mu się dokładnie przyjrzeć, bo od razu podniosła wzrok, by sprawdzić, kto dosiada wierzchowca. Spojrzała ponad gniady łeb, ale słońce oślepiło ją tak, że zobaczyła tylko świetlistą smugę. Zmrużyła oczy i osłoniła je ręką, cofając się nieopatrznie o krok. Zachwiała

się i zamachała rękami, próbując złapać równowagę. Na nic się to zdało. Czepiec targnięty ręką przekrzywił się zawadiacko, a Wanda straciła równowagę i z impetem wpadła do rowu.

Usłyszała stłumiony męski śmiech. Policzki jej zapłonęły. Wyszła z rowu wściekła i zażenowana, poprawiając nakrycie głowy. Obok znów ujrzała konia, który ją wystraszył. Już miała krzyknąć coś w gniewie do mężczyzny, ale najpierw zobaczyła pas i szablę szlachecką. Podniosła głowę i oniemiała z zachwytu.

Wspaniałego gniadosza o smukłych pęcinach i lśniącej grzywie dosiadał młody szlachcic. Jego złociste kędzierzawe włosy przyjemnie opadały na alabastrowe czoło. Niebieskie oczy spoglądały wesoło w dół i strzelały niesfornymi ognikami. Kształtny nos, podobny do lisiego, rozszerzał się foremnie na obu końcach, a pod nim widać było słodkie, niewielkie karminowe usta i szlacheckie wąsy. Przybysz wyglądał tak ujmująco, że Wanda zaniemówiła i okrągłymi oczyma wpatrywała się w piękną wyprostowaną postać.

– Tak się kończy dziewczęca ciekawość – zagadnął wesoło szlachcic, kierując słowa niby to do Wandy, niby do drugiego mężczyzny siedzącego na kasztanowatym koniu.

– Tak się kończą samotne dziewczęce spacerunki – odpowiedział nieprzyjaźnie drugi szlachcic.

Był dużo starszy i bardziej poważny niż młody towarzysz. Wanda przyjrzała mu się i wnet poznała, że ma do czynienia z chojeńską szlachcią. Skłoniła się więc nieznacznie Karolowi Jezierskiemu, właścicielowi pobliskiej wsi. Zastanawiała się przy tym, kim jest młodszy mężczyzna, bo nigdy wcześniej go nie spotkała.

– Panna tutejsza? – zapytał nieznajomy, wpatrując się przenikliwie w Wandę.

– Tak, jaśnie panie – odparła grzecznie, czując jak jej policzki pąsowieją pod wpływem emocji.

Nie oczekiwała przyjaznego traktowania ze strony szlachty i próbowała przygotować się na pogardliwe spojrzenia i cięte przytyki. Ale trudno było sobie wyobrazić, że młody mężczyzna o łagodnym spojrzeniu mógłby kogokolwiek źle ocenić. Widocznie istotnie nie miał złych zamiarów, bo tylko uśmiechnął się na Wandziną odpowiedź.

– Chodź, Konradzie. Pora zjechać do domu i dać koniom popas. Do Chojen już niedaleko, ale w Łodzi postój zrobimy. Zobaczysz, jak się to miasto zmieniło – powiedział pan Jezierski, ściągając lejce i zawracając konia na drogę.

Wanda chciała zaproponować, ale nie miała takiej mocy. Podniosła nieśmiało oczy i spotkała baczny, roześmiany wzrok młodego szlachcica o lisim nosie i karminowych ustach. Uśmiechnął się szeroko, uklonił po szlachecku – co Wandę niezmiernie zdziwiło – i podążył kłusem za Karolem Jezierskim.

II



Konrad Jezierski jechał za ojcem już od Lutomińska. Młody szlachcic dopiero wracał do domu z wojny. Choć Polacy już kilka lat wcześniej odparli szwedzki najazd, mężczyzna nie przyjechał do Chojen. Od zakończenia walk bawił w Warszawie u króla, bo Jan Kazimierz wysoko go cenił i za wszelką cenę chciał zatrzymać przy sobie. Uczynił szlachcica swoją prawą ręką, więc nazwisko Jezierskich stało się sławne w całej Rzeczypospolitej. Powiadano nawet, że bez Konrada Jezierskiego król nie opanowałby chaosu, który wstrząsnął krajem po wojnie.

W rzeczywistości nieład pozostał, bo dwór starał się przykryć nędzę Rzeczypospolitej tyrfami i obietnicami. Jan Kazimierz uznał jednak, że nie należy dłużej trzymać Konrada, bo coraz wyraźniej widział, że Warszawa staje się jego więzieniem. Jezierski wychodził wieczorami na królewskie balkony i z rozrzewnieniem patrzył na flisaków, którzy krzatali się po obu brzegach Wisły. Rozmyślał o tym, że są od niego biedniejsi, ale wolni.

Konrad ledwo poznał ojca, gdy spotkali się w Lutomińsku. Pan Karol przybrał na wadze, a wąsy mu posiwiały. Więcej zmarszczek pojawiło się na surowej, nieskorej do uśmiechu twarzy. Widać było jeszcze jedną zmianę – stary Jezierski wpadał w furję, gdy tylko Konrad zaczynał opowiadać mu o wspaniałościach Warszawy.

– Lepiej niech Jan Kazimierz żołnierzy uspokoi, piechocie i dragonii zapłaci. I to w dukatach, a nie w tynfach! – prychnął Karol Jezierski.

– Ojcze, nasz najmiłościwszy król robi, co może. To nie jego wina, że szlachta wetuje nawet najlepszy pomysł i nie można dojść z niczym do ładu, bo każdy się z każdym wyklóca przy najbliższej okazji. Żadne ustawy teraz nie przechodzą.

– Zamilcz, synu, bo przeciw własnemu stanowi występujesz – denerwował się Karol Jezierski, którego ulubionym tematem rozmowy była polityka.

Ojciec Konrada miał się za znawcę tematu. Wiedział również wiele o sytuacji innych krajów i jako sarmata niezmiernie cieszył się z kryzysu tureckiego i hiszpańskiego.

– Żeby jeszcze Rzeszy powinęła się noga. Albo żeby mieli drugi kryzys! – grzmiał, zacierając ręce.

Konrad nie zgadzał się z ojcem, jednak zamierzał siedzieć cicho i odpierać ataki argumentami. Nie wierzył w sarmatyzm, który rozprzestrzenił się w Rzeczpospolitej jak nowy rodzaj epidemii. Z tego powodu spory ojca z synem, już w listach wymienianych po odparciu Szwedów, przybierały na sile. Teraz też zaczęli rozmawiać o polityce, jeszcze zanim wyjechali z Lutomierska.

– Król to jest funkcja reprezentacyjna – powiedział Karol Jezierski. – Nie ma rządzić, tylko wyglądać.

– Przecież król i tak nie ma już żadnej władzy, drogi ojcze – westchnął Konrad. – Wszystko leży w rękach szlachty. A tu czasy niespokojne. Jak tyle osób jednocześnie może pokonać kryzys i rządzić?

– Ciesz się, synu. To nam daje więcej władzy. Po co ona królowi? Tak samo mogę ciebie zapytać. Jak jedna osoba może pokonać kryzys i rządzić sprawiedliwie?

Konrad nie odpowiedział, bo zbliżali się do Łodzi. Najpierw minęli rząd miejskich stodół. Były częściowo spalone i wyglądały jak żalosna imitacja budynków. Kilka konstrukcji odbudowano, ale większość mieszczan nie miała na to pieniędzy. Tu i ówdzie brakowało dachu lub pojedynczych desek. Co lepsze zabierano, by najpierw odbudować domy.

– Hultaje się tu nie zalęgną? – zapytał Konrad, wskazując na dwie najbardziej zniszczone stodoły.

– To nie nasze miasto i nie nasz problem – odparł twardo ojciec i popędził konia do miasta, by nie oglądać żalospnego widoku.

Jednak im dalej jechali, tym większą widzieli nędzę. Kilka szcurów przebiegło między płotami i wślizgnęło się do chat biedaków. Część domów nie była jeszcze odbudowana po napaści rokoszan. Niektórzy mieszkańcy nie mieli ani zwierząt, ani narzędzi rolniczych. Obraz nędzy był wszechobecny. Konrad, który wjechał do Łodzi z uśmiechem, spoważniał i ze zgrozą patrzył na zniszczenia.

Nieco lepiej wyglądały ulice przy rynku. Mimo brudu widać było, że część mieszkańców uporała się ze stratami i żyła lepiej niż biedota. Po rynku chodziło kilku znamienitszych mieszczan, którzy dumnie podpierali się zdobionymi laskami.

– Któż to? Ktoś znany czy szlachcic jakiś? – zapytał dyskretnie Konrad, gdy w oddali zobaczyli wykwintnie ubranego bogacza.

– To pan Walenty Gliniewicz. Widzę po twojej minie, że nie poznałeś starego wójta Łodzi – skwitował pan Karol i dodał szeptem: – Traktuj go lepiej niż innych chamów, bo podobno ma wielkie przywileje i z samym Lubomirskim listy wymienia.

Konrada ubodła ta uwaga. Po pierwsze, nie było mu po drodze z kimś, kto pisuje do Lubomirskiego, a po drugie jako szlachcic czuł się lepszy od

wójta Łodzi. Pokierował jednak gniadosza za koniem ojca w stronę Gliniewicza.

Wójt przyjrzał się z ciekawością Konrowi, ale nie poznał, że ma do czynienia z synem właściciela Chojen. Natomiast ukłonił się nisko Karolowi Jezierskiemu.

– Witam, jaśnie wielmożny panie i pokornie się kłaniam. Czy do Chojen jaśnie pan wraca? – zapytał grzecznie.

– W rzeczy samej, panie Walku. A to mój syn – Konrad. Pewnie go nie poznajesz, bo wcześniej opuścił dom rodzinny i wyruszył na wojnę przeciw Szwedom. Bawił czas jakiś w Warszawie i dopiero teraz wraca jak syn marnotrawny – zażartował Karol, ale widząc grymas na twarzy syna, dodał: – Teraz to żołnierz niezrównany, namiestnik chorągwi husarskiej. Zaraz pewnie porucznikiem zostanie.

Gliniewicz aż gwizdnął pod nosem i uważnie przyjrzał się Konrowi, wyraźnie szukając w nim chłopca, który niegdyś wyjechał na wojnę. Konrad, widząc zdumienie na twarzy wójta, wyprostował się w siodle.

– Miło mi znowu pana widzieć. Niestety nie pamiętam zbyt wiele ze szczęśliwego dzieciństwa. Dawno mnie tu nie było. Widzę jednak, że Łódź bardzo się zmieniła.

– Wielki wojownik z jaśnie pana. Mogę potem oprowadzić po mieście – powiedział wójt i zaprosił szlachciców na obiad.

Zaproszenie przyjęli chętnie, bo i tak planowali zatrzymać się w Łodzi, by dać koniom odpocząć i przy okazji obejrzeć odbudowane miasteczko.

Tymczasem Wanda obserwowała całe wydarzenie z oddali. Nie mogła usłyszeć, o czym przyjezdni rozmawiają z wójtem, ale po wzajemnych ukłonach domyśliła się, że cieszą się ze spotkania. Chciała pójść za nimi, by jeszcze choć raz spojrzeć na radosną twarz szlachcica. Przelękała się jednak, jak dalece dała się ponieść fascynacji, i wróciła do domu.

Kiedy podeszła pod płot, zobaczyła, że w jej stronę idzie nieśmiało Staszko Grosik. Dziecię miało niezwykle jasną twarz. Nad błękitnymi oczami rozpościerały się, niczym skrzydła, dwie naburmuszone kreski. Gdy chłopiec ściągał brwi, wyglądał jak nadąsany ptak. Lecz najbardziej oryginalne, podkreślające okrągłe rysy dziecka, były włosy koloru smaganej polanem pszenicy. Jaśniały po bokach, a ciemniały nieco na środku głowy i luźno opadały na czoło. Kosmyki muskały koniuszki uszu, kończąc się nagle jak twarda szczecina dzika. Fryzura z tyłu głowy była jednak najbardziej oryginalna i każdy w miasteczku kojarzył ją ze Stachem. Rozwichrzona czupryna sterczała na baczność we wszystkich kierunkach świata, tylko nie w dół.

Staszko był świadomy swojego miejsca w miasteczku, więc każdy krok czynił ostrożnie, jakby sprawdzając, czy ziemia się pod nim nie rozstąpi. W zbyt duże płócienne rękawki wycierał ukradkiem nos i z podejrzliwością godną tylko bardzo zranionego człowieka przyglądał się życiu miejskiemu, z którego był wykluczony. Teraz patrzył wprost na Wandę, prosząc wzrokiem o kawałek chleba.

Miał na sobie tylko za dużą koszulę przewiazaną sznurkiem. Poplamione, wiszące ubranie wskazywało na to, że dziecko żyje w skrajnej nędzy, o czym wiedziała cała Łódź. Wanda codziennie patrzyła na ciężkie życie miejskiej biedoty, ale Staszka wyjątkowo źle traktowano. Nikt nie chciał mu pomagać, bo był bękartem.

Ostrożnie podszedł do Wandy, chwiejąc się na cienkich nogach, jakby był w każdej chwili gotowy do ucieczki. Jednocześnie wyciągnął małą brudną rączkę.

– Chleba kawałek... chleba... chcę jeść – wyszeptał.

Wanda już miała odgonić dziecko, jak to zazwyczaj czynili bogatsi mieszkańcy, gdy wtem zobaczyła dziaduszkę, który wymknął się

bezszelestnie z sieni, niosąc kawałek suchego chleba. Dziecko ufnie przylgnęło ciałem do płotu, łapiąc rękoma za szczeble.

Dziaduszek wystawił rękę za płot i pogłaskał nieufnego Staszka po głowie. Potem podał mu chleb. Dziecko spojrzało na niego podejrzliwie, ale nie uciekło od razu. Przytuliło się raczej do płotu, prosząc o więcej pieśczoć.

– Zjedz trochę chleba i daj też matce. I nie mów nikomu, od kogo dostałeś – szepnął Jerzy Sobótko, łodzianin najstarszy, rolnik niezrównany.

Staszko kiwnął głową na znak, że zrozumiał i na pewno tak zrobi, po czym odepchnął się od płotu i uciekł z jedzeniem.

Wanda obserwowała tę scenę z rozrzewnieniem i niepokojem. Po raz pierwszy przejęła się losem dziecka. Spojrzała na Jerzego Sobótkę. Ten tylko mrugnął do niej z zadowoleniem i wrócił do chaty.

Tymczasem goście Gliniewicza rozsiedli się wygodnie. Podano jadło i dobrą gorzałkę. Mięsiwo było tłuste i mocno przyprawione. Do tego rozdano pajdy świeżego, jasnego chleba. Głodni przybysze jedli łapczywie, połykając solidne porcje i popijając jadło miodem. Podziwiali też dom wójta, jego skromną małżonkę i dzieci o włosach koloru słońca. Rozmawiano oczywiście o polityce, jako że był to ulubiony temat Karola Jezierskiego, a pan Gliniewicz również uchodził za znawcę tematu. Konrad opowiadał o tym, co widział podczas wojny, o sztuce wojennej i roli namiestnika.

– Jaśnie pan króla często widywał. Jaki jest? Powiadają, że nie ma ręki do szlachty – dopytywał pan Gliniewicz.

– Król jest bardzo dobrym człowiekiem, ale gniewa się na szlachtę, bo mu rządzić nie daje.

– Nie daje, nie daje! – denerwował się ojciec. – Kto widział, by jednowładztwo wprowadzać, gdy taki kryzys trawi Rzeczpospolitą!

– A widzisz ojczyźnie kryzys we Francji? Mają mocnego monarchę i zawsze będą potęgą, bo u nich jedna osoba rządzi, a nie pięćset – odpowiedział Konrad.

– Francja potęgą! Dobrze sobie. Ich król wygląda jakby stado żab zjadł – warknął Karol Jezierski, widocznie z braku argumentów.

– *Ad personam*, ojczyźnie, nie wypada – zgorszył się Konrad.

Karol prawie zakrzuszył się mięsem, słysząc uwagę syna. Był zdania, że dzieci powinny zgadzać się z rodzicami we wszystkim. Ale Konrad wracał do domu jako wojownik, nie szczeniak, więc ojciec przemilczał zniewagę. Ponadto kochał syna i był dumny z jego osiągnięć. Nawet możniejsza szlachta służyła pod dowództwem Jezierskiego i musiała słuchać jego rozkazów. Widocznie król bardzo cenił młodego namiestnika, bo lojalność Konrada była nieugięta jak konar dębu.

Gliniewicz grzecznie obserwował rodzinną wymianę zdań i nie przerywał kłótni. Jako człowiek sprytny, natychmiast zauważył, że odmienne poglądy bardziej oburzają Karola niż jego syna. Konrad siedział spokojnie, jak nakazywało dobre wychowanie, a na agresywne uwagi ojca odpowiadał z szacunkiem.

Widać w matkę się wdał, bo ojciec rozrabia, gdy się rozmowy polityczne toczą – myślał wójt, łypiąc okiem to na jednego, to na drugiego gościa.

Istotnie, Karol Jezierski potrafił nawet chwycić szablę, gdy wypił zbyt dużo gorzałki i rozmawiał o polityce z oponentem. Konrad natomiast był zazwyczaj rozsądny. Słuchał argumentów, umiał odróżnić durne od mądrych, a spokój faktycznie odziedziczył po matce. Anna Jezierska nigdy się w dyskusje nie wdawała, słabe mając o tym pojęcie. Jednakże ilekroć

mąż pienił się i zapalał, powoli gasiła jego furję, przytakując we wszystkim, co powiedział. Wykazywała się przy tym niezwykłą opiekuńczością i delikatnością, bo wiedziała doskonale, jak trudny charakter ma jej mąż.

Gdy zjedli obiad, Gliniewicz zaproponował, żeby wsiedli na konie i pojechali obejrzyć Łódź.

– Zrujnowano miasto, to prawda. Ale jakoś powoli stajemy na nogi, prócz miejskiej biedoty, która się chyba już nie podniesie – mówił wójt, przejeżdżając przez rynek.

– Kto zrujnował? – zapytał Konrad, zanim dostrzegł niebezpieczną iskrę w oczach ojca.

– Wszyscy po kolei. Ciężkie czasy nastały. Kiedy skończyła się wojna, myśleliśmy, że będzie spokój i Łódź powoli się odbuduje. Ale w rok później przyszła zaraza, a niedawno kolejny najazd, który zrujnował nasze domy. Nie oszczędzili nikogo.

– Rokoszanie was napadli rok temu?

– Tak, jaśnie panie. Mimo że listy pisałem, by oszczędzili Łódź.

Konrad zrozumiał, w czym rzecz i spojrzał na Gliniewicza z większą sympatią. Ukradkiem zerknął w stronę ojca, ale jego spojrzenie było nieodgadnione. Karol Jezierski musiał się jednak zawstydić, bo dwie różowe plamy pojawiły się na jego policzkach.

– Przy rynku wszystko pięknie naprawione – rzekł z uznaniem Konrad.

– Ale ograbione okrutnie. Wszystko nam zabrali, nawet nie patrzyli, czy cenne. Szwedzi, polskie wojsko, Lubomirski – oto zarazy, które spadły na nieszczęsne miasto. Mój dom okradli trzy razy. Szwedzi żonę z dziećmi wypędzili i znalazłem niebożęta dopiero na brzezińskim gościńcu, przerażone i wymarznęte. Szczęście, że rodziny mi nie wybili, bo kto się stawiał i bogactwa nie chciał oddać, tych mordowano razem z rodziną.

Zresztą nie tylko bogactwo brali, ale wszystko inne: krowy, woły, a nawet kury. Skrzynie całe porywali z domów i co tylko im w oczy wpadło.

Walek Gliniewicz rozgadał się już na całego, a Jezierscy wciąż rozglądali się, obserwując wszystko, co pokazywał wójt. Z domów zaczęło wychodzić coraz więcej ciekawskich. Mężczyźni niechętnie spoglądali na bogatych przybyszów, a im biedniejsze były ich chaty, tym większa złość odbijała się w oczach właścicieli. Bogacze zaś kłaniali się szlachcie w pas, udając, że niezwykle cieszą się z odwiedzin szacownych gości. Mężatki zerkały przez okna i z rozmarzeniem wpatrywały się w Konrada. Co śmielsze dziewczęta otwierały drzwi sieni i stawały w progu, patrząc na przemarsz gości. Szeptaly też między sobą, zasłaniając wstydliwie usta i patrząc ukradkiem na młodego Jezierskiego.

Wanda nie była jedyną łodzianką, której spodobał się młody chojniak. Już w Warszawie wzdychały do niego wszystkie dziewczęta, lecz on postanowił, że nie ożeni się, dopóki nie wróci do domu rodzinnego. Patrząc teraz na mieszczki i przypominały mu się spojrzenia austriackich dwórek. Był świadom poruszenia. Jechał, uśmiechając się lekko do ładniejszych łodzianek. Każda, obdarowana tym niespodziewanym prezentem, płonila się jak róża i uciekała do domu lub skromnie spuszczała wzrok.

Wanda również wyszła z domu, słysząc stłumiony stukot kopyt. Z bijącym sercem czekała na przejazd gości. Karol Jezierski jechał wyprostowany, nie zaszczycając mieszczan choćby spojrzeniem. Konrad zaś – jak zauważyła – rozglądał się po twarzach pospólstwa, a spojrzenie miał łagodne i miłe. Wanda stała obok dziaduszka żującego tabakę. Starzec jedną rękę trzymał na pasie, a w drugiej dzierżył widły sienne. Z domu wyszła też Zofia z mężem. Gdyby ktoś inny przejeżdżał, z pewnością nie zawracałaby sobie tym głowy, ale wieść, że Konrad Jezierski wraca do domu, przywiodła ją błyskawicznie.

Konrad dziwił się nieco, dlaczego tylu ludzi wyszło go przywitać. Nie domyślał się nawet, że młodszy Łódzianin już dowiedział się o funkcji, którą pełnił. Niektórzy kłaniali mu się w pas, inni zaś łypali na niego podejrzliwym lub nawet złym okiem. Wszystkie te sygnały szlachcic natychmiast odczytywał, ale zbywał milczeniem.

Wtem zobaczył dziewczynę, którą wcześniej spotkał na drodze Jagodnickiej. Jasnowłosa panna stała boso w płóciennej spódnicy. Jej pierś zdobiła koszula przewiązana ciasno kremowym gorsetem z sukna. Dwa długie warkocze, zdobione czerwonymi wstążkami, zwisały luźno, sięgając żeber. Dziewczyna wbiła w Konrada baczne spojrzenie. Nie było w nim bojaźni, tylko żar i przenikliwość. Szlachcic ściągnął cugle i zatrzymał konia. Dopiero wtedy jasnowłosa dziewczyna spuściła wzrok, jak to czyniła reszta mieszczek.

Gdy go podniosła, uchwyciła jedynie uśmiech. Jezierski przejechał, zostawiając za sobą rozmarzone westchnienia. Dziadunio spojrzał za szlachcicem, splunął ze złością i wszedł do domu.

Choć mieszczanie darzyli szlachtę szacunkiem, to skrycie obwiniali ją za swoją nędzę i wysokie podatki.

– Wyzyskują nas, nic więcej – mówił potem przy stole Jerzy Sobótko.

– Dałbyś już spokój, ojczy – wtrącał się Ryszard Sobótko. – Przecież nie byle kto przejechał przez miasto, bo Jezierski to jest namiestnik chorągwi husarskiej. I to nie jakiejś tam, tylko koronnej.

– Cóż to dzisiaj za różnica? – prychnął dziaduszek z przekąsem.

Wanda też siedziała przy stole i jadła mączne kluski. Przysłuchiwała się rozmowie, udając, że temat szlachcica Jezierskiego w ogóle jej nie obchodzi. Jednak ukradkiem uśmiechała się na wspomnienie żołnierza przejeżdżającego przez Łódź. Nie wiedziała, co miał znaczyć szelmowski

uśmiech, który dostrzegła w ostatniej chwili, ale bardzo chciała jeszcze raz spojrzeć w szaroniebieskie oczy jeźdźca.

Była bezpieczna. Nikt nie mógł odgadnąć, że bez reszty zadurzyła się w Konradzie Jezierskim. Niewiasty rzadko uczestniczyły w dyskusjach politycznych, toteż nawet o nic jej nie pytano. Mogła zatem marzyć do woli, choć niespodziewanie wkradł się do serca niepokój. Nigdy wcześniej nie poczuła tak silnego zawrotu głowy, jak wtedy, gdy Konrad uśmiechnął się do niej figlarnie, najpierw na drodze Jagodnickiej, a potem przed jej chatą.

III



Łódź przygotowywała się do jarmarku, który miał się odbyć przed świętym Janem. Ksiądz polecił zrobić przerwę między wydarzeniami, z powodu za częstych hulanek. Dlatego jarmark wyznaczono na dwunastego czerwca. Tymczasem bogaci łodzianie pojechali na targ do Uniejowa, bo tam można było kupić przedniejsze towary. Biedota i większość łodzian została w miasteczku.

Plony w tym roku były co prawda obfitsze niż w poprzednich latach, ale wojenne zniszczenia wciąż dawały o sobie znać. Na marnej skopanej ziemi gryka rosła powoli, a len i konopie prawie wcale. Wznoszono więc prośby do świętego Marka, opiekuna urodzaju, by plony były bogate i wystarczyły dla łodzian.

Nie tylko skopana końskimi kopytami ziemia i brak dobrych narzędzi utrudniały pracę. Mało urodzajna ziemia nie dawała plonów i w całym mieście lękano się o to, że przyjezdni wyjadą z jarmarku jeszcze przed południem.

– Cóż mamy sprzedawać? Chyba tylko stare woły, które nie nadają się do roboty – powiadano z goryczą. Brakowało nawet żelaznych bron, bo ukradli je Szwedzi. Mimo to, choć żar lał się z nieba i od kilku lat był nieurodzaj, mieszczenie zaciskali zęby i pracowali.

Jerzy Sobótka też garnął się do roboty. Był jednak najstarszym mieszkańcem Łodzi, a ponadto kulał od czasu, gdy jeden Szwed go przewrócił, zabierając mózdzierz. Dlatego Sobótkowie nie pozwalali mu pracować w polu, choć Jerzy chodził po podwórzu ze złą miną, domagając się godziwego traktowania. Pewnie nic by nie robił sobie z zakazów, ale Ryszard dobrze znał ojca. Jego perswazje, o dziwo, działały. Dziaduszko trochę się srożył, trochę wzdychał i jęczał, jakby go wzięto na tortury, ale ostatecznie jednak zostawał w chacie, wygrażając, że jeszcze pójdzie w pole i wszystkim pokaże. Był bowiem nie tylko najstarszym łodzianinem i rolnikiem niezrównanym, ale też najbardziej, jak wiadomo, upartą osobą w miasteczku. Nie sposób zliczyć, ileż to razy gadano o Sobótkowych ekscesach. Starca lubili wszyscy, ale spraw nie dało się z nim załatwiać.

Jerzy Sobótka, owszem, zostawał w chacie, pilnując obejścia przed włóczęgami i hultajami, ale odgrywał się na swój sposób za tę krzywdę. Siadał na pieńku, strugał kijek i podśpiewywał.

– Pilnuj dziewczę wianka, pilnuj. Bo Jasina przyjdzie, wianek z główki zdejmie, oj, oj. A jak zdejmie ten Jasina, to zostanie ci dziecina, oj, oj.

Ksiądz Benedykt Miszak przyszedł raz w odwiedziny do dziaduszka i usłyszał, jak Sobótka śpiewa gorszące pieśni. Postraszył starca grzywną. Dziaduszko pogonił go widłami do gnoju. Ksiądz nigdy więcej się nie pojawił. Staruszek żył zatem ściśle według swoich przekonań, ale pobożny był bardzo. Na każdą mszę szedł z werwą, mimo bolącego kolana. Tam modlił się żarliwie, stukając – jak to czynili najwierniejsi – głową o posadzkę. Ksiądz obserwował go z ambony i śmiał się na wspomnienie afrontu, jakiego doświadczył. Nie chował urazy, tylko patrzył na zachowanie dziaduszka, cmokając zadowolony raz po raz, że największa atrakcja Łodzi wciąż ma się dobrze, nawet jeśli czasem zapomina imion sąsiadów.

IV



Dwa dni pozostały do jarmarku. Wanda czuła niepokój, bo wszystkie znaki wskazywały na to, że niedługo sąsiedzi – Żelichowie, którzy kazali się mianować Żelichowskimi – wyślą swata do domu Sobótków i rozpoczną starania o jej rękę. Wiesio Żelichowski był już od dawna przeznaczony Wandzie i wydawał się cieszyć z tego powodu. Jego rodzice po sąsiedzku przyjaźnili się z Sobótkami. Składali sobie wizyty, pożyczali mąkę i sól, a Wiesio coraz czulszym okiem zerkał na córkę sąsiadów. Prawdopodobnie usłyszał lub nawet co nieco dowiedział się o krokach, jakie trzeba poczynić, by zdobyć rękę Wandy.

Sobótkówna była niespokojna. Wcześniej z radością podsłuchiwała rozmowy rodziców i ekscytowała się myślą o ożenku. Jednak od niedawna chodziła przygaszona, a kiedy tylko napotkała wzrok Wiesia, nie uśmiechała się skromnie, lecz uciekała do sieni. Nie wiedziała do końca, co kryje się za tym lękiem, ale niechęć do Wiesia rosła w niej z każdym dniem i wkrótce była tak duża, że oddzieliła od siebie dwa sąsiednie domy niczym przezroczysty, ciężki cień.

– A ona będzie mnie chciała? – pytał rodziców Wiesio.

– To dla niej świetna partia. Musi chcieć – odpowiadała spokojnie matka.

A jednak Wiesio nie był o tym przekonany, widząc konsternację na twarzy dziewczyny. Siedział, podpierając się łokciami i patrzył przez okno, jak Wanda krząta się po obejściu. Czasem poła bydło, czasem zrywała jabłka, a innym razem przynosiła wodę ze studni.

W ten sposób oboje zaczęli myśleć o sobie codziennie, ale każde inaczej. Wanda długo zastanawiała się nad tym, co odpycha ją od Wiesia. Przecież wywodził się z majątniejszej rodziny, a jego twarz była dobra i pogodna. Wyglądał swojsko – ani się przy nim nie wypadało krępować, ani dąsać. Jego łagodne brązowe oczy budziły ufność, bo patrzyły na wszystko cieleco, prawie beztrosko. Ponadto miał w Łodzi dobrą reputację, o którą bardzo dbał. Przed wojną Żelichowie mieli nawet konia, a dziadek Wiesia był pisarzem miejskim. Tymczasem wszystkie dobre cechy chłopaka zlewały się Wandzie w jedną ogólną, a wady dzieliły się nieskończenie.

Po jarmarku Wiesio postanowił ostatecznie rozmówić się z rodzicami, którzy byli skorzy wysłać swata do Sobótków. Przed nim Wandą interesowali się Mirczakowie, Dąbrowie też chcieli iść w konkury. Ilekroć Wiesio słyszał nowe rewelacje, z niepokojem siadał przy oknie i patrzył na chatę sąsiadów, zaś czas zdawał się kurczyć i odmierzać ostatnie minuty szansy.

Niezależnie od tego, co mieszkańcy myśleli o jarmarku, czy chcieli, by czas upłynął szybko, czy nie, dzień nadszedł. Pojawił się spokojnie, jak grzeczny gość przybywający z zapowiedzianą wizytą. Zaczęto ustawiać kramy, tłoczyć się przy rynku i głównych ulicach. Łodzianie nie czekali na przyjezdnych, każdy chciał ustawić się jak najwygodniej, by tłumy waliły wprost do ich stoisk. Spodziewano się wizyty szlachty łeczycko-sieradzkiej,

przynajmniej tej, która mieszkała w okolicznych wsiach. Toteż obłązony był wjazd na gościniec brzeziński i wszystkie wylotowe trakty.

Harmider zaczął się już na dzień przed wydarzeniem. Każdy uprzejmie, ale stanowczo zamawiał sobie najdogodniejsze miejsce, delikatnie objaśniając innym łodzianom, że jutro będą musieli postawić stragan gdzie indziej. Toczyły się o to niewielkie spory, choć Grzęda i Moranowicz prawie się pobili. Zofia Sobótkowa wróciła z rynku i – rada nierada – zawołała Żelichowską, by zapytać, gdzie nazajutrz postawi kram.

– Obok ratusza – odpowiedziała pewnie Żelichowska. – Ja wiem, że wszyscy chcą tam stawiać, ale nie postawią, bo ja pierwsza pójdę jutro na rynek, choćbym miała po ciemku kram nieść.

Była kobietą, której trochę się w Łodzi bano. Powiadano, że trzeba na nią uważać, bo jest mściwa, a jeśli coś nie pójdzie po jej myśli, może zaszkodzić przeciwnikowi na amen. Zofia pomyślała przez chwilę nad jej zaciętością.

– Pomyślałam, że można obok siebie nasze kramy ustawić, żeby Wiesio rozmowę zaczął z naszą Wandą – powiedziała niepewnie.

– To prawda, że czas już na nich. Kramy obok siebie ustawimy i zobaczymy, co im z rozmowy wyniknie. Ja Wiesia postawię, by sprzedawał, a ty postaw Wandę.

Tak sąsiadki się dogadały.

– Tylko nie nastawaj na nią i nie bądź nachalny – wieczorem Żelichowska przekazała Wiesiowi wytyczne. – Grzecznie się odzywaj i rozmowę zaczynaj półsłówkami. Pamiętaj, że to płocho dziewczyna, żebyś przypadkiem jej nie wystraszył. Obiecana czy nie, warto, żeby wyszła za ciebie z radością.

Wiesio siedział strapiiony przy ławie i martwił się, jak przebiegnie rozmowa. Nagle zabrakło mu tematów, więc gorączkowo próbował

chwycić się jakiejś zgrabnej myśli. Jednocześnie serce biło mu radośnie na myśl o tym, że będzie mógł zamienić z Wandą kilka słów. Rozważał więc długo różne warianty i wybrał w końcu trzy: będzie pytał oczywiście o jarmark, bo to rzecz podstawowa. Zaraz potem, gdy temat się skończy, zapyta o zdrowie rodziny. Po trzecie, pokieruje rozmowę na tegoroczne sianokosy i zapyta o ulubioną zabawę na wigilię świętego Jana. Choć to ostatnie rozważał jeszcze, by pobożna Wanda nie wzięła go za hulakę.

Tego wieczoru Wanda nie mogła zasnąć. Leżała, marząc o Konradzie Jezierskim, choć było jej z tego powodu trochę głupio. Doskonale wiedziała, że gdyby mogła zobaczyć swoje pragnienie jako widzialny przedmiot, pewnie byłby to popiół. Od czasu do czasu wyszarpywała się więc z nierealnych marzeń i wzdychała ciężko. Zaraz jednak znów zagłębiała się w długie pasjonujące rozmowy, wyobrażając sobie, że jest szlachcianką. Widziała przed sobą szelmowski uśmiech Konrada, jego długi lisi nos i pięknie zarysowane brwi. W końcu dała się ponieść rozmyślaniom. Zamknęła oczy i widziała wyraźnie, ma piękną chustę z kosztownego zwiewnego materiału, tańczy z Jezierskim, a potem przeczesuje palcami szlacheckie włosy. Mogłaby mieć jedwabną suknię ze wstawkami i bufkami, a na nogach atłasowe trzewiki.

Nagle z daleka dobiegł kwik świni. Wanda otworzyła oczy. Resztki marzeń rozplynęły się, pozostawiając po sobie słodkie wspomnienie. Jednocześnie poczuła, że wzbiera w niej silne rozczarowanie, bo przecież to Wiesio był jej pisany. Właśnie wtedy, gdy nad tym dumiała, szybka jak strzała myśl przeszła jej rozgorączkowany umysł. Już wiedziała, dlaczego na myśl o Wiesiu dostaje mdłości – bo patrząc na niego, nigdy nie poczuła, że krew uderza jej do twarzy albo że ciało robi się wiotkie, gotowe do omdlenia.

Po policzku Wandy spłynęła łza. Rozejrzała się nienawistnie po izbie, bo cały ten mieszczański dom, wszystkie krowy, dwa woły, skrzynie, naczynia i ona sama – wszystko to razem nie było warte nawet połowy folwarku w Chojnach. Z ciężkim sercem złożyła głowę na poduszkę i obiecała sobie rozsądek. Wciąż miała nadzieję, a nawet była pewna, że nazajutrz Jezierscy przyjadą na jarmark do Łodzi.

Gdy tylko słońce załśniło pierwszymi promieniami, ludzie zaczęli wstawać i szykować się na jarmark. Modlono się o dobry zarobek, składano kramy, a gdzieś już otwierano kramnice. Cała Łódź nagle ożyła i przeistoczyła się z zaspanego miasteczka w ruchliwe i tętniące życiem miejsce. Po raz pierwszy od wielu tygodni słychać było gwar wylewający się z domów na ulice i rynek. Miasto stwarzało pozór radości i bez troski. Tylko gdzieś głęboko pod nimi przydeptywano i zgniatano bosymi stopami rozpacz i biedę.

Sobótkowie też się szykowali. Wanda zaplotła dwa ciężkie warkocze i przewiązała je czerwonymi wstążkami. Założyła lnianą koszulę, a na nią gorset. Wiedziona przecuciem o przyjeździe Jezierskiego postanowiła włożyć ładniejszą spódnicę z sukna. Była co prawda z grubszego materiału i bardziej nadawała się na jesień, ale za to wyglądała najlepiej. Dziewczyna postanowiła nie brać fartucha, by zaprezentować się jak najokazalej. Jedynym elementem psującym kompozycję był biały czepiec. Gdy tylko go założyła, od razu przypomniała jej się żalosna scena z rowu przy drodze Jagodnickiej.

Jaśnie pan Jezierski nie może mnie w tym zobaczyć – dumiała. Ostatecznie jednak nie było innej możliwości. Z nieszczęśliwą miną zawiązała czepiec, ale postanowiła ozdobić go czerwoną wstążką.

Zofia przyglądała się córce z dumą, przymykając oko na spódnicę. Była pewna, że córka dowiedziała się o sąsiedzkim kramie i szykuje się do rozmowy z Wiesiem. Z zadowoleniem wzięła koszyk i wyszła z sieni, przeganiając kury.

Po wojnie w Łodzi wiele się zmieniło. Przyjeżdżało mniej kramarzy, więc wieśniaczki ustawiały się z wyrobami na rynku obok mieszczan. Tym razem było jednak inaczej. Ze wszystkich stron zjeżdżali kupcy i rzemieślnicy, a towary mieli tak wymyślne, że tylko starsi łodzianie pamiętali podobne bogactwo. Ciągnęło też pospólstwo z Widzewa, Chojen Dużych i Małych, Brusa, Mileszek, Stoków i Starej Wsi. Jakby tego było mało, na jarmark przyjechali bogaci mieszcianie z Lutomiarska, Zgierza, Łęczycy, Brzezin, a nawet z Piotrkowa. Ryszard Sobótka rozglądał się w tym tłumie, pospiesznie rozstawiając kram obok Żelichowskich. Rozpoczęły się pierwsze transakcje, łodzianie wystawiali na straganie wszystko, co tylko było możliwe.

Każdy miał coś do sprzedania. Od wędlin, serów, chleba i mąki po miód, płótna i siano. Gdzieś rozłożono krzyżyki i różańce. Na ugór przyprowadzano lub znoszono zwierzęta gospodarskie. Wnet Łódź wypełniła się nie tylko gwarem i rozmowami, ale też muczeniem, meczeniem, kwikiem i gdakaniem. Echo niesło ryki wołów głęboko w lasy. Przyprawiano stare sztuki, by wymienić je na nowe lub sprzedać na mięso. Było słyszeć, jak kupcy dobijają targu. Gdzieś pomiędzy nimi ustawiali się Żydzi, oferując krowy i kury, a z Lutomiarska i Piotrkowa sprowadzono nawet konie. Wydawało się, że cała wschodnia Wielkopolska miała zamiar uczestniczyć w jarmarku.

Chłopki zaczęły schodzić się z koszykami. Widząc, że tym razem nie ma w Łodzi miejsca, by usadowić się z towarami na rynku, przenosiły się dalej, aż w głąb ulic. Podobnie robili wieśniacy, rozstawiający się z owocami i warzywami, a czasem słomą. Niektórzy targali porąbane drwa, inni znów ciągnęli za miasto, by zobaczyć zwierzęta.

– Wandzia, będziesz pomagala ojcu przy kramie – powiedziała Zofia, wkładając towary do koszyka – ja zaś rozejrzę się za miodem i drewnem.

Wanda bez słowa skinęła głową, choć nie miała najmniejszej ochoty na pilnowanie straganu. Sądziła, że prędzej ujrzy Jezierskiego, jeśli będzie przechadzać się między kramami.

– Na jarmaczek pójdziem prędko, pomachamy tylko ręką, dukaciki się posypią, potem lędźwia w łóżku gibną – śpiewał dziaduszko, nie zwracając uwagi na zgorszona minę Zofii.

Wanda wzięła koszyk z jabłkami, suszonymi grzybami i jajkami. Nie było tego dużo, bo rodzina Sobótków, podobnie jak większość łodzian, od jedenastu lat żyła skromnie. Na sprzedaż było głównie to, co dawała natura. Obwoźni kupcy i rzemieślnicy mieli więcej do zaoferowania. Zwłaszcza Żydzi z Lutomska, którzy przyjechali, by handlować narzędziami i zwierzyną.

Był jeszcze poranek, a Wanda już czuła, że w spódnicy z sukna będzie jej gorąco. Nie zrażała się tym jednak i szła z bijącym sercem na rynek, mając nadzieję, że Jezierski już jest w mieście lub niebawem nadjedzie. Postawiła koszyk, wyjęła z niego jabłka i grzyby, pozostawiając małe jajka. Odwróciła się, by pójść do domu po resztę towaru i znieacka wpadła na Wiesia.

– Kłaniam się do stóp i o wybaczenie proszę. Nie chciałem cię przestraszyć – rzekł Wiesio.

Wandę nie tyle przestraszyło nagłe spotkanie, ile dziwne, poważne słowa Wiesia, które wypowiedział niby bezwiednie.

– Jezus Maria – wyrwało się z gardła dziewczyny.

Stali naprzeciwko siebie. Wielkie, przerażone oczy Wandy wydały się Wiesiowi najpiękniejsze na świecie. Uśmiechnął się, choć nogi trochę się pod nim ugiwały.

– Na jarmark przyszłaś? – zapytał Wiesio niezbyt mądrze.

– Tak. Właśnie idę do domu po więcej, bo mamy jeszcze trochę jabłek i warzyw.

Ryszard Sobótka był obok i przysłuchiwał się rozmowie, gryząc wąsy ze śmiechu. Przy drugim kramie stała Żelichowska i dyskretnie zasłaniała usta niedługim warkoczem, by nikt nie widział, że rzy z rozbawienia.

– Postawiono kram przy kramie i jest mało miejsca na rynku – spróbował znowu Wiesio, drapiąc się po głowie i rozglądając dookoła.

– Jak na każdym jarmarku – odparła Wanda, nie wiedząc, jak się zachować.

– Jak zdrowie w rodzinie? – zapytał Wiesio, szybko przechodząc do drugiego tematu.

– Wszyscy zdrowi, dziękuję – odpowiedziała Wanda dyplomatycznie.

Wesio najbardziej pragnął, by dziewczyna też o coś go zapytała. Nie wiedział, czy jej małomówność wynika z nieśmiałości, wstydu czy z grzeczności. Tymczasem Wanda umierała wewnątrz i aż skręcało ją na myśl o dalszej rozmowie. Wiedziała jednak, że musi zachowywać się godnie, jak przystało na pobożną, pracowitą mieszczańkę.

– Duży skwar dzisiaj będzie – powiedział Wiesio, prawie błagalnym tonem.

Chciał zobaczyć chociaż skrawek uśmiechu lub zrozumienia. Jednak z twarzy Wandy nie mógł wyczytać niczego podobnego. Widział w jej

oczach raczej popłoch i miał nadzieję, że wynika on z nieśmiałości i zawstydzenia. Chabrowe oczy spoglądały na niego z migotliwym przerażeniem zapędzonej zwierzyny.

– Chodź, droga Wandziu, zobacz, jak ładnie ozdobiłam nasz kram – odezwała się Żelichowska.

Postanowiła pomóc synowi, który stał naprzeciwko Sobótkówny i wędrował z maślanym wzrokiem w głąb umysłu, próbując znaleźć choć kilka pasujących do siebie słów. Żelichowska przyjrzała się Wandzie z uwagą. Zauważyła na jej twarzy nie tylko popłoch, lecz także zgrozę.

– Tu przepasałam wstążeczką, tu ozdobiłam sznurkiem. Na tym farbowanym płótnie koszyk dobrze wygląda, czyż nie? Po lewej stronie gruszki, bo mamy dwie grusze. Zaraz obok gruszek, jak widzisz, siano. Mieliśmy trochę tego, które zostawił nam kuzyn nasz z Tuszyna, kiedy przyjechał konno w odwiedzin. To ja siano, hyc! i postanowiłam położyć na jarmark. Nasz kuzyn z Tuszyna powiada, że najlepsze takie siano ni mokre, ni wyschnięte. A to jest właśnie takie, dotknij, duszko. A tu obok masz smalec, bo to teraz ważne. Wciąż tłuszcz trzeba zbierać na zimę. Ty też musisz to robić, żeby taką chudzinką, tyczką nie być, bo to i wiatr porwie, jak słusznie powiada kuzyn z Tuszyna, co ma konia i być może nam kiedyś tego konia daruje, jak już stary będzie i kupi sobie nowego. Mam na myśli, że stary będzie koń, nie kuzyn. Nigdy nie wiadomo, nigdy się nie wie. A tu po prawej stronie, już na koniec, widzisz, trochę grzybów, podpatrzyłam, że wy też macie, a potem i drobiu wiele, bośmy na jarmark dwie kury zarżnęli. Z tego trochę żeśmy pojedli, a trochę wystawiłam na dzisiaj, bo to pewny zarobek. Pamiętaj, duszko, drób schodzi jak pierzyna. W zeszłym roku nasz kuzyn z Tuszyna to właśnie cztery kury zabite na jarmark wystawił i dostał taką zapłatę, że za to krowę kupił. I patrz, krowa

dalej mu chodzi i je wszystko, mleko daje, a kiedyś na zarżnięcie pójdzie i też będzie dochód.

Pani Żelichowska mówiła jeszcze co najmniej przez dziesięć minut. Wiesio patrzył na to zdumiony, a Wanda udawała, że słucha. Siana dotykała, grzyby wachała, gruszek próbowała. Słowem – robiła wszystko, co poleciła sąsiadka. Nie czyniła tego jednak z zainteresowania, lecz z grzeczności i lekkiego onieśmienia. Dochodziły ją przecież słuchy, że Żelichowska jest jej przyszlą teściową, a z teściową warto żyć dobrze.

Wiesio kręcił się przez cały czas przy straganie i czekał na koniec monologu. Jednocześnie obserwował reakcje dziewczyny: jej grzeczność, przyjemny profil i nieliczne skinienia głową. Z miny Wandy nie dało się zbyt wiele wyczytać, więc Żelichowscy mieli nie lada zagadkę.

Tymczasem od strony Chojen nadjeżdżał wóz Jezierskich. Woźnica popędzał konie, bo chciał jak najszybciej zajechać do Łodzi, by nie słuchać dysput politycznych. Karol Jezierski, ubrany odświętnie, prawie po magnacku, spierał się z synem. Ojciec nie przepuszczał żadnej okazji, by wyrazić swoją opinię.

– Chwała Bogu za *liberum veto* – zaczął zaczepnie, gdy tylko rodzina usadowiła się w wozie – pamiętam, jak szlachta miała mniej praw i przechodziły najgłupsze nawet ustawy.

Konrad zrazu siedział cicho, by nie prowokować ojca.

– Wszędzie rządzi król, tylko u nas szlachta się po sejmikach rozbija jak po szynkach – wtrącił wreszcie nieśmiało.

– Zobaczysz, że jeszcze kryzys zwyciężymy, ekspansję na Wschód zaczniemy. Na Moskwę pora ruszyć, by nam ziemie utracone oddała, bo to moc dobrych terenów pod uprawę.

– Bez królewskiej pomocy i błogosławieństwa Bożego nic osiągnąć nie sposób, ojcze. A z ekspansji też trzeba zrezygnować, co zauważył ostatnio nawet podkanclerzy koronny.

– A co powiesz na rokosz zorganizowany słusznie przeciwko królowi? – zaczął Karol, zjadliwie zmieniając temat. – Chwała Panu, że wielmożny hetman Lubomirski zebrał oddział i odparł atak króla. Za dużo ci władzy? Mogłeś się chamem urodzić.

Konrad gwałtownie nabrał powietrza, a na jego jasnych policzkach pojawiły się dwie szkarłatne plamy. Ostatkiem sił opanował wściekłość, pozwalając jej powoli ujść wraz z wydechem. Dopiero wtedy spokojnie przeszedł do wygłaszania swoich racji.

– Ojcze, Jerzy Lubomirski to niezwykły wojownik, ale buntownik i zdrajca, a poza tym nie jest już hetmanem. I nie unoś się, bo ostatecznie każdy jakiś pogląd ma i nie wszystko musi być jednakowe.

Karol Jezierski z oburzenia stracił rezon, ale zaraz trochę ochłonął, pomilczał i znowu zaczął pod nosem zaczepiać syna.

– I po co nową walutę wybijać, jak to skóry parchatego cielaka nie jest warte? A ten tynfiarz – niech ja go tylko dorwę – podobno jakieś przekręty robi. Zobaczysz, w końcu pod sąd pójdzie.

– Z walutą pomysł nietrafiony, co chyba wszyscy wiedzą – odparł Konrad niechętnie.

– Ostatnio widziałem się w Piotrkowie z wielmożnym panem Ostrogskim. Opowiadał, jak rok temu zjechał na pogrzeb waćpana nieboszczyka Sapiehy. Świeć Panie nad jego duszą. Był to człowiek nader wspaniały, o Rzeczpospolitą dbający.

– Bo z królem miał zatarg – westchnął prawie niesłyszalnie Konrad. Stary Jezierski zaraz to podchwycił.

– I dobrze, że miał, bo król chciał jego hetmańskie wpływy osłabić, cały czas imć pana Gosiewskiego faworyzując. Tak się kończy władza królewska – rzekł, podnosząc palec w geście ostrzeżenia.

Konrad zamilkł, bo dnia by mu nie starczyło na przekonanie starego. Woźnica Ochoj milczał także i o nic nie pytał, tylko dyskretnie popędzał konie batem. Wóz toczył się prędko. Pani Anna Jezierska siedziała z naburmuszoną miną i podskakiwała na większych wybojach. Ledwo hamowała się, by nie zasłonić uszu. Kłótnie polityczne już ją zmęczyły, a jeszcze nie było nawet południa.

Tak jechali Jezierscy, spiesząc do Łodzi na jarmark. Konrad miał głowę zajętą sztuką wojenną. Wypoczynek w Chojnach dobrze mu robił. I choć wrócił mu wigor, to często rozmyślał o polityce i przypominał sobie obrazy wojny. Teraz stanęli mu przed oczami martwi ludzie i konie porozrzucane po całej Rzeczypospolitej. Ani jednej myśli nie ofiarował tego poranka nieznanym łodziance, która z bijącym sercem czekała na przybycie szlacheckiego wozu.

Jerzy Sobótko kręcił się między straganami ze złą miną. Towarzyszyła mu Zofia szukająca dobrego i niedrogo drwa. Nachyliła się nad obrażonym teściem.

– A cóż to, jakaś niemiła historia się dzisiaj przytrafiła, drogi ojczu? – zapytała. – Przecież Ryszard poszedł kupić woły. Teraz będzie siła na naszym polu. A wszystko dzięki twojemu sprytowi.

– Nie – burknął łodzianin najstarszy i rolnik niezrównany – tylko zanim oni zaczną ze sobą gadać, to się jarmark skończy – powiedział dyskretnie, kiwając głową w stronę Wandy i Wiesia.

Zofia westchnęła zafrasowana.

– Wiesz przecież, że dziewczyna płocha, ale widać, że zależy jej na rozmowie, bo ubrała się odświętnie, najlepszą spódnicę z sukna założyła, włosy czerwonymi wstążkami ozdobiła. Nie ma się co martwić. A jeśli sama się nie przekona, to my ją przekonamy. Tylko musi na naszą wolę się zdać, gdy już swat przyjdzie.

– A jak go nie zechce? – zapytał dziaduszek wprost.

– Musi. Wiesiek to dobra partia, a ja od niej sprzeciwu nigdy nie usłyszałam. Zawsze mi w pracach domowych pomaga, wodę nosi, w polu grzecznie robi. W zabawach nie uczestniczy i modli się żarliwie. Wanda to dobre dziewczę – wzruszyła ramionami.

Zofia Sobótkowa była postawną kobietą o ostrych rysach. Gospodarstwem zajmowała się przednio i nie zaniedbywała niczego. Jej jedyną wadą była gruboskórność. Nie potrafiła współczuć i uważała, że zawsze należy realizować postanowienia według ustalonych zasad. Oczywiście męża traktowała wyjątkowo. Tworzyli udane małżeństwo, być może jedno ze szczęśliwszych w całej Łodzi.

Sobótkowie stanowili pod tym względem wyjątek. W nieszczęsnej Łodzi pijaństwo i burdy szerzyły się coraz bardziej. Mieszkańcy zdawali się zapominać o człowieczeństwie i o tym, że tylko razem mogą odbudować zniszczone miasto i podnieść na duchu tych, którzy mają kłopoty.

Jaskrawym przykładem tragedii i degrengolady byli Paczoskowie. Katarzyna Paczoskova zawsze chodziła po mieście ze śladami pobicia, nie nadążając spierać z ubrań plam krwi. Teraz też snuła się z mężem po rynku, ukrywając pod włosami olbrzymie sińce na karku. Obok niej spacerowała gromadka dzieci, bo Paczoskowie mieli ich dziesięcioro.

Kiedyś Paczoskova zaalarmowała w nocy całe miasto, bo mąż skatował ją prawie na śmierć. Poroniła. Wyczołgała się z domu w obdarłej koszuli i zaczęła wyć na progu. A wyła tak głośno, że nawet w Starej Wsi było ją

słyszeć. Wtedy mąż się wystraszył. Zawłókł ją za włosy do domu, ale już nie bił, tylko pozwolił leżeć na drewnianej ziemi.

Zdarzenie widziało kilku sąsiadów, bo powoli noc przechodziła w dzień. Pobiegli na skargę do wójta, bo, choć sami święci nie byli, takiego kata nie znali. Gliniewicz ukarał Paczoska grzywną. Cóż z tego, skoro kobiecie nie wróciło to ani dziecięcia, ani zdrowia. Od tamtej pory Paczosek katował rzadziej, ale okrutnie. Łodzianie dziwili się, że jego żona wciąż żyje. Nie miał jej kto obronić. Rodzice dawno zmarli na zarazę, a rodzeństwo wyjechało i pozakładało rodziny, nie wiedząc o nieszczęściu siostry.

Różni ludzie się zebrali i Łódź przypominała tego dnia wielkie mrowisko. Zjechali się bogacze z pobliskich folwarków, zbiegli włóczędzy z różnych stron Polski. Nie zabrakło hultajów i murew ukrywających się pod zwykłymi sukienkami. Przyjechali kupcy obwoźni, którzy zwykle, z powodu niewielkiego zarobku, do Łodzi zajeżdżali niechętnie. Rzemieślnicy też handlowali. Na gości czekały zamówienia i usługi krawieckie. Oferowano odmierzanie i ucinanie tkanin oraz płótna, czym najbardziej byli zainteresowani bogacze i szlachta. Krawcy zdejmowali miarę, chodzili dookoła, cmokali z zadowoleniem, polecając produkty rzekomo przywiezione nawet z morza.

Przekrzykiwano się i polecano wyroby. Łodzianie chociaż na chwilę zapomnieli o krzywdzie, przywdziali krzywe uśmiechy i zamaszyste gesty. Wprawne oko zauważyłoby, że za radością kryją się smutek i tragedie, a zaproszenia i wylewne ukłony są wymuszone, jakby mieszkańcy brzydzili się własną uprzejmością. Nikt jednak nie zwracał na to uwagi. A jeśli to

widział, to nie dziwił się, bo miał podobne doświadczenia – wojny, najazdy i pożary, nocne koszmary duszące jak z mora.

Starcy kręcili się przy dewocjonaljach, a mieszcзки kupowały jedzenie i drwa. Mężczyźni tłoczyli się przy wyrobach rzemieślników, ale coraz częściej spoglądali w stronę karczem, planując, co zrobią pod koniec dnia. Młodzi wyręczali starców, idąc po zwierzęta.

Była jeszcze jedna – bodaj najdziwniejsza grupa – szlachta. Rozpychała się między chłopstwem i mieszczanami, muskała delikatnymi palcami drogie tkaniny i barwne bele materiałów. Takich okazji najbardziej wyczekiwała pani Jezierska; jechała na jarmark jedynie po to, by pooglądać modne nowości. Z kolei jej mąż wybrał się do Łodzi dla zabawy, czyli politycznych dyskusji. Przy okazji chciał pojechać za miasto, by kupić bułanego konia, więc Anna i Konrad wysiedli przy rynku, a Karol polecił stangretowi jechać dalej.

– Katarzyna z Andruszkiewiczów pytała o ciebie – powiedziała Anna, gdy przechadzali się pomiędzy straganami.

– Dziękuję, droga matko. Jak zdrowie panny Katarzyny?

Pani Jezierska uśmiechnęła się pod nosem, słysząc zainteresowanie w głosie syna.

– Zdrowie dopisuje jej i całej rodzinie. Chcielibyśmy cię wreszcie do ślubu poprowadzić, byś się ożenił z panną Katarzyną. Mądre to dziewczę i zdrowe, a przy tym z polsko-litewskiego rodu się wywodzi. Andruszkiewiczowie to wielcy przyjaciele ojca. Przymknijcie obaj oko na sprawy polityczne, które was dzielą, i zgódźcie się przynajmniej na tę samą pannę.

– Czy ojca nie trzeba będzie przekonywać? – zapytał Konrad.

– Ojciec właśnie tylko do tej panny przekonany i do żadnej innej. A Andruszkiewiczowie to przeciwnicy króla, obrońcy szlachty. Wiesz, jaki

jest ojciec...

Konrad tylko syknął nieprzyjemnie, jakby stanął na osę. Jednocześnie zafrasował się i cała radość, którą poczuł na wspomnienie panny Katarzyny, uleciała w jednej chwili. Owszem, Andruszkiewiczówna uchodziła na Litwie za niezrównaną piękność i w całej Koronie trudno było znaleźć równie dobrą partię. Konrad nie miał jednak wątpliwości, że króla poważnie zasmuciłoby połączenie z rodziną jawnie sprzeciwiającą się dworskim decyzjom.

– Mogłaby przyjechać z rodzicami, bo dawno jej nie widziałem. Kiedy zaczęła się wojna, chwilę bawiłem u Andruszkiewiczów, by stamtąd jechać na Inflanty.

– Powiem ojcu, niech pośle pismo na Litwę – rzekła Anna uradowana.

Na tym skończyła się rozmowa o przyszłej żonie Konrada. Ciżba obserwowała spacer Jezierskiego i oczywiście próbowała podsłuchać rozmowę. Biedota patrzyła na szlachtę z daleka, nie ośmielając się podejść. Wśród zainteresowanych był też Staszko Grosik. Dziecko z zachwytem spoglądało na piękną, wyprostowaną sylwetkę Konrada, na jego majestatyczne ruchy i wytworną gestykulację. Staszko też marzył o tym, by zostać żołnierzem, o trudach i znojach walki, o koniu i szlacheckim rodowodzie.

W wyobraźni widział siebie zupełnie innego. Był szanowany. Mocno i swobodnie trzymał się w siodle. Dosiadał pięknego kasztana lub gniadosza. Ubrany był po szlachecku, miał na nogach buty, a za pasem szablę ze zdobioną rękojeścią. Przede wszystkim jednak był szanowany. Nikt nie śmiał na niego splunąć, dać mu kopniaka czy wygnać spod płotu.

Dziecięcy zachwyty zauważyła Grosikówna, ze złością szarpnęła dziecko za łokieć i pociągnęła za sobą. Wyglądała, jakby właśnie przeżyła zawód życia.

– To oni nas za motłoch mają, a ty jak w obraz się patrzysz?! – syknęła i opuściła rynek cała we łzach.

Nikt tego nie zauważył, oprócz dziaduszka Jerzego i Zofii. Kobieta zbyła awanturę milczeniem, ale starzec pokręcił smutno głową.

– Prawdę powiada – stwierdził.

Zofia popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Trzeba znać swoje miejsce – powiedziała. – Ja się do przywilejów nie pcham i uradowana jestem, że Bóg nie zesłał mnie na ten świat jako chłopkę.

Kilkanaście metrów dalej siedział Wiesio i cały czas patrzył na stragan Sobótków. Nie mógł skupić się na sprzedawaniu. Do tego stopnia rozmarzył się o Wandzie, że zignorował poważny przesąd, aby pierwszy interes ubić z mężczyzną. W przeciwnym razie cały zarobek mógł pójść na marne. Sprzedał więc gruszki kobiecie i teraz z nieszczęśliwą miną czekał na następnych klientów. Co chwilę jednak zerkał w bok i patrzył na jasne warkocze ozdobione wstążką i na bladą, lekko speszoną twarz.

Wanda zaś wcale nie spoglądała na Wiesia, choć czasem przypominało jej się, że powinna. Nie mogła się jednak do tego ani przekonać, ani zmusić. Czuła niepokój i niechęć. Obie emocje zatruwały jej nastrój sielanki zwykle udzielający się łodzianom w święto jarmarczne. Ogarniała wzrokiem cały rynek, nieprzytomnie łapiąc się na tym, że wypatruje kędzierzawych loków i bystrego spojrzenia.

– Wanda, ale pilnuj kramu! – strofował ją czasem ojciec, patrząc z niepokojem na rozbiegany wzrok córki.

Ojcowskie uwagi niewiele zmieniały. Wanda na chwilę wbijała oczy w stragan, po czym znów ogarniała wzrokiem morze głów, wypatrując Jezierskiego. Czuła się rozkojarzona i zamknięta pod przezroczystym

kloszem, spod którego dobiegały ją podniecone śmiechy, rozmowy i nawoływania.

Słońce sięgało zenitu. Ciepłe promienie otulały Łódź niewidzialną kołdrą. Dziaduszko patrzył na roześmiane i rozluźnione twarze, uśmiechając się do siebie. W tym szczególnym dniu miasto przypominało mu dawną, przedwojenną Łódź. A było to miejsce zupełnie inne, w niczym nieprzypominające gnijącego, przestraszonego miasta, w którym piękne sny skończyły się dawno temu i tylko starsi jeszcze je pamiętali.

Spod ciepłej otuliny wyłoniła się nagle twarz Konrada. Ciężka rozsunęła się nieco, robiąc przejście gościom z Chojen. Namiestnik i pani Jezierska przechadzali się wzdłuż ściany kramów, dochodząc aż do ratusza. Dziaduszko odruchowo spojrział na Wandę i aż oniemiał ze zdumienia, bowiem twarz dziewczyny nagle stężała i przybrała odcień purpury. Sobótkówna zadrżała i zalała ją tak silna fala emocji, że zrobiło jej się słabo. Osunęła się lekko, opierając łokcie o kram. Przy tym strąciła kilka jabłek, które głośno uderzyły w ziemię.

Wiesio poszarzał, gdy zobaczył, jak silne wrażenie zrobił na Wandzie Jezierski. Mimo tego wstał, pozbierał jabłka i bez słowa podał je dziewczynie. Nie śmiał jej spojrzeć w oczy, więc natychmiast wycofał się do swojego stoiska i nie odrywał wzroku od towarów rozłożonych na desce.

Jerzy Sobótka obserwował tę scenę z niepokojem, bo choć był starym człowiekiem, pamiętał przecież, jak wyglądają porywy serca i nagłe afekty. Poblądł nieznacznie, spojrział na Wiesia, który wyglądał jak umrzyk, po czym wziął do ust tabakę.

– Ryszard, zmień Wandę, bo jest zmęczona i słońce daje jej się we znaki
– poleciał łodzianin najstarszy i rolnik niezrównany.

– Nie, nie, najukochańszy dziaduniu! – zaprotestowała dziewczyna. – Ja mam jeszcze dużo siły, mogę siedzieć.

– Pójdiesz ze mną, i to już – nakazał stanowczo dziaduszek i pociągnął Wandę za rękę, a krzepy miał niemało.

Nieszczęśliwa dziewczyna posłusznie wstała i odeszła od straganu. Liczyła na to, że Jezierski chociaż na nią spojrzy, a może nawet będzie chciał coś kupić. Tak się nie stało. Konrad przemknął obok kramu Sobótków tak bezwiednie, jakby w miejscu straganu niczego nie było.

– Dlaczego patrzysz na szlachtę, zamiast się robotą zajmować? – zapytał dziaduszek niemilo. – Ty wiesz, że Jezierski na ciebie nie spojrzy – dodał dobitnie.

Wanda poczuła, że zapada się pod ziemię. A więc odgadnięto jej tajemnicę. Całe miasto będzie się z niej śmiać i pokazywać palcami. A może nawet do jaśnie pana Konrada dojdzie wieść o jej afekcie. Pod powiekami dziewczyny zalśniły łzy.

Jak to brzmi: namiestnik chorągwi husarskiej i łodzianka? Przecież to nieudany dowcip – pomyślała, ale postanowiła za nic nie przyznawać się do afektu.

– Zamyśliłam się tylko – odpowiedziała na swoją obronę.

– Kłamiesz, duszko, a to nie przystoi. U spowiedzi będziesz musiała to opowiedzieć. Na szlachcica się oglądasz, aż ci jabłka spadają, a mnie okłamujesz. Ja stary, ale swoje wiem. Ja ten wzrok znam i za długo po ziemi chodzę, by się nabrać na twoje banialuki – rzekł starzec. – Wiesio Żelichowski jest dobry i porządny, a tamten się niedługo ze szlachcianką żeni.

Wanda pobladła nieznacznie.

– Skąd takie wieści? – zapytała mimowolnie.

– Wszyscy teraz tylko o tym gadają, bo pani Jezierska rozmawiała z synem o jakiejś dobrej partii z Litwy. Podobno to wielka szlachcianka. Podsluchano i rozgadano o tym po całej Łodzi. Nawet przez pięć sekund na ciebie nie spojrzę ten szlachetka, bo on z innej gliny ulepiony i ty z innej.

Wanda zagryzła wargę aż do bólu. Jednocześnie przekonywała siebie w myślach, że wiadomość jej nie zaskoczyła. W końcu musiało się kiedyś tak stać, choć Sobótkówna nie przypuszczała, że gdy o tym usłyszy, poczuje, jakby zimne sztylety przeszły jej ciało.

– A więc on ożeni się ze szlachcianką z Litwy, a ja wyjdę za Wiesia Żelichowskiego – powiedziała cicho, ale stanowczo.

– O ile cię Wiesio zechce, bo zimna jesteś dla niego jak lód. Rozmów się z nim, rzuć czułym oczkiem i uśmiechnij się czasem. Gadaj z nim choćby o pogodzie.

Dopiero teraz Jerzy puścił rękę Wandy i polecił jej wrócić do kramu. Potem obejrzał się za panem Jezierskim i jego matką, życząc sobie, by szybko wrócili do Chojen.

Szlachta licznie przyjechała na jarmark. Mężczyźni zachowywali się coraz głośniejsze, bo już popili w karczmie. Nadchodził wieczór i coraz więcej burd zdarzało się na rynku. Chłopi zaczęli zabierać swoje koszyki i liczyć utarg, by szybko zejść z drogi pijanej szlachcie. Niektórzy wiele do zwady nie potrzebowali, a na chłopach wyżywali się nieraz jak na ochłapie mięsa.

Jezierski także pił w karczmie. Ojciec kupił nowego bułana i właśnie opijał litkup ze sprzedawcą. Konrad mógł więc polecić rodzicom powrót do Chojen, a sam pojechać w nocy na nowym wierzchowcu. Wobec tego nie żałował sobie gorzałki. Myśli przeplatały mu się jak warkocze, bo był już

w stanie, gdy nastroje mieszają się i tworzą w umyśle rozstrojone plamy różnych emocji.

W kącie spało trzech pijanych szlachciców. Pośrodku karczmy, przy głównych ławach, usadowili się najwięksi piniacze i awanturnicy. Na razie bawili się zgodnie, ale kilku szlachciców najbardziej skorych do awantur już łąpało na siebie spode łba. Całe towarzystwo przechylało kielichy i darło się do siebie, przodując w pijackich żartach. Karczmarz Sądecki chwycił się za nieliczne włosy, które mu zostały, i usłużnie stawiał na ławy coraz więcej miodu. Wydawało się, że szlachta ma flaki z żelaza, bo tu i ówdzie zataczano się, ale wciąż wlewano w gardło gorzałkę.

– *Vivat Rzeczpospolita! Vivat ojczyzna!* – wznoszono toasty, nie bacząc na to, że Polska znajduje się w stanie kompletnej rozsyпки.

Konrad słuchał gromkich okrzyków z masochistyczną przyjemnością, a w głowie roiły się wspomnienia o wojnie.

Z każdą godziną miasto robiło się coraz dziwniejsze i bardziej obce. Był to kolejny rodzaj niebezpieczeństwa, który wyłaniał się z otchłani mroku. Lęk miał w tym zapomnianym miasteczku nieskończoną liczbę głów i choćbyś poodcinał ich już tysiąc, wyrastała kolejna. Chłopi zeszli szlachcie z drogi i zebrali się do wiosek. Obwoźni kupcy nawoływali do ostatnich zakupów i przymiarek. Łodzianie liczyli zarobek i rozmawiali z sąsiadami.

– Zarobek dziś udany? – zapytała Wanda nieśmiało.

Wiesio zrazu nie odpowiedział, bo w zamyśleniu zwijał kram. Jednak Wanda nie ruszyła się z miejsca i stała przy nim wyprostowana jak żołnierz. W końcu z roztargnieniem podniósł głowę i spojrzał na nią.

– Tak, całkiem udany – odpowiedział ze zdziwieniem.

– Dziś był bardzo pracowity dzień.

Wiesio szukał słów, by coś dodać, ale ich nie znalazł. Patrzył na Wandę z mieszaniną niedowierzania i radości. Dziewczyna zwróciła się więc do ojca, by zwinął kram, bo już późno i chłodno robiło się na rynku i prawie wszyscy rozeszli się do domów.

Echo poniosło ryk bydła spędzanego z powrotem do zagród. Z drugiej strony dobiegały odgłosy pijanej szlachty. Krzyczano, śmiano się, a gdzieniegdzie już bito. Choć ciemność dopiero nadchodziła, a wieczór szarzał powoli, najrozsądniej było zaryglować się w chacie i nie wpuszczać nikogo obcego.

– Trzeba wracać do domu, bo niebezpiecznie się robi – powiedział Wiesio, zwijając z ojcem kram.

– Tak, trzeba wracać – powtórzyła Wanda i zamilkła, bo nagle zobaczyła pędzący wóz Jezierskich.

Woźnica z miną cierpiętника popędzał konie, a na wozie siedziała pani Jezierska, zasłaniając sobie uszy. Obok niej leżał mąż pijany jak bela, wykrzykujący jakieś bezceństwa. Brakowało tylko Konrada.

Wszyscy odwrócili się, by zobaczyć ten osobliwy przejazd. Na rynku wzbily się tumany kurzu, przez chwilę nie było spod nich widać nawet charczących koni. Dziaduszko splunął na ziemię ze złości i zamachał laską.

– A takich to zawsze kara omija! – krzyknął w ślad za Jezierskimi.

Wanda spuściła wzrok, zastanawiając się, gdzie bawi pan Konrad, a reszta pospólstwa z większym lub mniejszym oburzeniem wróciła do pracy.

Jeszcze nie ochłonięto, a już na rynek wyszli bogacze z pijanym wójtem na czele. Gliniewicz szedł zamasyście jak nigdy. Potykał się przy tym o własne nogi. Jego kompania wchodziła w stragany, przewracała je i śmiała się tak głośno, że aż w Starej Wsi było słyhać.

– Uwaga! Pan Gliniewicz się bawi! Pan wójt też potrzebuje odpoczynku! – krzyczeli, podając włodarzowi Łodzi dzban miodu.

Kompania szła po rynku, wzbijając kurz. Była tam sieradzka szlachta niższego rzędu, ale też bogatsi łodzianie, wśród których rozpoznano Moranowicza i pana Drewno z synami. Był wśród nich namiestnik Jezierski, co łodzian wprawilo w zakłopotanie, bo nie wyglądał na rozrabiakę. Nie był jednak tak pijany jak reszta i szedł nieco z tyłu, rozmawiając o czymś ważnym z żołnierzem Bilewskim, z którym walczył pod Częstochową.

Wanda natychmiast pobladła, widząc Konrada w rozwrzeszczanym tłumie. Mimo że wzgardziła jego zachowaniem, serce nie dało się oszukać tak prosto jak umysł. Załomotało więc jak ptasie skrzydła w klatce.

– Ładnie się nasz szanowny namiestnik rozbija po karczmach – powiedział dobitnie dziaduszko, czytając wnuczce w myślach.

Wanda nie odpowiedziała, za to zaczęła oddalać się z rynku z niesprzedanym towarem.

– Ładna ta mieszczka, nie powiesz – rzekł lekko zachrypnięty Bilewski, wskazując na Wandę.

Nie usłyszała odpowiedzi, ale Konrad musiał wymamrotać coś nieprzystojnego, bo po chwili obaj szlachcice wybuchnęli śmiechem.

Tej nocy było w Łodzi niebezpiecznie, a ryki pijanej szlachty przypomniały mieszkańcom wojnę. Niewielu ludzi zasnęło, raczej patrzono przez okna lub przewracano się z boku na bok, próbując uspokoić nerwy. Nocne krzyki przypominały ryki najeźdźców. Przed oczami łodzian stawały koszmarnie twarze swoich i obcych pomazane krwią i smołą, poparzone i nadwęglone. Mowa polska mieszała się z obcą, wracały dawne urazy i bóle,

a największy sięgał serca, które biło od pewnego czasu coraz słabiej, jakby miasto umierało i czekało na ostateczny cios.

V



Nazajutrz znów pokazało się słońce. Mieszczanie szli w pole i wracali do zwykłych zajęć. Rynek wyglądał niczym pobożowisko. Gdzieś tam spała pijana szlachta, wszędzie zaś leżały porozbijane dzbany. Głodne konie, przywiązane przy karczmie, parskwały cicho.

Konrada Jezierskiego już dawno nie było w mieście. Jeszcze przed nocą wsiadł pijany na nowego konia i pojechał do Chojen. Nie był rozrabiaką, a ponadto dbał o reputację, więc z nikim nie chciał się wdawać w sprzeczkę. Wiedział o tym, że wielu przyjezdnych szukało tylko okazji do kłótni. Teraz leżał w łóżu i rozmyślał o Andruszkiewiczach i panie Katarzynie.

Tymczasem w Łodzi również o niej myślano. Sensacyjna wiadomość z Chojen była w domach komentowana prawie równie gwałtownie jak jarmark. Ludzie obgadywali ubiór i zachowanie sąsiadów, wyposażenie kramów, a nawet próbowali oszacować, kto ile zarobił. Przy tym wszystkim już robili się głodni nowych wydarzeń, bo tu i ówdzie zaczynały się coroczne rozmowy na temat nadchodzącej nocy świętego Jana.

Nie tylko młodzież czekała. Jerzy Sobótka co roku obchodził wigilię świętego Jana Chrzciciela, uczestnicząc w niektórych zabawach. Co prawda potępiał je ksiądz, ale nawet najpobożniejsi skakali przez ogniska i bawili

się, śpiewając i tańcząc. W tym roku czekano szczególnie, jakby noc świętojańska mogła wyzwolić Łódź i tchnąć w nią nowe życie. Do święta zostało kilka dni, więc już teraz dziaduszko siedział przy obejściu, strugając kijem.

– Hopla, hopla, tańczuj stara, od ogniska księdzu wara! Będą tańce i pląsańce, miodu kwarta i hopszańce! – podśpiewywał.

Pochylał siwą głowę, skupiając się bez reszty na śpiewaniu i struganiu kija. Gdy kończył jakąś przyśpiewkę, zaciskał wargi w linijkę, bo Jerzy Sobótko miał surowe usposobienie. Całe miasteczko go znało, choć starzec ani myślał, by się wyróżniać. W Łodzi panowało przekonanie, że Sobótko pamięta nawet czasy Stefana Batorego. Gdy jednak go o to pytano, uciekał mętnym wzrokiem i powtarzał, że nie wie, ale jak był młodszy, to na pewno więcej pamiętał z przeszłości, gdyż za Stefana Batorego już raczej żył.

Choć śmiano się trochę ze starca, to jednocześnie podawano go za wzór pracowitości. Dziaduszko bowiem nigdy nie ułatwiał sobie pracy, a nawet specjalnie utrudniał, widząc w tym przyczynę długiego życia. Nawet gdy przychodziła epidemia, dziaduszko zawsze się zawziął i nie umarł. Nucił więc dalej niepobożne pieśni, gorsząc i bawiąc mieszkańców.

Po jarmarku nie było zgody pomiędzy Sobótkami a Żelichowskimi. Sąsiedzi zachodzili w głowę, skąd u Wandy nagła niechęć do Wiesia. Na myśl im nie przyszło, by połączyć zachowanie dziewczyny z Konradem Jezierskim. Tylko Wiesio domyślał się, o co może chodzić, ale na głos tego nie powiedział. Żelichowska usiadła wieczorem na pieńku przy płocie i zawołała Zofię na rozmowę.

– Powiedz mi, droga sąsiadko, czy Wanda na ożenek przystanie. Jakoś niechętna naszemu Wiesiowi, co zauważyłam na jarmarku. Może ona

jakiegoś innego chłopca ma na oku? Byłaby to wielka szkoda dla naszej sąsiedzkiej przyjaźni i umowy, którą nasze rody zawarły ponad dekadę temu.

Zofia pobladła, bo ton sąsiadki był podobny do ostrego sopla lodu spadającego z dachu wprost na głowę. Jednocześnie wyczuła, że z Żelichowską nie ma żartów, gdy chodzi o obiecany ożenek.

– Nie, sąsiadko. Wanda płochliwa jest i to wszystko. Myślę, że wie o zamiarach, co ją w konfuzję wpędza. Przecież od dziecka miło na Wiesia spogląda – odrzekła Zofia, choć nie była pewna swoich słów.

Żelichowska wyczuła w jej głosie wahanie, więc cisnęła z oczu dwie błyskawice.

– Skoro tak, to trzeba jak najszybciej po swata posłać, dogadać się i przypieczętować zrękowiny. Wandę zaraz zaczną nazywać starą panną, bo nie młodnieje przecież, a starzeć się łatwiej w tych czasach niż kiedyś – powiedziała zimno.

– Jest wasza zgoda na ożenek, jest i nasza. Jutro pomów z Rochem, bo jego najlepiej na swata wybrać. Nie ma drugiego tak biegłego w miłości człowieka – rzekła Zofia z pozornym spokojem w głosie.

– Jutro pójdziemy w gościnę do Rocha i jeszcze przed Bożym Ciałem go wyślemy, a wy przyjmiecie. Tylko już się nie ociągajcie.

Zofia przytaknęła z uśmiechem, ale w sercu wcale nie czuła spokoju. Kto miał oczy, ten mógł dojrzeć jak na dłoni, że Wanda kogoś innego wyczekiwała na jarmarku. Wiesio wyczuł, że chodzi o Jezierskiego. Ani myślał porównywać się z namiestnikiem chorągwi husarskiej. Ze zgryzoty zmizerniał i snuł się po Łodzi z poszarzałą twarzą.

Nie spocznę, póki się nie dowiem, kogo kocha ta dziewczucha. I ją do tego ślubu zmuszę – pomyślała pani Sobótko, zerkając na Wiesia. Była to kobieta dobra, ale sądząca według własnych, twardych reguł.

Tymczasem całe Chojny szykowały się na wielkie przyjęcie. Szacowna rodzina Andruszkiewiczów postanowiła przyjechać z Litwy z wizytą. Nic dziwnego, że folwark wypełniły gwar i krzątania. Polecono służbie gotowość na rychłe przybycie gości. Chłopki zamiatały izby i gromadziły zapasy, a wieśniacy naprawiali dach w stajni i bielili ściany.

Choć Konrad chodził po Chojnach dumny niczym paw, nie zaniechał politycznych rozmów z ojcem, od których pani Jezierska dostawała migreny. Cały folwark huczał od plotek, a chłopki prześcigały się w niezwykłych opowieściach na temat urody Katarzyny Andruszkiewiczówny, choć jej ani razu nie widziały.

– Mówię przecie! Blond włosy jako kłos żyta, nos orli, postura słuszna – gdakała jedna.

– Durna! Przecie ona ma oczy jak malowane kufle, włos też niby bursztyn, istna sokolica.

– Już, bo ty bursztyn widziała! – śmiały się inne.

Takie to trwały w Chojnach spory między chłopkami, a każda lepsze fantazje wymyślała. Uciszały się tylko, gdy słyszały pańskie kroki.

Stary Jezierski wchodził z synem w coraz ostrzejsze spory. Dyskusje na temat króla trwały bez końca. Konradowi nie było w smak, że także Andruszkiewiczowie bronili zaciekle stanowiska większości szlachty i upajali się na sejmikach wiktoria nad Janem Kazimierzem.

– Popatrz, synu, na te kłosa malowane, przy których pracują chamy – unosił się z dumą ojciec, prawie wyskakując ze strzemion, gdy wracali z polowania. – Czyż nie przepiękna jest Rzeczpospolita, która odparła z największym wdziękiem Tatarów, Szweda, Moskwę? Do teraz Szwedzi się

z ran nie wyleczyli. Nie skoczą drugi raz tak prędko na nasz cudowny kraj, zbożem malowany, przez który Wisła płynie jak olbrzymi, pełzający wąż.

Konrad patrzył przeciągle na ojcowskie oblicze i ze zgrzyoty aż trząsał konia batem.

– Wdzięk to tak wielki, ojczy, że cały kraj zniszczony. Co miasto, to bardziej ucierpiało. Nie tylko od szwedzkiego ataku...

– Będzie się jeszcze luter korzyć przed nami – mówił stary Jezierski, jakby nie słyszał słów syna. – Nie dostał Częstochowy, nie dostanie ziem północnych. Bóg dopomoże w kolejnych zwycięstwach, a jeszcze Ukrainę odzyskamy i z braćmi Kozakami się pojednamy – rozmarzył się.

– Jedynie w królu nadzieja, bo inaczej przepadniemy z kretelem. Choć nie wiem, czy to już się nie dokonało, gdy Lubomirski ze swoimi łotrami wyskoczył – odparł zimno Konrad, nie mogąc się powstrzymać.

W Rzeczpospolitej Lubomirski wciąż był na językach. Niby to szykował się do nowego starcia, ale z drugiej strony wycofywał się jak kot, który zastanawia się, czy skoczyć na przeciwnika, czy jeszcze trochę się podkraść. Każdy szlachcic dumał, jak długo potrwa konflikt z Janem Kazimierzem i kto ustąpi. Rozmawiano o tym w karczmach przy gorzałce, a słuchy dochodziły nawet do niezorientowanej w polityce ciżby.

Karol Jezierski wciąż na tyle nie lubił króla, że skrycie pochwalał wystąpienie Lubomirskiego. Jednak opowiadał o tym tylko w zaufanym gronie, by nie stać się ofiarą sporu lub pojedynku. Jednocześnie widział, że rokosz przynosi więcej szkody niż pożytku, ale każda walka z królem chłodziła sumienie.

Mimo że dalsza dyskusja nie miała sensu, pan Karol znowu przystąpił do sarmackiej przemowy.

– Umiłowana ojczyzna, za którą warto przelewać krew swoją i braterską. Spójrz na te maki świecące w słońcu jak rubiny. Na grykę zasianą. Gdzie masz piękniejszy kraj? Nie ma nic lepszego niż Rzeczpospolita.

– Francja?

– O nic nie dbają, a ich szlachta stroi się bardziej niż tutejsze kobiety. Kul się boją.

– Hiszpania?

– A to chytrusy, na nich trzeba zważać, bo to kraj narowisty i nigdy nie wiesz, kiedy nóż wbiją ci w plecy.

– Anglia?

– A to dopiero paradne! Wyrachowana obłuda i zawsze tam pada deszcz.

– Szwecja?

– No jeszcze brakuje tego, bym kraj wroga chwalił – mruknął pan Karol i popędził konia.

Konrad tylko westchnął nad kondycją polskiej szlachty i Rzeczpospolitej, po czym podążył za ojcem, nie zadając mu więcej pytań. Jechali teraz szybciej, bo w folwarku widać było wielkie poruszenie. Jednocześnie pogoda zaczęła się zmieniać i ciemne chmury zasłoniły niebo.

Dworek chojeński stał jak niewzruszony posąg górujący nad całą wsią. W oddali było widać powozy i krzątającą się służbę. Ktoś zacniejszy widocznie przyjechał, bo nieopodal statecznego pojazdu zaprzęzonego w rosłe kasztany stał drugi wóz.

Jezierscy wyjechali od strony zapłocia i popędzili konie do głównej drogi. Tumany kurzu wzbily się tak, że aż folwarczna służba przystanęła, by zobaczyć dziki przejazd. Na przodzie był Karol Jezierski, a tuż za nim Konrad. Młodzieniec wyglądał tak majestatycznie, że chłopki poczęły

oglądać się za nim i wzdychać z oddali. Jego kędzierzawe włosy rozwiały wiatr, karminowe usta rozchyliły się lekko, a nozdrza rozszerzyły od emocji. Wiadomo było, że goście to Andruszkiewiczowie – szanowana polsko-litewska rodzina jadąca z dalekich stron.

Mężczyźni zatrzymali konie tuż przy wozach Andruszkiewiczów i poczuli się witać.

– Wielmożny panie, rad jestem, że wozy przyjechały tak prędko. Wybacz, że nie jesteśmy przygotowani, ale nie spodziewaliśmy się rychłej wizyty. Na Litwie, jak i w Rzeczypospolitej wszystko wspaniałe, ale mamy też niestety i piaszczyste drogi – powiedział wesoło Karol Jezierski, witając Andruszkiewicza i kłaniając się po szlachecku.

Oficer Wojciech Andruszkiewicz również był kontent. Przy słusznej posturze Karola Jezierskiego prezentował się jak chucherko. Był to jednak strzelec niezrównany, do czego potężna postura nie była potrzebna. Na każdym polowaniu wykazywał się niespotykanym wdziękiem. Uczestniczył w wielu wojnach, więc umiał strzelać ze wszystkiego: ciął powietrze ciężkim arkebuzem, przebijał nieprzyjaciela muszkietem, a samopalem posługiwał się lepiej niż Kozacy. Nikt nie mógł dorównać panu Andruszkiewiczowi w strzelaniu i dlatego brał on udział we wszystkich ważniejszych bitwach, poczynając od wojny z Chmielnickim, na najeździe szwedzkim kończąc. Służyli pod nim silni żołnierze słynący z okrucieństwa i poświęcenia.

Pan Andruszkiewicz miał potężny zatarg z królem. Chodziło o buławę hetmańską, na którą oficer przed laty bardzo liczył. Nagrodę dostał jednak pan Gosiewski, co wprawilo Andruszkiewiczów w konsternację i poważnie obraziło cały ród. Od tamtego czasu Andruszkiewiczowie ochłodzili stosunki z dworem. Gdy wybuchła wojna ze Szwecją, wyborny strzelec zwołał żołnierzy i wyruszył na wojnę jako oficer lekkiej jazdy. Siał

spustoszenie dzięki zwinności i zmysłowi taktycznemu. Zawsze miał też broń palną, z której strzelał tak celnie, że małe oddziały szwedzkie ginęły w okamgnieniu.

Za postawę nie został doceniony, o co wciąż miał żal do króla i magnaterii. Powiadano, że zbyt okrutnie obchodzi się z oddziałami nieprzyjaciela, jeńców nie bierze, a wszystkich wybija w pień nie gorzej niż lisowczycy. Chciano go nawet przed sąd postawić, ale ofiarność podczas obrony Częstochowy i poświęcenie w dalszych bitwach ze Szwedami przemówiły na jego korzyść.

Teraz pan Andruszkiewicz skłonił się nisko i grzecznie. Wyciągnął ręce i uśmiechnął się spod długich wąsów, powiewających na wietrze.

– Witam, bracie! Prawdę powiadasz, że droga była daleka. Bylibyśmy dojechali szybciej, ale zaskoczyła nas taka ulewa, że musieliśmy zatrzymać się na noc w zajeździe – zaczął cienkim, ale mocnym głosem.

– Tutaj też się na deszcz zanosi. Szybko musieliśmy wrócić z polowania, bo już nadciągają chmury. Pachoł wlecze się gdzieś za nami, niosąc zające. Niezwykle dużo zajęcy w tym roku. Będziesz zadowolony, bracie, bo postrzelać można ładnie w tych lasach.

Twarz pana Andruszkiewicza aż pojaśniała z radości. Zaczęto jeszcze grzeczniej wymieniać uprzejmości i witać kolejne osoby.

– A to moja córka Katarzyna – powiedział pan Andruszkiewicz, odsuwając się lekko, bo nieufna panna stała ciągle za jego plecami, więc trudno było dostrzec, jak wygląda.

Naraz wszyscy spostrzegli rzeczoną piękność i Konradowi aż zabrakło tchu. Katarzyna Andruszkiewiczówna skłoniła się skromnie, ale kobieco, podwijając lekko poły zielonkawej sukni. Zarzuciła na plecy dwa ciemne warkocze ozdobione wstążkami i z poważną miną przywitała gospodarzy. Następnie utkwiała źrenice w wesołych oczach pana Konrada i uśmiechnęła

się skromnie, ale zaczepnie. Namiestnik ujął jej smukłą dłoń i złożył na niej pocałunek.

– Zapraszamy – powiedziała pani Jezierska, puszczając gości przodem.

Dworek Jezierskich był okazały, ale nie wytworny. W izbie, do której wprowadzono gości, stały długie ławy i ozdobne krzesła z rzeźbionymi oparciami. W dwóch rogach stały skrzynie pokaźnych rozmiarów. Na ścianach wisiał zdobyczny miecz i portrety rodziny Jezierskich. Służba folwarczna uprzątnęła pajęczyny i kurz, więc wewnątrz wyglądało jaśniej i czystiej niż zwykle.

Czeladź poczęła wnosić dzbany z winem. Po chwili na ławach stanęło też jadło. Na srebrnych półmiskach pojawiły się wszelkiego rodzaju mięsa i chrupiące pieczywo. Podano kapustę z kaszą i kluski. Wszystko było ostro przyprawione i polane różnymi sosami.

– Co po drodze opowiadają? Jak Rzeczpospolita wygląda? – pytał pan Karol, zając się mięsem.

– Źle, kochany panie Karolu, źle to wygląda. Jak kraj przemierzaliśmy, wszędzie nędzę spotykaliśmy i ludzi, co samotnie wędrują, pytając o pracę na folwarkach. Dużo złego nam Szwed wyrządził i choć już kilka lat minęło, niektóre miasta wciąż nie mogą się podnieść. Wygląda na to, że wraz ze Szwedem przyszedł kryzys. Popalone miasta, zrabowane wsie, wybici mieszczaństwo i chłopcy. Siły robotniczej nie ma, a jeśli już jest, to warunki stawia. A stawia, bo może! W górnictwie źle się dzieje – miedzi i srebra nie uświadczysz. Co nie upadło, to się albo próbuje podnieść, albo do szczytu gnije – mówił pan oficer Andruszkiewicz, kręcąc w palcach wąs.

– Coś podobnego! – mamrotał smutno pan Karol. – Chociaż wystarczy na Łódź spojrzeć. Kiedyś miasto tętniło życiem, a teraz aż przykro doń wjeżdżać. Starają się tam, jak mogą, by je odbudować, a imć pan Gliniewicz, co jest wójtem w Łodzi, dobrze i mądrze zarządza. Ale stodoły

popalone, żelazo zrabowane i w polu nie było czym robić przez kilka lat po zakończeniu wojny. Jeszcze dziś ziemię spulchniają dwiema drewnianymi bronami.

– Trzeba jakoś żyć, kochany bracie – zasepił się stary oficer – ale trudno patrzeć na biedę, gdy się dobrobyt pamięta.

– Otóż to. Pod Częstochową waść służyłeś?

– Bronilem Częstochowy z moimi żołnierzami. Co to była za walka! – zapalił się pan Andruszkiewicz. – Takiego szaleństwa nigdy nie przeżyłem. Twarze sadzą i prochem wysmarowane, tchu od tumanów brakuje, sądny dzień! Każdy żołnierz się liczył, wszyscy chcieli wyprzeć lutrów ze świętego miejsca. Z Bożą pomocą to się udało – powiedział oficer i przeżegnał się.

– Tam był też Konrad, bo jak wspominałem, służył jako namiestnik chorągwi husarskiej. Nie spotkaliście się pod Częstochową?

– Tam kupa ludzi była, ojciec – odparł Konrad, który nie rozmawiał, prawie nie jadł, za to ukradkiem wymieniał coraz śmielsze spojrzenia z panną Katarzyną.

– Widzę, że młodzi czym innym zajęci – mruknął ukontentowany oficer, czym wywołał ogólną wesołość.

Katarzyna się zarumieniła. Aby odwrócić uwagę od tej niezręczności, młody namiestnik zaczął opowiadać o wojnie.

– Byłem pod Częstochową. Tam się działy straszne rzeczy. Wszyscy żeśmy chcieli Szwedów wybić. Było tylu ludzi, jakby cała Rzeczpospolita i cała Szwecja na siebie napadły. Wtedy jeszcze prawie nic o wojence nie wiedziałem i – muszę przyznać – strach mnie obleciał.

Szczere wyznanie Konrada spodobało się panu oficerowi, bo aż błysnął zębami w uśmiechu.

– Ludzie powiadają coś o hetmanie Lubomirskim? – zapytał zniechęca pan Karol, któremu nie spodobało się synowskie przyznanie do słabości.

– Powiadają tu i ówdzie, że się zbroi i do kolejnego ataku jest gotowy. Nikt nie wie, gdzie się ukrywa i kiedy wyjdzie z kryjówki, ale podobno wciąż wielu ludzi przy nim trwa. Nic go nie ostudzi, a najmniej porozumienia, które mu sejm szykował.

– A waść czemu nie dołączyłeś do Lubomirskiego? – zapytał pan Karol.

– Bracie kochany, bez żartów. To, że za królem nie przepadam, nie oznacza, bym się miał w ręce buntownika pchać. Lubomirski pod sąd pójdzie i nie ma innej możliwości. Król ma wielu wrogów, ale swojej powagi nie narażają i do Lubomirskiego nie przystępują – oburzył się pan Andruszkiewicz.

Konrad przysłuchiwał się rozmowie z ukontentowaniem. Podobał mu się rozsądek Andruszkiewicza. Młody żołnierz największą satysfakcję miał jednak z tego, że znalazł się wreszcie ktoś, przy kim sam Karol Jezierski zamknie gębę i nie będzie rwać się do płomiennych oskarżeń.

Istotnie, usłyszawszy odpowiedź oficera, stary Jezierski wbił wzrok w ławę i z wolna przyznał rację. Obie rodziny szanowały się tak mocno, że żal byłoby zniszczyć przyjaźń przez polityczne podziały. Ponadto Jezierski uznawał wyższość gości z powodu ich majątnego rodu i sławy oficera. Nie zaczynał już więc kolejnych drażliwych tematów, tylko zarządził tańce, co wszystkim przypadło do gustu, a najbardziej Konradowi i pannie Katarzynie.

VI



Gdy przez Łódź przejechały wozy Andruszkiewiczów, każdy mówił tylko o tym. Co prawda większość mieszczan była wtedy w polu, ale i tak wszyscy widzieli z oddali powozy i służbę na koniach. Wnet rozeszło się po mieście, że z Litwy przyjechali goście, których z niecierpliwością oczekiwano w Chojnach.

Rozpowiadano więc, że panna Katarzyna jest urocza jak skowronek, że ma dwa brązowe warkocze ozdobione wstążką, a oczy ciemne jak dno studni. Jej matka to kopia córki, tylko w starszym wydaniu. Panem oficerem zajmowano się najmniej, choć znano jego zasługi i grzeczne usposobienie.

Wozy otoczyły dzieci biedoty. Wśród chłopców był też Stachu Grosik. Nikt na niego nie spojrzał, choć usilnie wbijał wzrok w piękną oficerską postać pana Andruszkiewicza. Pragnął być taki, jak on i w dziecięcej naiwności wierzył, że jest to możliwe. Patrzył więc na oficera i śledził każdą zmarszczkę na czole, dostrzegał niewielkie blizny na brodzie i fantazjował o tym, że pan Andruszkiewicz zaszczyca go spojrzeniem, a może nawet uśmiechem. Nic podobnego się jednak nie zdarzyło i wozy odjechały. Marzenie chłopca rozmyło się, ale nadzieja na lepsze życie

pozostała. Stachu stanął wśród tłumku dzieci i najdłużej patrzył, jak wozy oddalają się i wjeżdżają na drogę do Chojen.

– Tu jesteś, łobuzie! – krzyknęła Grosikówna, łapiąc dziecko za ramię.
– W pole masz iść, a nie za szlachtą się oglądać! Przyjechali i pojechali, a ty z tego nic nie masz, choćbyś ich fanfarami witał. Pójdiesz w pole! – ryknęła i pchnęła syna w przeciwnym kierunku.

Stachu nie odpowiedział, tylko posłusznie pobiegł w stronę pól i pastwiska. Po drodze minął sporą grupę kobiet i mężczyzn. Szedł dalej zamyślony, ale po chwili zorientował się, że wszyscy idą w przeciwnym kierunku. Niektóre kobiety biegły z płaczem. Mężczyźni udawali, że się nie boją i szerokim krokiem szli z narzędziami w stronę domostw.

Dziecko nie śmiało zapytać, co się stało, więc mijało łodzian w milczeniu. Słońce stało w zenicie, ale wiatr napędzał ciężkie chmury; raz zbierało się na deszcz, raz na pogodę. Staszek doszedł do poletka z żytem i zanurzył się w zbożu. Przez chwilę leżał nieruchomo, wspominając przejazd Andruszkiewiczów. Oczami wyobraźni widział siebie na miejscu oficera. Był starszy, przystojny, a wszystkie mieszczki oglądały się za nim z maślanymi oczami. Ubrany był po szlachecku w piękny kontusz, przez biodra miał przewiązany pas, na którym dyndała zdobiona rękojeść szabli. Połyskiwała w słońcu i budziła respekt każdego, czy to chłopca, czy szlachcica. I nikt nie pluł na niego, nikt nie wygrażał pięścią. Wszyscy mu się kłaniali w pas, a on – podobnie jak pan oficer – jechał dalej, nie zaszczycając pospólstwa spojrzeniem.

Wtem spostrzegł, że w życie ktoś leży. Podszedł bliżej i rozpoznał twarz pana ławnika Korkowskiego, który – z braku roboty – począł pomagać w polu. Staszek nie zrozumiał od razu, że Korkowski nie żyje. Usiadł przy ciele i szturchał mężczyznę brudną ręką. Nic to jednak nie dało, a twarz

mężczyzny była biała jak płótno. Naraz Stachu przypomniał sobie przerażające opowieści o demonie polnym atakującym rolników.

– Przypołudnica! – wrzasnął najgłośniejszy w całym dotychczasowym życiu i pobiegł w stronę domostw.

Zrozumiał, dlaczego wszyscy łodzianie nagle wybiegli z pola. Panika wybuchła wśród ludzi, więc uciekali, tym bardziej że nie widzieli, skąd przyszło zagrożenie. Staszek biegł więc do domu, ile sił w nogach, piszcząc po drodze ze strachu. Co chwilę oglądał się za siebie, czy nic go nie goni. Dobiegł do domu, gdzie siedziała stara Grosikowa z córką.

– Staszek, co jest? – zapytała przestraszona matka, widząc syna prawie nieprzytomnego ze strachu.

– Przypołudnica zaatakowała Korkowskiego w życie! – krzyknęło dziecko jednym tchem.

Grosikowa zerwała się na równe nogi.

– Co z Korkowskim? Żyje?! – zapytała, przełykając głośno ślinę.

– Padł trupem i nieżywy – odpowiedział Staszek, a Grosikowa chwyciła się za siwą głowę i ciężko usiadła na zniszczonym taborecie.

– Kto nas teraz wykarmi? – zapytała, kiwając z nieszczęścia całym ciałem w przód i w tył. – Do kogo ja teraz na posługę pójdę? Z czego my żyć będziemy?

Również jej córka usiadła i ze łzami w oczach patrzyła na syna.

– Po co Korkowski w żyto poszedł? – zapytała.

– Pewno chciał plony zobaczyć – odpowiedziała Grosikowa, płacząc.

Ławnik Korkowski był niepohamowanym pijaczną, w dodatku okrutnym, toteż Łódź zbytnio za nim nie płakała. Jedynie dom Grosików był w żałobie. Nie za samym Korkowskim, ale za pracą, którą Grosikowa straciła bezpowrotnie.

– Staszek nie potrzebuje już twojej opieki. Najmiesz się gdzieś albo pomrzemy z głodu – zawyrokowała Grosikowa, która dość szybko odżałowała pracę u Korkowskiego i zrzuciła ciężar na barki córki.

Nie była to zresztą rzecz dziwna. Grosikowa siwiała, miała coraz mniej siły, a posługa wykończyła ją do reszty. Jedynym problemem było to, że nikt w Łodzi nie potrzebował biedoty do pomocy. Większość mieszkańców nie chciała lub nie mogła pozwolić sobie na wynajęcie służącej. Ponadto na Grosikównę wciąż patrzono z potępieniem.

Nazajutrz biedaczka poszła pytać, kto przyjąłby ją na służącą. Cała Łódź huczała od plotek i opowieści na temat śmierci Korkowskiego. Jedni przysięgali, że widzieli, jak przypołudnica nadchodzi, a zwiastowało to kołysanie się łąnów żyta. Innym znów zdawało się, że ją widzieli, a dla potwierdzenia tych słów, opisywali ją tak samo, jak kiedyś ojcowie i dziadowie. Przypołudnica była więc szkaradną dziewczką z wielkimi zębami. Jej nogi porastała sierść. Siała ogólny popłoch, więc zaczęto obawiać się żniw.

– Przypołudnica upodobała sobie Łódź. Bardzo niedobrze to wróży na żniwa – mówiono.

– Zadusiła ofiarę i teraz pójdzie gdzie indziej – odpowiadali inni.

Nie cieszą się na żniwa i wypatrywano ich z dnia na dzień z rosnącym niepokojem. Łódź znów pogrążyła się w strachu. Wyczuwano jakieś siły nieczyste wiszące nad miastem nieprzerwanie od początku wojny szwedzkiej.

Tymczasem starano się żyć w pozornym spokoju i oczekiwać owych wydarzeń. A było ich niemało. Oprócz nadchodzącej wigilii świętego Jana, 24 czerwca wypadało też Boże Ciało. W domu państwa Sobótków lada dzień spodziewano się swata – Rocha Sadowego, zwanego Sadowskim.

Żelichowska rozmówiła się z nim zawczasu i miał wkrótce przybyć z wizytą.

Wanda przeczuwała, co się święci, i codziennie drżała na myśl o tym. Drżeli też wszyscy Sobótkowie, widząc zmartwienie dziewczyny. Zofia zastanawiała się, czy poruszyć temat Wiesia, ale ostatecznie zrezygnowała, by nie denerwować i nie płoszyć Wandy. Dobry obyczaj nakazywał bowiem, by młoda dziewczyna nie rozmawiała na drażliwe tematy, lecz zdała się na wolę rodziców. Tak miało być i tym razem.

Dziaduszek snuł się rozgoryczony po obejściu. Jako jedyny znał przyczynę zmartwienia dziewczyny i nie mógł nic zaradzić. Obwinił o to jak zwykle szlachtę, która zachowaniem i ceremonialnym przejazdem zniszczyła uczucie, nim zdążyło wykiełkować. Sobótka wierzył jednak w to, że Wanda zachowa rozsądek i dojdzie do zrękowin z Wiesiem, jak nakazywało dobre wychowanie.

Takie myśli miała też Wanda. Stale myślała o Konradzie Jezierskim, ale była na tyle rozsądna, by nie wierzyć w podobne marzenia. Gdyby jej rodzina była bogata, mogłaby jeszcze próbować, ale w tej sytuacji staranie się o namiestnika byłoby żartem, z którego cała Łódź śmiałaby się jeszcze przez kilka pokoleń. Nie pozostawało nic innego, jak zdać się na wolę rodziców i poślubić Wiesia. Był to przecież chłopak uczciwy i spokojny, majątniejszy niż ona sama. Wanda siadywała więc wieczorami na przyzbie, uśmiechała się miło do Wiesia i słuchała muzyki świerszczy, ledwo zwracając uwagę na ciężki głaz, który toczy się po jej brzuchu.

Rocha Sadowskiego uwielbiano nie tylko w Łodzi, ale wszędzie, gdzie tylko się pojawił. Przyjemna aparycja chłopaka poruszała serca ludzi i wywoływała szczery uśmiech na najbardziej zatroskanych twarzach. Roch miał zatem powodzenie u dziewczek, ale niewiele z tego wychodziło, gdyż

był wyjątkowym lekkoduchem. Pił też dużo i ochoczo, ale do bijatyk nie był skłonny.

Roch, mimo że umiał zaradzić nieszczęściom całego miasteczka, nie wiedział, jak pomóc sobie. Był samotny. Jako młodzieniec stracił rodziców. Szwedzi nie oszczędzili zamożnego domu państwa Sadowych. Ojciec Rocha próbował bronić majątku, ale bez skutku. Matka poleciła Rochowi uciekać przez tylne drzwi komory. Wtedy chłopak ostatni raz widział ją żywą.

Roch został karczmarzem tak jak ojciec. Jednak od tragicznej nocy nic już nie było takie samo. Dom Sadowych został tylko częściowo odbudowany, a Roch zginąłby marnie, gdyby nie miłe, przyjazne ludziom usposobienie. Dzięki temu, że był gotowy pomagać wszystkim, łożanie odwdzięczyli się mu w trudnych czasach po wojnie. Zaraza wybiła wielu łożan i Roch też pewnie by nie przeżył, gdyby nie dary, które starzy mieszczanie zostawiali pod drzwiami chaty. Roch powoli dochodził do zdrowia, bo miał co jeść. Jego wyzdrowienie zakrawało na cud. Jedynym śladem po przebytej chorobie był zmieniony głos. Rocha Sadowskiego łatwo było rozpoznać po cichej, chrapliwej mowie.

Mężczyzna lubił odwiedzać rodziny, przychodząc w roli swata. Powiadano, że w całym łączycko-sieradzkim nie ma osoby, która umiałaby zręcznie doprowadzić do zrękowin. Roch chętnie przystał na prośbę Żelichowskiej i jeszcze przed Bożym Ciałem wybrał się do państwa Sobótków.

Przywitano go niezwykle miło. Podano jadło i gorzałkę. Zofia usiadła przy ławie, a obok pan Ryszard. Podejrzliwy dziaduszek spoczął na starym zydelku w kącie izby. Wandę wygnano do komórki, aby nie uczestniczyła w rozmowie.

Dziewczyna z bijącym sercem przyłożyła ucho do drewnianych drzwi komory i nasłuchiwała. Mdlilo ją z nerwów, a żołądek podchodził do gardła. Oddychała płytko i ciężko. Teraz czuła wyraźnie, że prędzej umrze, niż zgodzi się na zrękowiny. Jednocześnie przed jej oczami stawała twarz Konrada Jezierskiego. Widziała jego szelmowski uśmiech i zgrabne, karminowe usta.

– Nie, to nie przez niego odmówię. Odmówię, bo nie pokocham Wiesia – powtarzała sobie niczym mantrę. Nie mogła jednak oszukiwać samej siebie. Gdyby nie poczuła prawdziwej miłości, zapewne zgodziłaby się wyjść za Wiesia i nawet wmówiłaby sobie, że przecież coś czuje. Wanda przymknęła oczy, a dwie łzy potoczyły się po jej policzku.

– Bardzo cieszymy się z twojej wizyty – zapewniła pani Sobótka.

– Przychodzę w gościnę, by pokłonić się i zapytać o zdrowie – odpowiedział Roch cichym, chrapliwym głosem.

– Dziękujemy bardzo. Zdrowi jesteśmy wszyscy, a ja mam siły tyle, co nigdy – pochwalił się Jerzy Sobótka, który nie wiadomo czemu bardzo lubił Rocha.

Wymieniono jeszcze wiele grzeczności, po czym Roch odchrząknął, odłożył dzban z miodem i zaczął opowiadać o sprawie, dla której przyszedł.

– Wasi sąsiedzi to majątni ludzie. Wielisław byłby świetną partią dla Wandy. Ukończył podstawowe nauki, na roli pracuje z zapalem i nie chadza do szynków, w przeciwieństwie do mnie. Stroni od pijaństwa, również zupełnie odwrotnie niż ja – mówił Roch, a wszyscy w izbie śmiali się i podziwiali zręczność i szczerść swata. – Dziewki omija szerokim łukiem, co też jest mi obce. Bóg widzi jego pobożność.

Widząc, że żarty robią wielkie wrażenie na rodzinie, Roch ośmielił się jeszcze bardziej i rozpoczął chrapliwy występ. Wychwalał Wiesia pod

niebiosa, umyślnie urągając własnej reputacji. Nic mu to jednak nie szkodziło, bo cała izba huczała od śmiechu, aż Zofia musiała otrzeć łzy.

W odpowiednim momencie Roch sprytnie przeszedł do rzeczy.

– Powiedziałem już wszystko na temat zacnego rodu Żelichowskich, nie ma więc siły, która powstrzyma moją ciekawość. Czy również sądzicie, że Wanda musi się z Wiesiem pobrać? – zapytał.

Sobótkowie spoważnieli i umilkli. Nadeszła chwila, której nie dało się już odwlekać.

– Wanda musi się pobrać z Wiesiem – Zofia odezwała się pierwsza.

– Ja również się zgadzam – odpowiedział pan Sobótka.

Dziaduszko siedział cicho na zydelku w kącie i żuł tabakę. Patrzył przy tym z ciekawością w stronę Rocha.

– Jakże, panie Jerzy? – zapytał Roch nieśmiało, bo czuł wielki respekt przed najstarszym łodzianinem.

– Jestem za tym, by naszą Wandzię za kawalera Żelichowskiego wydać. Martwi mnie tylko, czy nasza pociecha się zgodzi na ożenek – mruknął w końcu, a małżeństwo Sobótków popatrzyło na niego z przestraczem.

Dziaduszko powiedział bowiem to, o czym nikt w domu nie wspominał, choć podobne myśli krążyły nad chatą Sobótków. Roch nie zauważył zbiorowej obawy.

– Musi się zgodzić, bo to pobożne i miłe dziewczę. Zawsze jej urodę podziwiam podczas nabożeństw. Gdy Wanda Sobótkówna kroczy obok głównej nawy, to nie ma mocnych na jej urok – Roch jowialnie zachrypiął najgłośniej, jak potrafił.

Wanda słyszała każde słowo. Teraz stała w komorze przerażona, gotowa do ucieczki. Nie było jednak na to czasu, bo drzwi otworzyły się nagle i stanął w nich Ryszard. Miał łagodną minę i gestem zaprosił córkę do izby.

Przeszła przez próg z bijącym sercem. Zdawało jej się, że słyszy je cały dom, a może nawet cała Łódź.

– Wandziu, rozmawialiśmy właśnie o naszych stosunkach z sąsiadami. Żelichowscy to pobożna i majątna rodzina mieszkająca tu od pokoleń. Ich syn, którego znasz od dziecka, chciałby zostać twoim mężem. Czy zgadzasz się na to? – zapytała Zofia jednym tchem.

Wanda poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Spojrzała na matkę, później na ojca, wreszcie na Jerzego Sobótkę. Ten ostatni posłał jej krzepiący uśmiech, ale w oczach dziaduszka dostrzegła współczucie. Teraz nawet Roch zdał sobie sprawę, że dziewczyna poważnie się namyśla i wcale nie będzie jej łatwo zdać się na decyzję rodziny. Wbił więc wzrok w kąt, czekając na odpowiedź.

– Powiedz coś, Wando – zaczęła matka niecierpliwie.

Dziewczyna ledwo zdołała przełknąć ślinę. Wreszcie wzięła głęboki oddech.

– Wiesia Żelichowskiego odrzucam – powiedziała słabo i nie czekając na reakcję, wybiegła do sieni, a stamtąd na podwórze.

Pognała w stronę Ostrogi, a wiatr osuszał łzy spływające jej po policzkach. Czowała, że postępuje nieracjonalnie i odrzuca dobrą partię. Nie mogła jednak nic poradzić na obrzydzenie, które ją brało, gdy myślała o Żelichowskim.

Dobiegła w końcu do rzeki i przystanęła na brzegu. Próbowwała zmusić się do powrotu, by jeszcze zatrzymać Rocha i dać inną odpowiedź. Robiła jednak tylko kilka kroków, po czym wracała nad niespokojny brzeg Ostrogi. Rzeka wylewała w tym roku kapryśnie, więc stopy Wandy pokryły się mułem. Usiadła w bagnie, nie zważając na brud. Dopiero teraz wybuchła płaczem.

Tymczasem w domu Sobótków zapanowała cisza. Gdy Wanda wybiegła z izby, tylko dziaduszek zagwizdał cicho i ubił stopą karalucha przebiegającego przez pokój. Poza tym nikt nie śmiał się odezwać. Nawet wylewny Roch zapomniał języka w gębie i siedział przy ławie, nie sięgając już ani po jadło, ani po gorzałę.

– Nie rozumiem... – zaczęła po chwili Zofia.

– Nic tu po mnie. Dziękuję za gościnę. Zaraz pójdę do Żelichowskich, by powiedzieć, że od panny Wandy Wiesio rekuzę dostał – Roch przerwał jej stanowczo.

– To na pewno da się jeszcze sprostować. Wanda zmieni zdanie – powtarzała pani Zofia, nie wierząc w odmowę córki.

– Ona zdania nie zmieni, a nie ma po co jej do ożenku przymuszać, gdy tylu chłopców po Łodzi gania – przerwał jej Jerzy.

– Ale co ja powiem Żelichowskim? Od piętnastu lat wiadomo było, że Wanda za Wieśka wyjdzie. Stosunki sąsiedzkie się popsują, a Żelichowska potrafi być mściwa. Bo jest to rodzina dumna i bogatsza niż my. Jak przyjmą to, że biedniejsi odrzucili ich syna? To niedorzeczne. Wanda musi wyjść za Żelichowskiego i basta!

Jednak do Żelichowskich dotarła już wieść o odmowie. Roch poszedł do nich, gdy tylko opuścił dom Sobótków. Żelichowska pobladła, słysząc złą nowinę, a jej twarz wykrzywił grymas gniewu. Podobnie zareagował jej mąż. Oparł się o laskę i ciężko wstał z krzesła. Hańbę najbardziej odczuł Wiesio. Stał pośrodku izby na poły wściekły, na poły zdezorientowany. Obrzucił Rocha zimnym wzrokiem i wyszedł na podwórze. Chciał rozmówić się z Wandą po swojemu, skoro wizyta swata nic nie dała. Dziewczyny nie było jednak w domu, więc Wiesio szukał jej po całej Łodzi. Chodził po mieście z płonącymi policzkami. Nie znalazł Wandy ani

na rynku, ani w kościele. Nie było jej na Górkach i przy karczmach. Obszedł Starowiejską, ale tam też jej nie znalazł.

Zaczęło się ściemniać, gdy doszedł nad Młyn Grobelny. Szedł wzdłuż rzeki i nagle zobaczył niewielką postać zmierzającą w jego stronę. Miała brudną suknię i zabłocone nogi. Serce Wiesia забиło mocniej. Wanda też go dostrzegła i przystanęła przestraszona. Gdy do niej podszedł, zobaczył, że chabrowe oczy dziewczyny spuchły od płaczu. Mimo wściekłości, serce Wiesia zmiękło. Staął przed Wandą i załamał ręce. Urażona duma domagała się wyjaśnień.

– Dlaczego odmówiłaś? – zapytał prawie bez tchu.

Wanda milczała i spoglądała w jego łagodne oczy.

– Ja bym ci nieba przychylił – mówił, jękając się nieco. – Ze mną miałabyś dobrze. Ja nie jestem kostera, po szynkach nie chodzę, piję tyle, co dziewczka, i nie oglądam się na inne. Umiem się podpisać, a nawet coś przeczytać, bo podstawowe kształcenie skończyłem. Czego ty jeszcze chcesz? – zapytał, a w jego oczach mimowolnie stanęły łzy. – Nie biłbym cię przecież jak Paczosek, co się na żonie wyżywa. Ze mną byś bogato żyła i biedy byś nie zaznała. A nie jak Mirczakowie czy Licheccy, co prawie przymierają głodem. Mój dom się ostał cudem i zarazę żeśmy przeżyli obydwój, choć ja drżałem o twoje zdrowie, bo już wtedy wiedziałem, że rodzice nam wspólne życie zaplanowali. Kogo masz lepszego w tym nieszczęsnym mieście? Kto będzie lepszy dla ciebie niż ja? Kto cię osłaniał przed oddziałami, co miasto plądrowały i domy paliły? Kto ci pomagał uciekać z domu? Ja, bo wiedziałem, że ty musisz żyć dla mnie. Mimo że mi odmówiłaś, to i tak przychodzę cię prosić i widzisz, że po dobroci przychodzę i urazy nie żywię, chociaż mi prawie dusza z ciała wyszła, gdy usłyszałem od Rocha, że mnie nie chcesz.

Wanda stała jak sparaliżowana i tylko patrzyła na Wiesia wielkimi oczami. Nie spodziewała się takiej przemowy, ale słuchała dalej.

– Ja nie piję po karczmach, z hultajami się nie zadaję i uczciwie na roli pracuję. Wszystkie zbiory tobie ofiarowuję, choć są one marne od kilku lat. Ostatnią pajdę chleba bym ci oddał. W kościele zawsze za ciebie się modłę i na ciebie spoglądam przy każdym nabożeństwie, bo ty dla mnie jesteś najpiękniejsza w całym mieście, w całym kraju i na świecie – mówił Wiesio, przetykając łzy.

Widząc osłupienie, w jakie wprawił Wandę, próbował dalej.

– Ty jesteś piękniejsza niż cały mój majątek i droższa od domu, wołów, pierzyn i szlacheckich koni. Bo ja cię znam od dziecka, gdy jeszcze razem zwierząt na pastwisku pilnowaliśmy, gdy razem jagody pod lasem zbieraliśmy. I zawsze ja się wymazałem tymi jagodami, a ty nie. I śmiałaś się ze mnie, że mam palce fioletowe i buzię ubrudzoną. Dlaczego nie możemy razem do śmierci zbierać jagód pod lasem? – zapytał i ciągnął dalej, bo Wandzie również łzy stanęły w oczach. – Nie płacz mi tylko, bo to niemęska rzecz beczeć, a już łzy mi płyną strumieniami prawie po całej gębie. Widzisz, jak ja cię kocham i łzami na twoje łzy odpowiadam? Musisz mi powiedzieć, że chcesz mnie za męża, bo ja inaczej umrę, w Jasień skoczę i w ciemnej toni zginę.

Zdumiona Wanda stała przed Wiesiem i coraz więcej łez płynęło jej po policzkach. Żelichowski niespodziewanie przyklęknął i ujął jej dłonie w swoje ręce, przysuwając je do twarzy. Dziewczyna westchnęła, ale nie wyrywała się i w odrętwieniu słuchała dalszych śmiałych wyznań Wiesia.

– Jeśli kogoś innego miłujesz, to lepiej przestań, bo ja naprawdę w rzekę skoczę. Topielce mnie pochłoną, jeśli się nie zgodzisz. Ja na ciebie od zawsze czekałem. Jesteś lepsza i piękniejsza niż wszystkie łodzianki, niż

wszystkie damy na świecie. Katarzyna Andruszkiewiczówna z Litwy, co się nią tak wszędzie zachwycają, mogłaby ci stopy czyścić.

Wanda zaśmiała się i zapłakała jednocześnie na wspomnienie przyszłej żony Konrada. Jednocześnie poczuła jakiś gniew na szlachcica, choć przecież wiedziała, jak niedorzeczne było jej nieśmiałe uczucie. Nagłe wyznanie Wiesia rozczuliło ją tak szczerze, że pomimo strachu, poczuła wzbierającą litość. Nawet może by się zgodziła, gdyby nie następne słowa Żelichowskiego.

– Jak się nie zgodzisz, to we wsi opowiem, jak na Jezierskiego patrzyłaś na jarmarku, aż ci jabłka pospadały. A kto wie, może coś od siebie dopowiem i ładną historię miastu sprawię.

Wanda nie od razu zrozumiała, co Wiesio do niej powiedział. Stała przez chwilę nieruchomo, przetrawiając w myślach jego słowa, po czym z impetem wyrwała ręce z uścisku. Zmierzyła Żelichowskiego chłodnym wzrokiem.

– To opowiedz miastu ładną historię – odpowiedziała pogardliwie. – I tak nikt ci w nią nie uwierzy.

Odkoczyła od rąk, które ponownie próbowały ją chwycić, i co sił pobiegła do domu. Wiesio nie gonił jej, tylko wstał z kolan i patrzył w ślad za uciekającą Wandą, oddychając ciężko z oburzenia i emocji.

VII



Przed Bożym Ciałem atmosfera w Łodzi była trudna do zniesienia. Odczuwali ją zwłaszcza Sobótkowie, bo Żelichowscy przestali z nimi rozmawiać. Wyjątek stanowił jak zwykle dziaduszko. Żywiono do niego szacunek, więc nawet Żelichowska nadal witała się z nim przez płot. Jerzy Sobótko, łodzianin najstarszy i rolnik niezrównany, postanowił wykorzystać swój wpływ i porozmawiać o sąsiedzkich stosunkach. Wstąpił do domu Żelichowskich, mając nadzieję na poprawę relacji przed wigilią świętego Jana.

– Czy nie żal wam niszczyć dobrych sąsiedzkich stosunków? – zapytał, stając w kącie izby.

– My nie zniszczyliśmy stosunków, tylko Wanda, której nie chcecie wydać za Wiesia, choć mówiliśmy o tym już piętnaście lat temu. Jeśli nie chce po dobroci, to trzeba było ją zmusić, a nie odprawiać Rocha i skandal w mieście szerzyć – powiedziała Żelichowska, której zaciętość była znana w całej Łodzi.

Dziaduszko sposepniał.

– A jeśli ją zmusimy? – zapytał niespodziewanie.

– To pokażecie, że rodzinne więzy i szacunek sąsiedzki są wam droższe niż kaprysy dziewczki – odparła Żelichowska, a jej mąż pokiwał głową na

znak, że też tak uważa.

Wiesio stał w sieni i słyszał każde słowo. Odczuł mściwą satysfakcję, że Wanda prawdopodobnie nie będzie miała wyboru. Od czasu rozmowy nad rzeką zastanawiał się, czy rozpuścić po Łodzi plotkę, która mogłaby pogrzebać reputację dziewczyny. Teraz wstrzymał się i ostrożnie podszedł pod drzwi sieni, by podsłuchać rozmowę.

– Naradzimy się w domu i po procesji przyjdziemy z wizytą – oznajmił Jerzy.

Jako prosty człowiek wiedział, że Wanda musi zgodzić się na ożenek z Wiesiem. Westchnął ciężko nad człowieczym losem, po czym uspokoił sumienie, myśląc, że rozsądne małżeństwo to najlepsza inwestycja dla wnuczki.

Wanda za karę siedziała w komorze. Ryszard Sobótka ukarał ją kilkoma razami rzemiennego sznura, po czym polecił siedzieć w domu „aż zmądrzeje”. Dziewczyna jednak nie zamierzała zmieniać zdania, a okrutny szantaż Wiesia utwierdził ją w decyzji. Siedziała oparta o drzwi szafiarni i rozmyślała.

Zbliżało się Boże Ciało. Wnętrze kościoła ozdobiono wstążkami, a w głównej nawie powtykano zioła. Wyznaczono trasę procesji i wrócono pogodę na ten dzień. W każdym mieście i w każdej wsi czyniono stosowne przygotowania. Po cichu umawiano się przy tym na wieczór poprzedzający święto, kiedy to rozpoczynała się wigilia świętego Jana. Całe spotkanie musiało jednak pozostać w tajemnicy, by nie dowiedział się o nim ksiądz Benedykt bardzo ganiący zabawy. Przeczuwał, co ludziska szykują. Chodził po miasteczku z ważnym przekazem.

– Pamiętajcie, by się od Boga nie odwracać i zaniechać pogańskich zabaw w wigilię świętego Jana Chrzciciela. Ognie świętojańskie, tańce i niemiłe Bogu przyśpiewki będą surowo potępione. Kukieł nie palić i krakowskim zwyczajem wianków po wodzie nie puszczać. Kwiatu paproci nie szukać. Pod żadnym pozorem nie zapuszczać się w las. Niemiłe Bogu jest też skakanie przez ognisko jak pogańska dzicz. Za takie wybryki grozi grzywna – ostrzegął.

Nikt jednak nie brał na poważnie surowych nakazów księdza. Noc zapowiadała się pięknie, więc młodzi Łodzianie chętnie przekazywali sobie wiadomości o zabawach. Nawet starsi mieszczenie zacierali ręce z uciechy na myśl o harcach. Był w tej grupie dziaduszek, który odpowiedział księdzu, że o niczym nie wie i w pogańskich zwyczajach nie ma zamiaru uczestniczyć. Tymczasem planował rozpalenie ogniska i szykował wianek, by po krakowsku puścić go na wodę.

Nawet biedota przygotowywała się do święta. Wszyscy wybierali się na noc świętojańską. Łodzianie chcieli chociaż na chwilę zapomnieć o troskach. Miasteczko, leżące z dala od głównych dróg, żyło od skandalu do skandalu lub od nieszczęścia do nieszczęścia. Stale obawiano się też żołnierzy Lubomirskiego grasujących we wschodniej Wielkopolsce.

Nic dziwnego, że na wieczorną zabawę przyszła cała Łódź. Kiedy zaczęło się ściemniać i szarość okryła miasto, ludzie opuścili chaty i poszli w stronę rzeki. Wychodzono grupkami, wypatrując, czy gdzieś nie widać wójta lub burmistrza. Łodzianie skradali się w ciemności jak zwinne koty; w wyborych humorach, na chwilę zapominając o biedzie, troskach i podziałach.

Nad rzekę wybierał się też Wiesio zaglądający co chwilę na podwórze sąsiadów. Nigdzie nie mógł dojrzeć Wandy, więc domyślił się, że dziewczyna siedzi za karę w domu i prędko nie wyjdzie. Poczował gorycz, ale

zabrakło mu odwagi, by wyobrazić sobie, jak wyglądałaby wspólna noc przy ognisku, gdyby Wanda przyjęła wcześniej oświadczyzny. Przy płocie spotkał dziaduszka. Postanowił zapytać go, jak układają się sprawy.

– Wanda swoje w komorze odsiedzi, zmądrzeje i się z tobą pogodzi – odparł Jerzy Sobótko, raczej dla uspokojenia Wiesia niż z przekonania.

– Czy wyjdzie na nocną zabawę?

– Nie. Chyba że odpowiednio się nią zajmiesz – szepnął szelmowsko dziaduszko, ale zgaśniła go Zofia.

– Ojczy drogi, co tam szepczesz za płotem? Wanda na żadne noce świętojańskie nie pójdzie. Będzie się modlić w komorze aż zmądrzeje.

Dziaduszko odsunął się od płotu i rozłożył ręce w geście bezradności. Wiesio pojął, że nic z tego nie wyjdzie. Odwzajemnił gest starego Sobótki i poszedł w stronę rzeki.

Noc świętojańska udała się wybornie. Płomienie ogniska wesoło strzelały i przypominały łodzianom, jak przyjemne mogą być zwykłe towarzyskie spotkania. Tańczono i śpiewano bez wytchnienia. Każdy znalazł tej nocy coś, czego szukał przez ostatnie smutne miesiące, a była to głównie radość z prostych, beztroskich chwil. Groźna, zraniona Łódź uspokoiła się i wyciszyła.

Przyjaciółki i sąsiadki szeptały między sobą w oddali, a chłopcy uganiaли się za dziewczętami, skacząc przez ognisko. Niektórzy puszczali na Ostrogę uplecione wianki, które wyglądały jak dzieła sztuki. Dominowały kolorowe wiązanki, czyli czerwone maki przeplatane chabrami i żółtymi mleciami. Niektóre panny puszczały wianki ze stokrotek lub kaczeńców. W wodzie zaroilo się wkrótce od kwiatów, które łódzka rzeczka poniosła daleko aż w bory. Miejskie dzieci pobiegły wzdłuż brzegu Ostrogi, by choć przez chwilę popatrzeć na wyścigi wianków.

Kiedy inni się bawili, Wanda siedziała w komorze, wciąż oparta o drzwi starej szafiarni. Wreszcie położyła się i zasnęła. Umęczony umysł przywoływał coraz to inne obrazy i wkrótce dziewczyna zapadła w głęboki sen.

Śniło jej się, że owszem, leży dalej w komorze, ale nie jest sama. Obok niej siedzi Konrad i ręką przeczesuje jej złote włosy. Ma na sobie płócienną koszulę, zupełnie nieszlachecką, tylko brudną, szarą, miejską. Kędzierzawe włosy przez chwilę migoczą lekko w słabym świetle księżyca, ale potem stają się nagle proste i ciemniejsze, a niewielkie usteczka schną, blakną i nieznacznie się powiększają. Minęła błoga chwila wytchnienia i radości, bo Konrad zamienił się w Wiesia. Wanda poczuła, że chce się obudzić, ale nie może.

Zaczęło ją mdlić i poczuła ucisk w piersiach. Z całych sił walczyła z koszmarem, aż wreszcie ocknęła się nagle i krzyknęła. Przeżegnała się, bo duszność, którą poczuła, była tak wyrazista, jakby napadła ją zmora. Silny lęk wstrząsnął całym ciałem.

Wtem usłyszała, że ktoś puka do tylnych drzwi komory. Postanowiła się nie odzywać, siedząc wciąż przerażona.

– Wanda, to ja. Jesteś tam? – zapytał męski głos.

Rozpoznała Wiesia. Westchnęła ze złością, postanawiając się nie odzywać.

– Jeśli tam jesteś, to wiedz, że przyszedłem wprost z ogniska, by dodać ci otuchy, bo siedzisz w komorze sama i pewnie się nudzisz. Próbowałem się bawić nad rzeką, potańcować z dziewczkami, napić się gorzałki, ale nic z tego, bo wciąż jakiś ciężar miałem w sercu. Jeśli nie śpisz, to odpowiedz coś.

Wanda milczała. Położyła się znowu przy szafiarni i słuchała.

– Przepraszam, że naskoczyłem na ciebie przy rzece jak dziki Tatar. Wiedz jednak, że jeśli za mnie nie wyjdiesz, to całe miasteczko pozna plotkę, którą już sprytnie ułożyłem. Oto panna Wanda Sobótkówna spodobała się szlachcicowi Jezierskiemu, gdy przejeżdżał przez miasto z ojcem w drodze do Chojen. Spotkali się potem nocą, gdzieś na choińskim gościńcu i wyniknął z tego skandal. Domyślasz się jaki? Na pewno się domyślasz, choć nic nie odpowiadasz. Co powie miasto? A co powie pan Jezierski, gdy się o tej plotce dowie?

Wanda słuchała Wiesia z szeroko otwartymi oczami, poznając, że jest pijany. Poczła nie tylko bezradność, lecz także niepohamowany gniew. Bezszelestnie wstała i z całej siły kopnęła w tylne drzwi komory.

– Precz! – krzyknęła.

W odpowiedzi usłyszała tylko nieprzyjemny chichot. Wiesio zniknął równie szybko, jak się pojawił.

VIII



W procesji Bożego Ciała większość łodzian uczestniczyła z bólem głowy. Miasto przypominało rozżarzony plac, na którym próżno szukać schronienia przed słońcem. Na dodatek w noc świętojańską wypito niemałe ilości gorzałki, więc niektórzy wciąż byli wstawieni. Ksiądz Miszak szedł na przodzie z miną wyrażającą głębokie zażenowanie, jednocześnie doskonale udawał, że nie widzi, co się stało. Uczestniczo więc w procesji, modląc się żarliwie o łaski, ale przede wszystkim o lepsze samopoczucie i spokój dla Łodzi.

Na procesję wybrali się też Jezierscy z gośćmi. Pojechali do kościoła w Rzgowie, by przy okazji ofiarować kilka dukatów parafii. Przez cały pobyt pilnowano, by panna Katarzyna zachowywała się odpowiednio, jadła wszystko, co podano, i uważnie przysłuchiwała się rozmowom.

Konrad patrzył na nią z rosnącym zainteresowaniem. Podobały mu się jej gładka cera, alabastrowe czoło i lśniące brunatne warkocze. Zdumiewała go grzeczność szlachcianki i jej majestatyczna, nieco wyniosła postawa. Panna Katarzyna miała w sobie zręczność, której niejednokrotnie brakowało nawet starszym i bardziej doświadczonym damom dworu. Zachowywała się tak uprzejmie i delikatnie, że gdyby nie uroda, nikt nie zwróciłby na nią uwagi.

Obie rodziny jechały do Rzgowa. Konrad politykował z ojcem i oficerem, a damy w drugim wozie narzekały na służbę. Konie wolno stąpały po grząskiej sieradzkiej ziemi pełnej torfowisk i niebezpiecznych bagien. Wśród nich, niczym niewyraźne plamy, majaczyły miasteczka i wsie wschodniej Wielkopolski. Co jakiś czas znudzony woźnica bez większego zapału popędzał konie batem, bo nie chciały iść, denerwując się przy ogromnych kałużach.

– Powiadają, że Lubomirski znowu na króla się czai. Jego żołnierze rabują Wielkopolskę, zaraz całą Rzeczpospolitą ograbią. Interwencji Jana Kazimierza się nie spodziewam w tej sprawie, bo pewnie woli peruki przymierzać i w zagranicznych strojach chadzać po dworze, niż stanąć odważnie oko w oko z tym hultajem – biadał oficer, trzęsąc cienkimi wąsami. – A Lubomirskiego trzeba przed sąd zaciągnąć.

– Niełatwo walczyć z wrogiem, gdy się chowa po lasach i nie wiadomo, gdzie go szukać – odparł Konrad.

– Powiedz mi, kochany kawalerze, ilu może być rokoszan? Jako sławny żołnierz, który walczył u boku króla, najlepiej znasz się na sztuce wojennej – zagadnął grzecznie pan Andruszkiewicz, ledwo skrywając uszczypliwość.

– Rokoszan nie więcej niż dziesięć tysięcy, a Jan Kazimierz i tak sobie z nimi nie radzi – wyręczył syna pan Karol.

– Nie lekceważyłbym siły Lubomirskiego, ojcze – odrzekł cierpliwie Konrad. – Ma w ręku dobrych żołnierzy. Przyłączyło się do niego wielu z pospolitego ruszenia, a jak zechce, to może mieć na zawołanie kilka tysięcy wściekłych dragonów z szablami. Myślę – powiedział, zwracając się teraz do oficera – że siła rokoszan wynosi do dwudziestu tysięcy. Oszacować to powinien lepiej pisarz polny, choć myślę, że się zbytnio nie mylę.

– Wisi w powietrzu bitwa z królem – zamyślił się oficer.

– Tak czy inaczej, kiedyś ten spór musi się skończyć. Im prędzej, tym lepiej, bo Lubomirski do końca kraj zniszczy – rzekł Konrad.

– Nie dalej jak rok temu napadł na Łódź – odparł w zamyśleniu pan Karol, wywołując niemałe poruszenie i zdumienie na twarzach podróżnych.
– Zniszczył na swojej drodze wszystko, co znalazł, ludzi wybił nie gorzej niż Szwedzi i obrabował ludność. Czego miastu nie odebrał Karol Gustaw, zrobił to hetman Lubomirski.

Konrad przysłuchiwał się ojcu i nie wierzył własnym uszom. Była to pierwsza krytyczna uwaga o Jerzym Sebastianie Lubomirskim wygłoszona przez Karola Jezierskiego. Naraz namiestnikowi przypomniała się Łódź – ta skromna miejscina, popalona, ograbiona, z biedotą patrzącą na szlachtę z gorzkim rozczarowaniem. W wyobraźni widział nędzę Łodzi, podejrzliwe spojrzenia mieszczan i ich niewielki majątek. I te uważne oczy, tak inne od wszystkich. Oczy koloru nieba spoglądające ani z dojmującym smutkiem, ani z rozczarowaniem czy butą. Patrzące inaczej, ufnie i przenikliwie.

– Kiedy Lubomirski napadł na miasto? – zapytał.

– Jakoś rok temu. Klęski ciągle to miasto nawiedzają. Jak nie pożoga, to zaraza. Jak nie zaraza, to Lubomirski. Jak nie Lubomirski, to Szwedzi – skwitował pan Karol.

Jechali dalej w milczeniu. Słyszeć było tylko pisk kół i śmiech kobiet. Konrad spojrzał w tamtą stronę. Rozbawiona panna Katarzyna mówiła coś do matki. W jej oczach skrzyły się wesołe ogniki. Widać poczuła spojrzenie Jezierskiego, bo odwróciła głowę w jego stronę i z lekkim zawstydzeniem spuściła oczy.

Tak oto w stronę Rzgowa jechały dwa wozy, kiedy w Łodzi przystrajano domy zielonymi listkami i modlono się o spokój dla miasta. Choć ludzie z goryczą wyczekiwali spokoju, martwili się, że kolejne

niebezpieczeństwo wkrótce nadejdzie i zawiśnie nad miastem jak gradowa chmura.

Wanda wzięła udział w procesji. Na czas nabożeństw, pracy i świąt kościelnych zawieszono jej karę. Poza tym siedziała w komórcie, a jej jedynymi kompanami były karaluchy i stara szafiarnia, w której Zofia chowała mąkę i kaszę. Osamotnienie i ciemność nie zmieniły nastawienia dziewczyny. Przeciwnie, zadziały odwrotnie. Wanda wołała skoczyć do rzeki niż poślubić Wiesia.

Procesja przebiegła spokojnie. Kilku mieszczan zataczało się nieco po nocnym świętowaniu, reszta szła bardziej lub mniej skacowana, modląc się żarliwie i cicho plotkując na temat mizernego życia miejskiego. W centrum zainteresowania była Wanda. Stare łodzianki obrzucały ją oburzonymi i ciekawskimi spojrzeniami, starając się dociec, dlaczego dziewczyna odrzuciła sąsiada. Spoglądano też na Żelichowskich, a najbardziej na Wiesia. Wyłapywano szczegóły i po cichu komentowano każdy gest. Skłóceni sąsiedzi szli niedaleko siebie, zachowując pozory. Zofia wręcz wypychała Wandę do przodu, by szła bliżej Wiesia. Dziewczyna przyjmowała to upokorzenie z grzecznością, godną dobrze wychowanej panny, ale w środku aż skręcała się z obrzydzenia i obrazy.

Wiesio ukradkiem spoglądał na Wandę. Widział, jak policzki dziewczęcia rumienia się ze wstydu. Miała spuszczone oczy, a łzy lśniły na jasnych rzęsach. Chłopak czuł satysfakcję i nie był w tym odosobniony. Żelichowska szła za synem i patrzyła na zawstydzenie Wandy z satysfakcją. Męka Sobótkówny cieszyła ją. Szła w procesji uśmiechnięta, odpierając ciekawskie spojrzenia ludzi chłodnym milczeniem.

Procesja była dla Wandy wydarzeniem okropnym. Pilnowała, by się nie rozplakać. Czuła, że wszyscy patrzą na nią to z wrogością, to znów z ciekawością. Tylko jedno spojrzenie było inne. Dziaduszka. Jerzy Sobótko czuł niesmak z powodu upokorzenia, które musiała znieść wnuczka. Litość wezbrała w sercu starego łodzianina. Podeszedł do Wandy, chwycił jej ramię, pokazując wsparcie. Nie puszczał wnuczki do końca procesji, odpierając pogodnie każde złe spojrzenie.

Gdy wybuchał skandal, łodzianie byli jak wilki. Taka postawa nie była wyjątkiem, bo w małym mieście nowinki zawsze stawały się pożywką dla tłumu. Ludzie okrążali ofiarę i chodzili dookoła niej, patrząc z wrogością na każdy gest, odczytując wszystko jako zagrożenie. W końcu rzucali się na nią, obrażając oceną, komentarzami i wykluczeniem. Jerzy Sobótko wiedział to wszystko. Zbyt długo żył na świecie, by przejmować się opinią pospólstwa. Żył nawet na tyle długo, że nie obchodziła go ani szlachta, ani król, ani ksiądz.

Tego dnia po procesji szeroko komentowano zachowanie Jerzego Sobótki. Wpływy najstarszego łodzianina był jednak na tyle znaczące, że tylko niektórzy nadal szydzili z decyzji Wandy. Powoli pożar w rodzinie Sobótków zaczynał dogasać. Nie oznaczało to jednak końca problemów.

IX



Choć po Bożym Ciele w Łodzi nieco się uspokoiło, konflikt króla z Jerzym Sebastianem Lubomirskim przybierał na sile. Wkrótce Konrad dostał list od Jana Kazimierza. Monarcha otwarcie pisał o tym, że niepokorny szlachcic drwi sobie nie tylko z niego, ale i z senatorów, straży i sądu Bożego.

Byłbym spokojniejszy, gdybyś przyjechał do Warszawy i stanął wraz z moimi żołnierzami do bitwy z Lubomirskim. Jesteś bowiem najznakomitszym strategiem, biegle znającym żołnierską sztukę i powinność. Lubomirski wciąż mówi o sprawiedliwości, a sam jej nie zna, napadając na wsie i miasta. Rabuje tam, co się da, by swoim łotrom i buntownikom zapewnić jedzenie i zapłatę, bo inaczej odwróciliby się od niego. Jednak nie to jest najgorsze! Szlachta, która go popiera, zrywa sejmy i wszczyna burdy, jak kraj szeroki. Dopóki Lubomirski na palu nie skończy i wyć za grzechy nie będzie, dopóty nie zaznam spokoju.

Konrad przeczytał dokładnie list, znajdując na końcu wzmiankę o pannie Katarzynie.

Wiem, że zamierzasz ożenić się z panną Katarzyną Andruszkiewiczówną. Ród to osławiony, a oficer Andruszkiewicz jest

najlepszym strzelcem na Litwie. Nie poważa mnie jednak zupełnie, lekceważąc władzę, którą mam, i chcąc odebrać mi resztę monarszej godności, podobnie jak większość magnaterii i szlachty. Jeśli jednak pomożesz mi i staniesz z oddziałem do boju przeciwko Lubomirskiemu, pobłogosławię wasze małżeństwo, nie mając pretensji ni roszczeń.

Konrad zmarszczył brwi. Nie w smak mu było jechać teraz w bój, skoro czekały go zrękowiny. Jednocześnie konflikt z królem ciążył mu na sercu jak kamień.

– Nie ma co, trzeba jechać, gdy najmiłościwszy pan wzywa – mruknął pod nosem.

Stał przez chwilę bez ruchu, obmyślając odpowiedź. Jednocześnie ściągnął brwi w zamyśleniu.

Pan oficer będzie niepokieszony, a ojciec dostanie białej gorączki na wieść o moim wyjeździe. Na razie nie będę im oznajmiał nowiny – pomyślał. Miał jeszcze czas do namysłu i zwłoki, bo monarcha nie prosił do Warszawy natychmiast.

Zbieram oddziały, by stoczyć nową bitwę z tym zdrajcą. Poselstwo wysyłam niezwłocznie, ale daję ci czas do namysłu. Przybądź pod koniec miesiąca do Warszawy, jeśli u mojego boku chcesz walczyć za ojczyznę i skończyć z terrorem Lubomirskiego, którego hołota zrywa postanowienia sejmowe i pijana napada na cały kraj.

Konrad usiadł przy ławie i długo pisał odpowiedź. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy skończył. Opieczętował list i wyprawił królewskiego posła z powrotem do Warszawy. Nie widząc lepszego rozwiązania, postanowił przyjść do gości, ukrywając na razie swoje zamiary.

Czas nie był sprzyjający. Zbliżały się zrzękowiny, a Karol Jezierski postanowił wydać uroczystą wieczerzę z tej okazji. Jednocześnie w Chojnach nikt nie sprzyjał królowi, a ojciec Konrada niemal jawnie pochwalał rokosz. Młody żołnierz nie miał jednak wyjścia – postanowił wprawdzie odwlec ogłoszenie nowiny, ale sama myśl o tym, że w końcu będzie musiał powiadomić ojca i gości, wprawiła go w zły nastrój. Mniej cieszył się na planowaną wieczerzę.

Nie tylko w Chojnach rozmawiano o szlacheckich zaręczynach. Cała Łódź żyła tym tematem. Prześcigano się w plotkach, dając chwilę wytchnienia Żelichowskim i Sobótkom. Komentowano urodę panny Katarzyny oraz to, czy para do siebie pasuje. Dziewczęta wzdychały na myśl o uroczystym szlacheckim ślubie, a mężczyźni marzyli o tym, by oczy łodzianek zwróciły się choć raz w ich stronę, a nie chojeńskiego panicza.

Wanda chodziła smutna i zamyślona. Co prawda wyszła już z komórki, ale nie miała ani chwili wytchnienia i od domowych obowiązków, i tych w polu. Rodzice prześcigali się w wynajdywaniu jej nowych zajęć, traktując to jako kolejną część kary. Zofia stała się gderliwa i butna, Ryszard zaś nie odzywał się do nikogo. Dziaduszek patrzył na wszystkich z grymasem beznadziei i bezradnie rozkładał ręce.

Żelichowscy dalej nie rozmawiali z sąsiadami. Wiesio namyślał się, czy rozpuścić plotkę na temat relacji łączącej Wandę z Jezierskim. Na razie wstrzymywał się, ale urażona duma podsuwała mu coraz nowe pomysły, którymi mógłby nakarmić ciekawość okolicy. Wiesio bowiem widział w Wandzie nieszczerą, wyrodną wiedźmę odrzucającą bogatszą i lepszą partię. Czasem duma gryzła go tak mocno, że prawie wierzył w swoje imaginacje. Wyobrażał sobie Wandę i Konrada, zacierając ręce na samą myśl o skandalu, jaki wybuchłby po rozsianiu plotki o nocy spędzonej

przez królewskiego żołnierza ze średniozamożną mieszczką. To temat, którego żaden łodzianin nie potraktowałby zwyczajnie.

Żelichowska wydawała się jeszcze bardziej wściekła. Chodziła zła jak osa, urażona, gotowa żądlić każdego, kto wejdzie jej w drogę. Patrzyła przez płot na dom sąsiadów i dokładnie oglądała obejście, doszukując się jakiegokolwiek zaniedbania, o którym mogłaby powiedzieć wójtowi. Nie znajdowała jednak niczego. Drażniło ją to jeszcze bardziej.

– Nigdy nie zadawaj się z gorszymi i biedniejszymi od siebie – mówiła do syna. – Nic to człowiekowi nie przyniesie, prócz niewdzięczności.

I tym sposobem nawzajem napędzali nienawiść do Sobótków.

Wanda widziała wrogie błyski w oczach sąsiadów. Z rzadka ich oczy się stykały, a wtedy Sobótkówna spłoszona uciekała wzrokiem. Zaczynała nawet myśleć o tym, czy nie cofnąć decyzji. Poznała jednak, jaki smak powinno mieć prawdziwe uczucie, i wiedziała, że bez niego nie zdoła nikogo poślubić. To, że darzyła żarliwym uczuciem Jezierskiego, nie było jeszcze dostatecznym powodem do odmowy. Prawdziwy kłopot Wanda upatrywała w zderzeniu dwóch odczuć – do Konrada i do Wiesia. Pierwszy wywoływał w dziewczynie obezwładniający dreszcz uniesienia, drugi – strach i odrazę.

Sama wzmianka o Jezierskim dawała niecodzienne objawy. Nagle robiło jej się gorąco i cała krew uciekała do twarzy. Pociły jej się ręce, a w głowie przyjemnie szumiało. Serce ścisnęło się, jak przy ataku nocnej zmory, a gardło zawiązywało na supeł tak mocno, że nie mogła wydobyć z siebie głosu. Udawała jednak, że czuje się dobrze, więc nikt nie podejrzewał, że powodem odmowy była platoniczna i całkiem nieracjonalna miłość do młodego szlachcica.

Tylko Jerzy Sobótko obserwował uważnie każdą reakcję Wandy. Widział, że płonie na samą wzmiankę o Jezierskim. Żył na tyle długo, by

wiedzieć, że z tak głębokiego uczucia człowiek nie wydobędzie się nigdy. Czasem wymieniał więc z wnuczką porozumiewawcze spojrzenia, nie pisnąwszy ani słowa na temat swoich spostrzeżeń. Wszystko może by się zakończyło dobrze i cała sprawa ucichła, gdyby nie seria zdarzeń, które doprowadziły do dramatu.

Zaczął się od krowy Żelichowskich. Młoda, ledwie dwuletnia jałówka nagle przestała dawać mleko. Wszyscy szukali przyczyny, ale jej nie znaleźli. Sierść zdrowa, oczy pełne blasku, nogi silne i sprawne.

– Żydy rzuciły czary czy co? – zastanawiali się Żelichowscy.

Po tygodniu jałówka przestała jeść i zaczęła chudnąć. Od Żelichowskich natychmiast zaczęto się odsuwać, bojąc się, że to jakaś nowa bydlęca zaraza, która przeniesie się na inne gospodarstwa. Żelichowscy chodzili wokół krowy, dokładali jadła, podsuwali wodę, ale nie mogli nic poradzić. W ciągu następnych dni stan jałówki pogorszył się i krowa w końcu wyzionęła ducha.

– To muszą być czary – biadała Żelichowska, oglądając dokładnie pozostałe krowy.

Nic jednak nie znalazła. Zwierzęta pasły się jak wcześniej, a choroba nie nawiedziła już żadnej krowy.

– Nic to, pewnie sąsiedzi nam źle życzą – powiedziała kąśliwie Żelichowska, trzęsąc się ze złości, że to im, a nie Sobótkom zdechła krowa.

Wiesio zapamiętał słowa matki i mocno wryły mu się w pamięć. Spoglądał na Wandę z jeszcze większą nienawiścią, jakby rzeczywiście dziewczyna miała moc zabijania krów. Czas uciekał, a frustracja Żelichowskich narastała. Nic nie wskazywało na to, że Sobótkowie zmuszą Wandę do ślubu. Tylko stary Żelichowski przeprosił się już z sąsiadami i rozmawiał z Ryszardem przez płot, gdy tylko nie było w pobliżu żony i syna.

X



Była końcówka czerwca. Dziaduszek usiadł ciężko na ławie i sapnął ze zmęczenia.

– Dziś będę umierał – oznajmił nagle, głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Wszyscy w izbie zamarli.

– Co też, drogi ojczu?! – zapytała Zofia.

– Próżne wasze głupie gadanie. Ja dziś umrę i koniec. Dajcie mi moje ubranie odświętne na pogrzeb. Świecę przynieście. Ja tymczasem spocznę na ławie, bo ciężko mi na płucach i dusi, jakby zmora siadła.

– Jezus Maria! Jezus Maria! – zawodziła Zofia. – Ojczu kochany, jeszcze nas przeżyjesz. Zejdź z ławy, wstydu nie przynoś sobie i rodzinie, bo zaraz ludzie poczną przez okna zaglądać.

– Ojczu, zejdź z ławy, bo to nie pora snu – wtórował Ryszard.

– Ja, Jerzy Sobótka, jakem wcześniej zapowiedział, umrę dzisiaj i daremne są wasze prośby.

– Ubrania ci nie przyniosę. Wstań, bo jarmark się w domu robi – rzekła gniewnie Zofia, ale stary Sobótka nic, tylko zaciął się jeszcze bardziej i złożył ręce na piersi z miną osoby, która nie cofnie się przed niczym, by zrealizować postanowienie.

– Może niech dziadunio kochany na desce się położy, to nie trzeba będzie potem dziadunia przenosić? – zagadnęła rzeczowo Wanda.

– Wynocha, bo rzemieniem rozumu nauczę! – krzyknął pan Sobótko, choć staruszek aż zatrzęsł się ze śmiechu.

– Wandziu, przynieś mi odświętny strój. Wyjmij go, najmilsza, ze skrzyni, skoro nikt się do tego nie kwapi.

Wanda posłusznie wyjęła koszulę. W domu podniósł się rwetes. Państwo Sobótkowie na przemian stali niezdecydowani, to znów krzyczeli na siebie, czerwieniejąc ze zdenerwowania. Na chwilę ich dom znów ożył.

– Bardziej jesteście czerwoni ode mnie, a to przecież mnie tchu brakuje – zachichotał Jerzy Sobótko, łodzianin najstarszy i rolnik niezrównany.

– Jak tchu brakuje to miodu i ziół trzeba. Ja przyniosę – powiedziała Zofia i już miała istotnie wyjść, ale dziaduszek chwycił ją za nadgarstek.

– I najlepsza gorzałka nie pomoże, kiedy komuś czas w drogę – powiedział cienkim głosem.

Sobótkowie stali skonsternowani. Jedynie Wanda zmarszczyła brwi i patrzyła na dziadka z niedowierzaniem.

– Pomóc kochanemu dziaduniowi się ubrać? – zapytała.

-- Wanda! – ryknęli rodzice chórem.

Zofia podeszła do starca, załamując ręce.

– Ojciec rzeczywiście coś blado wygląda. Pożycz konia od Moranowicza i jedź do Rzgowa po cyrulika. Może krwi upuści – zwróciła się Zofia do męża.

Ryszard czym prędzej wybiegł z izby, a dziaduszek począł się ubierać. Włożył giezło i położył się na ławie, sapiąc.

– Duszko, wołaj księdza – powiedział do Wandy. – A gnaj, ile sił w nogach.

Wanda posłusznie wybiegła, choć dziaduszek nie wyglądał na konającego. Nie sposób było jednak odmówić woli najstarszego łodzianina, więc dziewczyna natychmiast pobiegła w stronę kościoła.

Dotarła po kilku minutach. Ksiądz Benedykt rozmawiał właśnie z Moranowiczową. Na widok Wandy oboje przystanęli wyczekująco.

– Był u nas twój ojciec. Niestety nie zastał męża, bo pojechał na szkapie do Piotrkowa. Jak się czuje Jerzy? – zapytała Moranowiczowa.

Była to starawa, koścista kobieta o suchej twarzy. Dotknęła ją wielka tragedia, straciła wszystkie dzieci. Dwoje stratowały konie Szwedów, trzecie zmarło kilka lat wcześniej, gdy w mieście wybuchła zaraza. Moranowicze zostali sami. Znano ich z tego, że zawsze byli gotowi nieść pomoc, więc odwiedzano ich przy każdej sprawie. Największym atutem była klacz Moranowiczów. Pan Moranowicz jeździł na niej wszędzie, to po cyrulika, to znów w innych ważnych sprawach.

Pani Moranowiczowa nie była już młoda. Siwiała, choć nadal można było dostrzec, że jej włosy miały niegdyś intensywny kolor kasztana. Obrzuciła Wandę dobrotliwym spojrzeniem.

– Jeszcze tylko Gliniewicz ma konia, ale pojechał aż do Łowicza – powiedziała. – Drewno miał dobrego siwka, ale musiał sprzedać, bo rodzinę bieda przycisnęła. O! Jeszcze burmistrz ma konia...

– Gdzie jest teraz ojciec? – zapytała Wanda.

– Podobno pobiegł do Jana Marko, ale burmistrz się takimi sprawami nie zajmuje i pewnie do Rzgowa nie pojedzie.

– Ksiądz jest potrzebny natychmiast. Proszę wybaczyć – rzekła Wanda pośpiesznie.

Benedykt skinął głową, pożegnał się z Moranowiczową i podążył za Wandą tak szybko, na ile pozwalała mu tusza.

Gdy dotarli do domu, ksiądz Miszak był tak czerwony, że wyglądał, jakby sam potrzebował pomocy. Wbiegł za Wandą do izby i przystanął, sapiąc ciężko. Naraz Wanda ujrzała dziwny obrazek. Na krzesłach przy ławie siedzieli naburmuszeni rodzice, tylko jeden kącik ust Ryszarda nieznacznie unosił się, to znów opadał, jakby mężczyzna powstrzymywał się od śmiechu. Natomiast Zofia skrzyżowała ręce i wpatrywała się w Wandę ze złością.

Jednak na tym nie koniec. Jerzy Sobótko to był dopiero widok! Siedział na ławie ze zwisającymi nogami, dusząc się od śmiechu. Rżał tak mocno, że Wanda nigdy w życiu nie widziała dziadka w tak dobrym humorze. Od czasu do czasu klepał się dłonią po kolanie, jakby właśnie usłyszał najlepszy dowcip świata.

– Co się tu dzieje? – zapytał ksiądz Benedykt, z trudem łapiąc powietrze.

– Mój ojciec postanowił napędzić nam stracha – odparł Ryszard, wstając i dyskretnie zasłaniając usta ręką.

– No przecież nigdy by się w tym domu nie zrobiło normalnie, gdybym czegoś nie wymyślił. Wszyscy jak w żałobie chodziliście od czasu sprawy z Żelichowskimi. Nawet słowa nie można było od was wydobyć, tylko jakieś pomruki. No to wymyśliłem, że udam konającego – odpalił Jerzy Sobótko, łodzianin najstarszy i rolnik niezrównany.

– To nie jest zabawne, ojczy – powiedziała z wyrzutem Zofia i spojrzała na niego z niesmakiem. – Zobacz, ksiądz Benedykt się specjalnie zjawiał, Ryszard po całym mieście za koniem lata, do Jana Marko poszedł się ukorzyć, a ty sobie hece urządzasz.

Mimo wszystko mina Zofii zmieniała się. Coraz mniej było na twarzy gniewu, a coraz więcej pobłażliwego rozbawienia.

– Ojczy, wybacz ten występki, ale musiałem ich nabrać – powiedział dziaduszek do osłupiałego Benedykta.

– Nic nie rozumiem. To ty nie umierasz? A ja tu z kościoła pędzę za Wandą, mało mi dusza nie wyszła – odparł nieprzytomnie ksiądz, siadając ciężko na krześle.

– Czyli już lepiej, bym umarł? – zapytał Jerzy i na nowo począł się śmiać, aż w domu Żelichowskich było słycać.

Tak to dziaduszek postanowił pogodzić rodzinę Sobótków. Nie zraziło go nawet to, że ksiądz pogroził mu grzywną za następny występki. Nie podziałało też na jego sumienie, że nazajutrz cała Łódź gadała tylko o nim.

XI



Końcówka czerwca była upalna. Nad wschodnią Wielkopolską przechodziły co prawda gwałtowne burze, ale nie robiło się po nich ani trochę chłodniej. Wyschnięta trawa prosiła o więcej deszczu; pλανetnicy byli jednak bezlitośni i nic sobie z tego nie robili. W miastach szczególnie dokuczliwe były chmary małych much atakujących żywność, drzewa owocowe i studnie.

Choć przestrzegano łodzian przed topielcami, gromady chłopaków zbierały się nad stawem, by zażyć kąpieli. Samotnie zapuszczano się tam rzadko, bo jedna osoba mogła szybko stać się ofiarą demonów wodnych. Grupkami chadzano za to często, zazwyczaj po pracy w polu, gdy zmęczone upałem i pracą ciało domagało się ochłody.

W Chojnach też pilnowano, by nie siedzieć za długo na skwarze. Jezierscy spędzali czas głównie w folwarku, planując wystawną zaręczynową wieczerzę. Mieli być zaproszeni Gawrylscy, Konopińscy, Karolewscy i Kielczanie. Wszyscy z damami i panienkami. Oprócz tego mieli, rzecz jasna, zjechać Andruszkiewiczowie, którzy od kilku dni bawili w jednym z letnich dworków w pobliskich Stokach.

Pan Karol zapraszał gości, a pani Jezierska dawała służbie wskazówki dotyczące jedzenia. Wśród dań miały pojawić się przystawki, wymyślnie

panierowane mięsa w przyprawach i desery. Nie mogło zabraknąć pstrągów podawanych w zawieszonym sosie. Z Włoch sprowadzono wina i nową zielonkawą suknię szytą specjalnie dla pani Jezierskiej.

Konrad niespokojnie chodził po wszystkich izbach i udawał, że nie ma przed rodzicami tajemnic. Tymczasem martwił się bardzo, zarówno reakcją ojca, jak i oficera Andruszkiewicza. Wiedział, że nie będą zadowoleni z jego wyjazdu. Gdyby chodziło o walkę z zewnętrznym wrogiem, pewnie by się zgodzili. Tak jednak nie było. Konrad chodził i dumał, a im więcej myśli przychodziło mu do głowy, tym straszniejsze wydawały się następne dni. Łatwiej dałoby się przekonać oficera, gdyby tylko nie zbliżał się termin ślubu jego ukochanej córki. Konrad wiedział jednak o tym, że nie może odmówić Janowi Kazimierzowi i właśnie powinien wyruszać do Warszawy.

– Czy martwisz się uroczystością? – zapytała matka.

– Nie, matko kochana, ale muszę powiedzieć ci coś, co nie daje mi spokoju. Tajemnicę mam wielką przed wszystkimi i nie wiem, kto mnie może wysłuchać – powiedział Konrad, po czym opowiedział matce o zmartwieniu, zastrzegając, by nikomu nie mówiła o tym, co usłyszy.

Reakcja matki go zaskoczyła.

– Jeśli mnie o zdanie pytasz, to wiedz, że ja się nie znam na polityce, ale królewski status szanuję. Jesteś żołnierzem, służysz pod królem, bronić monarchy musisz. I nie ma tu nic do gadania. Zrozumie to szanowny pan oficer, zrozumie ojciec. Poczekaj cierpliwie do końca wieczery i oznajmij im nowinę następnego dnia rano. Pojedź potem od razu do Warszawy, a gdy wrócisz, wtedy się z Katarzyną ożenisz. Panna nie zajac i nie ucieknie, a król się na tobie może zawieść i wtedy wstyd nazwisku przyniesiesz. Lubomirskiego powstrzymać trzeba, bo straszne rzeczy o nim mówią, więc nieważne, czy przy królewskim boku, czy samotnie będziesz walczył z niesprawiedliwością i przeciwko zdrajcy.

Konrad uspokoił się, usłyszawszy matczyną radę. Choć sumienie dręczyło go jeszcze, poczuł ulgę i cieszył się na przyjęcie. Chciał znowu ujrzeć Andruszkiewiczównę całą w klejnotach, ozdobach, w pięknej sukni, z grzecznym, lecz niepokornym uśmiechem. Postanowił odłożyć troski na bok i położył się, rozmyślając o brązowych oczach panny Katarzyny.

Pod wieczór zaczęli zjeżdżać się goście. Najpierw przyjechała zasłużona rodzina Karolewskich herbu Dąbrowa. Wysiadł pan Karolewski cały w odświętnych szatach przygotowanych na wzór wschodni. Tuż za nim małżonka w sukni z materiału w kolorze żółtawym. Na końcu bliźniaczki, panny Karolewskie, podobne do siebie jak dwie krople wody.

Następnie równocześnie przyjechali Gawrylscy i Kielczanie – wielcy przyjaciele rodziny Jezierskich. Były to rody stare i znamienite. Gawrylscy przywieźli ze sobą aż sześć panien chichoczących do siebie i zerkających co chwilę na pana Konrada. Podziwiano najpierw ich grzeczność i gładkość, a także dobre wychowanie, z którego rodzina słynęła. Obok zatrzymali powóz Kielczanie herbu Pierzchała. Wyszedł najpierw pan Kielczan ubrany w stylu polskim z grubym kontuszem i skórzanym pasem. Prezentował się godnie, choć efekt psuła gromadka dzieci wyskakująca z piskiem z powozu. Pan Kielczan ruszył tylko wąsami odnotowując ten dziecięcy nietakt, po czym z powrotem dostojnie uniósł głowę.

Następnie zjawili się Andruszkiewiczowie, których po drodze spotkała przykra niespodzianka – jeden z koni nagle zaczął kuleć. Woźnica obmacał kończyne, zajrzał pod podkowę, ale nie znalazł niczego niepokojącego, więc powóz pojechał dalej.

Katarzyna wyszła z wozu i powitała Konrada grzecznie i z uczuciem. Miała na sobie odświętną suknię, dopasowane żółte trzewiki i cienki kontusik obszyty baranim futrem. Jasna karnacja podkreślała ciemne tęczęwki i gruby brązowy warkocz.

– Aż zaniemówił z wrażenia! – krzyknął roześmiany oficer, wpadając w objęcia gospodarzy.

Na końcu przyjechali spóźnieni Konopińscy nieodzywający się do siebie przez całą drogę. Jechała z nimi równie chłodna para rodzeństwa. Wszyscy rozchmurzyli się nieco przy powitaniu, ale wciąż zachowali dystans.

– Zapraszamy, zapraszamy – rozlegało się co chwilę.

Chojny świętowały zrękowiny Konrada i panny Katarzyny. Para siedziała obok siebie, wymieniając gorące spojrzenia. Młody szlachcic odczuwał nie tylko żar i rozkosz, lecz także niepokój. Marzył o tym, by wrócić z Warszawy jako zwycięzca i pokazać całym Chojnom i Andruszkiewiczom, że potrafi pokonać nawet Lubomirskiego. Jednocześnie nie miał ochoty ruszać na bitwę i mógłby siedzieć przy panie Katarzynie aż do starości.

Wieczera przebiegała w miłej atmosferze. Na razie nie było polityki, by panienki się nadto nie nudziły. Opowiadano anegdoty, wymieniano się doświadczeniami, chwalono potrawy i wystrój chojeńskiego dworku. I zewsząd słychać było przechwałki.

– Kupiłem ostatnio wieś w Małopolsce.

– A ja mam dwa nowe konie.

– W moim inwentarzu zapisano wyraźnie: dwunastu chłopów, cztery konie, woły, kury, świnie...

– Kiedy byłem ostatnio na wieczery u Sobieskich...

Przechwałkom nie było końca, przy czym najmniej hamował się dumny pan Kielczan. Konopińscy za to nie chwalili się prawie wcale, czasem tylko pan Konopiński zgryźliwie dorzucał do rozmowy trzy grosze.

Panowała uroczysta atmosfera. Służba co chwilę dolewała do dzbanów, wносиła nowe potrawy i zabierała ze stołu puste półmiski. W całych

Chojnach słychać było towarzystwo, któremu zaczynało szumieć w głowie od wina i gorzałki. Zabawa nadal jednak była kulturalna, a po skończonej uczcie przyszła kolej na tańce. Konrad ukłonił się pannie Katarzynie i ujął jej smukłą dłoń. Rozpoczęła się zabawa.

Tego wieczora Wiesio wyszedł z domu i spotkał przy płocie dziaduszka Sobótkę, który był w wyśmienitym nastroju. Opowiadał coś Wandzie, która prawie płakała ze śmiechu. Żelichowski nie miał pojęcia, dlaczego sąsiedzi mają tak dobry humor, ale postanowił go zepsuć. Widział przecież, że od kilku dni cały dom huczy od wesołości. Powodem tego był ponury żart Jerzego, który okazał się na tyle skuteczny, że błyskawicznie poprawił atmosferę w rodzinie Sobótków. Wiesio, owszem, słyszał o zachowaniu staruszka, bo opowiadała o nim cała Łódź, ale tym bardziej gorszyło go zachowanie sąsiadów.

– Poczekajcie, ja wam dam żarty z Żelichowskiego – mruknął i wyszedł na ulicę, gwizdząc wesoło.

Po drodze spotkał Rocha. Uśmiechnął się do siebie, bo swat był pierwszorzędnym plotkarzem.

– Czy wiesz – zaczął Wiesiek konspiracyjnym szeptem – dlaczego młoda Sobótkówna mnie nie chciała?

Roch spojrzał na Żelichowskiego podejrzliwie, ale od razu nadstawił ucha.

– Zakochała się, biedaczka, w młodym Jezierskim. Omotał ją zupełnie oczami, lokami i szlacheckim stanem. I nasza biedna jaskółeczka, proszę ja ciebie, też się spodobała namiestnikowi. I wiesz, potajemnie spotkali się – mówił dalej Wiesio, a Roch coraz bardziej wytrzeszczał oczy ze zdumienia – i poszli na trakt, który prowadzi do Chojen – tu Wiesio najciszej jak

potrafił, wyszeptał: – i aż nieelegancko mówić, co się dalej działo. Krzyki podobno słyszano aż w Starej Wsi.

– Niemożliwe! – zakrzyknął Roch, szczerze zdumiony.

– A jednak. Kto wie, czy się dalej nasza Wandzia nie spotyka ze szlachcicem, który prawie ma żonę – dokończył Wiesio, dobitnie podkreślając każde słowo.

– To, co mówisz, jest niepojęte! – stwierdził Roch, ale zaraz spojrzał podejrzliwie na Wiesia i zapytał: – A skąd o tym wiesz?

– Raz szedłem za nią, by jej powiedzieć o moich uczuciach. Ot, głupstwo, nie powinienem był. Wtedy ich zobaczyłem.

– A oni ciebie widzieli?

– Zdążyłem się ukryć – rzekł Wiesio.

Rozmawiali jeszcze chwilę, lecz Roch w końcu zaczął przystępować z nogi na nogę. Chciał jak najszybciej podzielić się nowiną z innymi. Wiesio zauważył zniecierpliwienie malujące się na twarzy swata, więc nie zatrzymywał go dłużej. Odszedł wesołym krokiem w stronę rynku, pozostawiając Rocha z tajemnicą.

Atmosfera miasta zmieniła się w ciągu godziny. Mieszkańcy szeptali poruszeni, gdzieś odzywały się głosy niedowierzania. Kilku mieszczan chciało od razu iść z pilną wiadomością do wójta, by ukarał grzeszny uczynek Wandy. Cała Łódź gotowała się od emocji.

Żelichowscy siedzieli przy ławie, kiedy wrócił ich syn. Matka od razu zerwała się na równe nogi.

– Czy to prawda, co powiadają o Wandzie?

– Ja wiem tylko tyle, co z opowieści Rocha. Podobno ktoś widział dziewczynę z Jezierskim. O tym, co robili, aż wstyd mi wspominać.

Już nie można było dojść prawdy. Każdy w Łodzi mówił co innego, każdy słyszał śmielsze rewelacje. Ściemniało się, gdy do wójta dotarła

wiadomość o Wandzie.

– Nie może być! – krzyknął Gliniewicz. – Czy to nie pomyłka? Sobótkowie są dobrą rodziną.

– Tak powiadają – odpowiedziała gromadka najbiedniejszych łodzian.

Byli Licheccy liczący przy każdej skardze na nagrodę. Przyszli też oburzeni Mirczakowie, których syn niegdyś upodobał sobie Wandę. Nie zabrakło samotnej wdowy po karczmarzu Kurylczakowej i sędziwego małżeństwa Otomowiczów wiecznie żądających sprawiedliwości na świecie.

Wójt postanowił pójść do Sobótków i wyjaśnić sprawę. Nie wierzył zbyt w plotkę, bo Wanda prowadziła się porządnie, pracowała solidnie i nie łamała zakazów kościelnych. Gliniewicz poszedł więc po pisarza miejskiego i razem udali się do Sobótków. Cała gawieź ruszyła za nimi i towarzyszyła aż do płotu. Wójt nakazał wszystkim zachować spokój i z pisarzem u boku zapukał.

Ryszard stanął w progu i wybałuszył oczy, widząc zgromadzenie. Gliniewicz przywitał się z nim przyjaźnie, po czym wszedł do środka, zgarniając chuderlawego pisarza.

– Czym zasłużyliśmy na wizytę? – zapytał Ryszard, stawiając dzban z gorzałką.

– Rozeszło się poważne pomówienie o Wandzie – rozpoczął Gliniewicz, patrząc przenikliwie w oczy panny.

Wanda natychmiast domyśliła się, co mogło wywołać aż takie poruszenie. Łzy napłynęły jej do oczu na myśl o tym, że Wiesio wcielił nikczemny plan w życie. Mimo tego stała prawie bez tchu, patrząc wnikliwie w dobre, ale stanowcze oczy wójta.

Jej obawy potwierdziły się, gdy Gliniewicz ogłosił treść plotki. Zalała ją fala gorąca i musiała przytrzymać się krzesła, by nie upaść.

– Nie jestem za żadną ze stron i oczywiście, jeśli to kłamstwo, będziemy szukać winnego. Zapłaci za oszczerstwo. Muszę natomiast wiedzieć, czy z jasnie panem Konradem Jezierskim nie miała panna żadnych kontaktów – powiedział pojednawczo wójt, na którym szczerza reakcja Wandy zrobiła wrażenie.

Pierwszy odezwał się Jerzy Sobótka.

– Kto rzuca takie oszczerstwa na dobrą i miłą pannę, powinien nie tylko grzywnę płacić, ale też w piekle się smażyć!

– Ja także stoję murem za córką – oświadczyła Zofia pewnie.

Na wszelki wypadek popatrzyła jeszcze w stronę córki. Jej blada, przerażona twarz utwierdziła matkę, że ma rację. Pewny był też Ryszard.

– Kto nastaje na reputację takiej dobrej panny? Kto mógłby mieć w tym cel? – spytał pisarz Piekarczyk.

– Ktoś, kogo panna uraziła – mruknął dziaduszko i wyjrzał przez okno, spoglądając z nienawiścią na dom Żelichowskich.

– Wanda Żelichowskiego odrzuciła i postanowił się zemścić – poparła Zofia.

Wanda jako jedyna nic nie mówiła. Głos odmówił jej posłuszeństwa i stała teraz oparta o krzesło, nachylając się ciężko w stronę ławy. Ryszard złapał ją za ramię i posadził.

– Teraz reputacja dziewczyny nadszarpnięta. Kto ją zechce po czymś takim? – zapytał groźnie.

Wójt nie chciał mieszać się dłużej w sprawę. Było mu niezręcznie pytać o prawdę w domu, w którym stała się krzywda. Zacisnął usta i postanowił jak najszybciej znaleźć i ukarać oszczercę. Jeszcze mocniej podziały na niego dziewczęce łzy lejące się z błękitnych oczu strumieniami. Jednocześnie głowił się, czy występować przeciwko Żelichowskim bez pewności, że to oni zasiali plotkę.

Na razie wyszedł z sieni, spojrzął spode łba na ciżbę zgromadzoną przed płotem.

– Wanda Sobótkówna niewinna i pomówiona przez oszczercę – powiedział stanowczo.

Rozległy się szepty. Próbowano zaglądać w okna domu, wskazywano winnych, tropiono wszelkie domysły. Nie wszystkich przekonały słowa wójta, więc poczęto kłócić się przed domem Sobótków, wszczynając niespotykany harmider. Wśród najbardziej ciekawskich było dużo biedoty pragnącej za wszelką cenę, by bogatszym stała się krzywda. Zazdrość nie wynikała ze złego charakteru, lecz ze skrajnej nędzy i głodu. Tłum podburzali więc Mirczakowie i Licheccy. Tuż za nimi wyklócała się Grosikówna z matką. Każdy miał inne argumenty przeciwko Sobótkom.

Staszek Grosik stał nieco z tyłu i przyglądał się ujadającej matce. Kobieta miała chude, zapadnięte policzki, a jej twarz przypominała wizerunek śmierci. Krzyczała, pokazując szerniałe, powykrzywiane zęby, a jej wzrok błyskał dziko, wodząc nieprzytomnie po ciżbie.

Staszek przypomniał sobie, jak potajemnie dostawał od starego Sobótki kawałki chleba, a czasem nawet nieco mięsa i sera. Popatrzył na biedotę krzyczącą pod domem i zmarszczył brwi. Nie chciał krzyczeć razem z nimi. Choć nie rozumiał do końca własnych odczuć, poczuł szczypanie w oczach i niemiłą gulę w gardle. Popatrzył jeszcze chwilę na matkę, po czym zerwał się do ucieczki.

Wydawało mu się, że ucieka całą wieczność. Tymczasem nie wyszedł nawet poza granice Łodzi. Dobiegł do Ostrogi i usiadł przy brzegu. Oplótł kolana rękami i złożył na nich jasną głowę. Przez chwilę patrzył na młyn, przypominając sobie zdarzenie sprzed miesiąca.

Miesiąc wcześniej Staszek podszedł pod dom Sobótków, czekając na jałmużnę, jak to miał w zwyczaju. Dziaduszek strugał akurat jakiś kijek

i gestem zaprosił chłopca na podwórze. Staszek najpierw niezmiernie się zdziwił, ale po chwili z ufnością przeskoczył przez płot. Staruszek położył palec na ustach i dziecko pokornie zachowało milczenie. Jerzy wyjął spod koszuli trochę chleba i sera, a potem włożył wystrugany kijek do dziecięcej rączki.

– Masz kijaszek do zabawy – szepnął i przegonił Staszka.

Od tamtej pory dziecko nie rozstawało się z kijkiem ani na chwilę. Staszek grzebał nim w piasku, rysując zwierzęta i ludzi, a także wbijał kijek w drzewa, gryzmołąc znak podobny do węża. Uznał, że to będzie jego podpis. Odtąd żadne przydrożne drzewo nie mogło czuć się bezpiecznie. Teraz też miał kijek. Włożony był za sznurek opasujący koszulę.

Staszek wyjął kijaszek i sprawnie zaczął rysować dziaduszka Sobótkę. Ziemia przy Ostrodze była wysuszona i udeptana, więc wizerunek starca powstał szybko. Nikt nigdy nie widział rysunków Staszka, ale gdyby ktoś je zobaczył, na pewno zwróciłby uwagę na talent dziecka. Malec sam nie wiedział, że to, co tworzy, jest ładne. Widać w tym było dziecięcą niezgrabność, ale również pewien zdecydowany rys i finezję. Staszek rysował więc i rozmyślał o tym, że nie chciałby być jednak ani jak oficer Andruszkiewicz, ani jak namiestnik Jezierski. Chciałby być jak stary Sobótko.

Ludzie powoli się rozchodzili. Ryszard wyglądał niespokojnie przez okno, gotując się ze złości. Zofia siedziała przy ławie, trzymając w ramionach płaczącą Wandę, a dziaduszko żuł tabakę i krzątał się bez celu po izbie. Nie wiedział, jak pocieszyć wnuczkę, a jednocześnie nigdy wcześniej nie miał takiej potrzeby. Teraz chodził bezradnie z kąta w kąt, stukając drewnianą laską.

– Jak się uspokoi, pójdę do wójta i poproszę, by przesłuchał Wieska – oznajmił Ryszard.

Wanda najbardziej martwiła się o reputację i o to, że plotka dotrze w ciągu kilku dni w każdy zakamarek łęczycko-sieradzkiego. Nie było też wątpliwości, że dojdzie do Chojen.

Co jaśnie pan Jezierski sobie o mnie pomyśli? Co pomyślą całe Chojny? Czy to nie zaszkodzi małżeństwu z panną Katarzyną? – pytała siebie w myślach. Wydawało jej się, że cały kraj już wie i nie można nic na to poradzić.

Tymczasem Łódź spowił mrok. Zapalano świece, rozchodzono się do domów i przygotowywano jedzenie. Niektórzy już posnęli, inni jeszcze rozmawiali o Sobótkach i Jezierskich. Komentowano też zabawę w Chojnach. Napływały pierwsze wieści od wieśniaków. Przekazywano je sobie z wypiekami na twarzy. Mówiono więc, że panna Katarzyna wygląda jak skowronek, że bawią Gawrylscy, Konopińscy, a nawet Kielczanie. Następnie dyskutowano na temat dworku w Chojnach, wystroju wnętrz i podanych potraw.

Wanda się położyła, lecz nie mogła zasnąć. Nękały ją czarne myśli. Zastanawiała się, ilu łodzian wierzy plotkom rozsianym przez Wiesia. Uznała też, że tak sprawy nie może zostawić i będzie zeznawała przed wójtem, dochodząc zadośćuczynienia. Kolejne myśli wędrowały w stronę Chojen. Dziewczyna obawiała się, że Jezierski już wie o oszczerstwie. Była pewna, że cały folwark huczy od plotek. Zastanawiała się, czy pomówienie Wiesia oznaczać będzie dla Konrada nieprzyjemności. Drżała na myśl o tym, że może narazić się kędzierzawemu szlachcicowi.

Dochodziła północ, a Wanda czuła się coraz gorzej. Od płaczu rozboleła ją głowa. Miała wrażenie, że w oczach skrzypi piasek. Serce biło niespokojnie i mdliło ją na samą myśl o plotce, która wszystkim wokół

mogła przysporzyć wielu kłopotów, a nawet narazić Łódź na gniew chojeńskiej szlachty.

Wtem w jej głowie zaczęła kiełkować szalona myśl. Na początku była niewyraźna, ale po kilku minutach przerodziła się w prosty plan. Trzeba było natychmiast udać się do folwarku Jezierskich, by wytłumaczyć sytuację. Wanda mierzyła się jeszcze sama ze sobą, ale chęć naprawienia szkód wzrastała z każdą chwilą. Chciała zerwać się i niezwłocznie biec do Chojen. Kryło się za tym także pragnienie rozmowy z panem Jezierskim, jednak głównym celem była naprawa żenującej sytuacji.

Wanda jeszcze przez chwilę leżała na zapiecku, ale postanowiła wcielić plan w życie. Bezszelestnie wstała, upewniając się, że Sobótkowie śpią. Przeczesła długie blond włosy i uplotła niedbały warkocz. Po cichu weszła do komórki, a stamtąd wydostała się tylnymi drzwiami na podwórze. Poczowała w sobie niespotykaną siłę i radość. Nocą Łódź pachniała kojąco, inaczej niż za dnia. Wanda nabrała w płuca rześkiego powietrza i pospieszyła w stronę Chojen.

Ryzykowała wiele. Gdyby ktoś ją przyłapał, miałyby poważne kłopoty. Szła jednak równym krokiem, ciesząc się, że w ciemności nikt jej nie widzi. Jakże inaczej wyglądało teraz miasto! Chaty jak opuszczone, ze środka nie słychać było ani jednego dźwięku. Okna stały puste i przypominały ciemne dno studni. Najmniejszy szmer niósł się kilka ulic dalej. Piasek nierówno chrząścił pod stopami Wandy, ale był miłszy i chłodniejszy niż za dnia.

Doszła do rynku i skręciła na główny trakt prowadzący do Chojen. Szła coraz bardziej wystraszona, bo przed nią, jak okiem sięgnąć, rosły wysokie drzewa rzucające w świetle księżyca długie cienie. Minęła młyn, przysłuchując się cichemu szumowi rzeki. Jeszcze kilka kroków i już była poza Łodzią.

Teraz, co prawda, Wandzie nie groziło spotkanie z mieszcuchami, ale niebezpieczeństwa czyhały na każdym kroku. Przystanęła na samą myśl o hultajach czających się w lesie i wzięła głęboki oddech. Zacisnęła zęby i ruszyła naprzód, co rzeczywiście wymagało odwagi, bo bory pełne były zbójów, włóczęgów i hultajów. Grasowali przy małych drózkach i głównych traktach. Można było ich zobaczyć śpiących nocą przy drodze lub uganiających się za wozami w poszukiwaniu pracy lub – częściej – jałmużny.

Drzewa szumiały nieprzyjemnie. Za dnia ten dźwięk kojarzyłyby się Wandzie ze spokojem i błogą naturą. W nocy oznaczał coś innego. Dziewczyna zaczęła drzeć ze strachu, przypominając sobie wszystkie miejscowe opowieści o demonach leśnych. Nagle legendy ożyły i mieszały się, tworząc przerażający sen na jawie; koszmar, którego nie można było odgonić.

Wanda przeżegnała się i szła dalej, jednak już mniej pewnie. Czasem lęk paraliżował ją tak bardzo, że chciała zawrócić i biec do domu. W chwilach wyjątkowej bezradności przypominała sobie o krzywdzie, jaką wyrządził jej Wiesio i o gniewie Konrada. Nie miała pojęcia, jak zareaguje stary Jezierski. Mógł kazać ją wychłostać, mógł też zaprowadzić ją do wójta. Czarne scenariusze pojawiały się w dziewczęcej głowie znienacka i już tam zostawały, mieszając się nieustannie z koszmarem ciemnego lasu.

Po lewej stronie rosły sosny. Był to znak, że Wanda zbliżała się do Chojen. Przyspieszyła nieco, omijając dwóch śpiących włóczęgów okutanych w szmaty. Starła się wstrzymać oddech, by nikt nie wyczuł jej obecności. Serce waliło jej jak młotem i miała wrażenie, że słyszy to cała okolica. Spokój wrócił dopiero wówczas, gdy w oddali zobaczyła folwark. Biło od niego światło, słychać było różne głosy. To, że ktoś w tej smutnej

okolicy nie śpi, dodało Wandzie animuszu. Ostatni odcinek drogi pokonała najszybciej, biegnąc aż do zapłocia.

Dworek ją zdumiał. Nigdy przedtem nie była w Chojnach Dużych, więc nie wiedziała, jak mieszka rodzina Jezierskich. Folwark był okazały, choć drewniany. Nieopodal stały nędzne chłopskie zabudowania, a w oddali, aż po horyzont, rozciągały się pola. Przy dworku stała ogromna stajnia i trzy stodoły. Takiego bogactwa Wanda jeszcze nigdy nie widziała, choć słyszała, że dworek w Chojnach szczęśliwie nie ucierpiał podczas najazdu Szwedów. Lubomirski także oszczędził folwark, pamiętając o tym, że stary Karol Jezierski to wielki przeciwnik króla. Wanda rozejrzała się w niemym zachwycie, myśląc o tym, że trafiła do raju. Tu nie było zarazy i wojen, a pożary zdawały się szczęśliwie omijać wieś. Powietrze było świeższe niż w Łodzi, a ze stajen dobiegało rżenie koni.

Stała niezdecydowana. Nie była pewna, co dalej. Zastanawiała się, co powiedzieć Jezierskiemu, jak wejść do dworku i czy w ogóle to dobry pomysł. Wcześniej nie obmyśliła szczegółowego planu i teraz bawiła się warkoczem, patrząc bezradnie na majestatyczną posiadłość Jezierskich.

Dotarło do niej, że nie dostanie się do środka. Jako mieszcza miała niewielkie szanse na wyrozumiałość, a poza tym nie powinna przeszkadzać w zaręczynowej zabawie. Uznała więc, że lepiej wrócić do domu, by nie narażać się na kłopoty. Ale wcześniej postanowiła zajrzeć przez okno, by zobaczyć, jak wygląda wnętrze dworku. Taka szansa mogła się nie powtórzyć.

W pobliżu nie było nikogo. Z dworku dobiegała wesoła muzyka. Słysząc było też wysokie kobiece głosy oraz jowialne męskie. Niektórzy toczyli poważne rozmowy zapijaczonym głosem. Inni chwalili uroki panien, które chichotały, słysząc komplementy. To wszystko zrobiło na

Wandzie wielkie wrażenie, ale się jej nie podobało. Było w tym coś nieskromnego.

Dziewczyna podeszła ostrożnie do okna i prawie krzyknęła z oburzenia. Pijani goście wlewali w gardła kwarty miodu i zapijali drogim winem. Niektóre krzesła były przewrócone, jakby huragan nawiedził to spokojne miejsce. Postawny, wąsaty mężczyzna spał, opierając głowę na ławie. Dwóch innych siedziało obok. Widocznie rozmawiali na temat szabel, bo świstali nimi prawie nad głową śpiącego.

Jednak największe zgorzelenie budziły w Wandzie swawolne tańce, których jeszcze nigdy nie widziała. Mężczyźni obłapiali chichoczące panny, droczyli się i przedrzeźniali. Niektórzy ledwo stali na nogach ogłuszeni potężną porcją alkoholu. Na środku sali tańczyła przyszała para młoda, której zupełnie nie przeszkadzały ekscesy gości.

Kiedy Wanda ujrzała namiestnika Jezierskiego, aż wstrzymała oddech, podziwiając jego piękną twarz i silną posturę. Zaraz potem poczuła ukłucie żalu, widząc, że Jezierski znakomicie bawi się w ramionach narzeczonej. Panna Katarzyna wyglądała wspaniale. Jasna suknia podkreślała głęboki brąz tęczy, a zaróżowione policzki dodawały wdzięku. Andruszkiewiczówna, ku oburzeniu Wandy, tańczyła z Jezierskim bez zażenowania. Podziw zaczął się w niej mieszać z zazdrością, ale stała i patrzyła dalej jak zahipnotyzowana.

Spojrzenia rzucone przez Konrada wyraźnie rozpały pannę Katarzynę. Płoniła się nie tylko od tańca i wina, lecz także – a może przede wszystkim – z powodu ognistych, rozżarzonych źrenic Jezierskiego. On również topniał pod jej spojrzeniem rzuconym spod długich, ciemnych rzęs. Patrzyli na siebie coraz śmielej, jednak zachowując dystans i nie przekraczając granic dobrego wychowania.

Wanda wciąż patrzyła w okno i niespodziewanie zaczęła marzyć. Wyobrażała sobie, że jest Katarzyną Andruszkiewiczówną z polskoliteńskiego szlacheckiego rodu. Nie marzyła jednak o sukniach i klejnotach, tylko o tym, że tańczy z Jezierskim, łowiąc żarliwe spojrzenia. Zatopiła się w marzeniach tak mocno, że zupełnie przestała przejmować się Wiesiową plotką, Chojnami i problemami miasteczka. Widziała siebie w jasnej sukni i żółtych trzewikach. Niemal czuła na sobie kosztowny materiał i zwiewne halki. Wirowała w rytm muzyki, wpadając w objęcia pana Konrada, a on uśmiechał się zaczepnie, ale grzecznie. Suknia wirowała z nią, delikatnie odsłaniając część łydki. To wszystko widziała w marzeniach Wanda, a najbardziej skupiała się na spojrzeniach wymienianych przez parę.

– Kto ty? – zapytał nagle niemiły chłopięcy głos.

Podskoczyła wyrwana z marzeń. Przed nią stał może szesnastoletni chłop w zgrzebnej koszulinie. Podejrzliwie złapał Wandę za ramię, aż krzyknęła z bólu.

– Pytam, kto ty – odezwał się raz jeszcze, patrząc na dziewczynę złowrogo.

– Puszczaj, chamie! – warknęła Wanda, wrywając się z impetem z chłopskiego uścisku.

Zaraz jednak zmieszała się i dumnie uniosła głowę.

– Jestem Wanda Sobótkówna, przyszedłam tu z Łodzi, gdyż mam coś bardzo ważnego do powiedzenia twojemu panu.

Twarz chłopaka wykrzywiła się w nieszczerym uśmiechu. Wyglądała złowrogo w folwarcznym świetle, rzucającym refleksy na ciemne podwórze.

– Słyszało się o tobie – powiedział.

– Co się słyszało? – zapytała wyniośle Wanda.

– To i owo.

Chłopak nadal natarczywie wpatrywał się w Wandę.

– Po co do jaśnie wielmożnego pana?

– Muszę mu coś powiedzieć, ale właściwie... nieważne. Puszczaj, bo chcę iść do domu.

– Czekaj – syknął parobek. – Chcesz iść do domu? A jednak przez okno się patrzysz jak urzeczona.

– To już zupełnie nie jest ważne – powiedziała Wanda i próbowała wyminąć chłopaka, ale zagroził jej drogę.

– A wiesz, że ja tu mogę wszystkich ze wsi skrzyknąć? I się wstydu najesz, aż w Łodzi będzie o tym huczeć przez tydzień – zagroził wieśniak.

– Nikt w to próżne gadanie nie będzie wierzył – oświadczyła dumnie Wanda, ale jej serce poczęło bić niespokojnie.

– No to tera pójdziesz ze mną i się panu wytłumaczysz z głupiej wędrówki – odpowiedział chłop, ponownie łapiąc Wandę za ramię, a drugą rękę kładąc na biodrze dziewczyny.

Próbowała wyrwać się z tego uścisku, ale im mocniej się szarpała, tym bardziej chłop zaciskał rękę.

– Ale łapę mi z biodra węz – syknęła, wciąż udając, że ma sytuację pod kontrolą.

Chłop zaśmiał się wrednie, ale zabrał rękę z biodra dziewczyny i poprowadził ją do tylnego wejścia. Znaleźli się teraz w niewielkim pomieszczeniu z narzędziami. Wieśniak polecił Wandzie, by usiadła na sianie, i przywiązał jej ręce sznurem, zawiązując supeł na drewnianym filarze.

Dopiero teraz Wanda zaczęła zdawać sobie sprawę ze swojego położenia. Było beznadziejne i nic nie zapowiadało poprawy. Do Łodzi najpewniej dojdzie nowina o dziewczynie błakającej się nocą po Chojnach.

Zaczęła żałować tego, że podała wieśniakowi nazwisko. Należało trzymać je w sekrecie i wyjawić tylko państwu Jezierskim.

Po dłuższej chwili chłop wrócił do szopy z triumfalną miną. Za nim wtoczył się pijany Karol Jezierski. Popatrzył na parobka, a potem na Wandę.

– Oto, cóżem znalazł – pochwalił się chłop, wskazując na związaną dziewczynę.

Karol Jezierski potężnie beknął, po czym podszedł do Wandy, oglądając ją dokładnie z każdej strony.

– A kto to, durny chamie? – zapytał, chwiejąc się.

– Jakaś łodzianka, co przyszła i w okna zaglądała. Stała i patrzyła, jak się szlachta bawi – oznajmił dumnie wieśniak, wyraźnie czekając na pochwałę.

– A po co łodzianka przyszła i po oknach zaglądała? – zapytał podejrzliwie stary Jezierski, zwracając się ni to do Wandy, ni to do parobka.

Oboje milczeli, bojąc się odpowiedzieć.

– Pytałem – rzekł głośniejszym głosem pan Karol – po co przyszła i w okna zagląda.

Wanda zrozumiała, że znalazła się w fatalnej sytuacji. Mimo tego postanowiła odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

– Przyszłam, bo o jaśnie wielmożnym panu Konradzie powstała w Łodzi gorsząca plotka.

Jezierski spojrzał niechętnie na Wandę, zatrzymał wzrok na jej wystraszonej twarzy i przez dłuższą chwilę milczał. Potem, jakby nagle czymś rozbawiony, ryknął tubalnym śmiechem, który usłyszały chyba całe Chojny.

– I po to przylazłaś w nocy do Chojen, by mi to powiedzieć? Że jest jakaś plotka, co po miasteczku chodzi? Jezusieńku, chyba nigdy w życiu się tak nie ubawiłem – mruzczał pijany szlachcic. – Coś ty mi tu przyniósł?

Rzemieniem po łbie chcesz dostać, chamie?! – ryknął, aż parobek skulił się, uklęknął i począł błagać o przebaczenie.

– A jaka to plotka? – zapytał nieoczekiwanie pan Karol, hamując gniew.

– O mieszcze, która niby miała pewną relację z jaśnie panem Konradem Jezierskim – odpowiedziała Wanda jednym tchem.

– Uhm – mruknął pan Karol bez większego zainteresowania. – No i co?

– Nic wielkiego, jaśnie wielmożny panie – odpowiedziała Wanda pokornie. – To tylko plotka, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością i...

– To na co ten cały jarmark, skoro nowina jest nieprawdziwa? Nic z tego nie pojmuję. Cham zakłóca mi uroczystość, wchodzę do szopy, a tam związana mieszcza na sianie.

Stary Jezierski poczerwieniał ze złości i kopnął klęczącego chłopca. Ten rozplakał się i padł panu do nóg, jeszcze pokorniej prosząc o wybaczenie.

– A czemu to dziewczyno, fatygowałaś się do dworu nocą, ha?! – zapytał Jezierski, a podejrzliwy ton wskazywał na to, że prędko nie skończy przesłuchania.

– Bo plotka została dziś wygłoszona i mogła zepsuć przyjęcie – odparła Wanda.

– To mieszcza się fatyguje aż do Chojen, by nas ostrzec, a ty ją przywiązujesz w szopie jak jakąś zbrodniarkę, chamie?! – ryknął Jezierski, wymierzając wyjącemu chłopcu kolejnego kopniaka. – Odwiąż ją i przyprowadź do mnie.

To powiedziawszy, Jezierski wytoczył się z szopy, a chłopca począł rozcinać nożem więzy. Nic przy tym nie mówił, nawet nie patrzył na Wandę, zaabsorbowany nowym zadaniem, dzięki któremu będzie mógł się poprawić.

Wanda była zdezorientowana, ale wcale nie cieszyła się na dalszą rozmowę z panem Karolem. Po stokroć wolałaby spędzić bezsenną noc w Łodzi, zamartwiając się o przyszłość. Pojęła, jak niemądry i niebezpieczny był jej pomysł. Teraz jednak nie było wyboru – musiała poddać się losowi.

– Czy wszyscy są dziś pijani? – zapytała, ale nie doczekała się odpowiedzi parobka. Obrzucił ją wrogim spojrzeniem i wypchnął z szopy.

Przechodzili przez różne pomieszczenia, jedne wystawniejsze od drugich. Dziewczyna nie mogła jednak przyjrzeć się pokojom dokładnie, bo parobek pchał ją od drzwi do drzwi.

Wreszcie znaleźli się w przytulnym pomieszczeniu. Stało tam duże biurko wyrzeźbione w dębowym drewnie, na którym leżały stosy dokumentów. Za biurkiem, na fantazyjnym krześle z wysokim oparciem, siedział pan Karol. Miał butną, nadąsaną minę. Gestem odprawił parobka i popatrzył na Wandę wyniośle.

– Czemu chamki pchają się do dworu? Chcę usłyszeć o rzekomym pomówieniu, bo intryguje mnie niezwykle, co jest tak ważne, by w środku nocy ganiać aż do Chojen – zaczął pan Karol i przygładził wąsy.

Wanda stała niezdecydowana. Była przekonana, że cały dworek już dowiedział się o łódzkiej plotce. Tymczasem domyśliła się, że chłopci, owszem, wiedzą, ale ze strachu przed gniewem państwa, niczego nie powiedzieli.

– Poszło na całe miasto oszczerstwo. Nieprawdziwe słowa powiadali o mieszcze i szlachetnym panu namiestniku – powiedziała Wanda, czerwieniejąc na samo wspomnienie wieczornej wizyty wójta Gliniewicza.

– Co? Głośniej! A zresztą, co mnie obchodzą miejskie plotki. Motłoch gadał i gadać będzie, to nie ulega wątpliwości.

Wanda nie odpowiedziała. Ukłoniła się tylko skromnie, by pokazać dobre maniery. Stary Jezierski spojrzał ukontentowany na wyraz szacunku.

– Jakaś panna pewnie przy tym pomówieniu ucierpiała? Jak znam te chamskie mordy, to teraz mieszczce żyć nie dadzą. Sławetna to jakaś? – zapytał nieco łagodniej.

– To ja – wydusiła Wanda z trudem.

– Ty?! – zakrzyknął stary Jezierski, wybałuszając oczy ze zdumienia.

– Przyszłam tu, bo spać ze zmartwienia nie mogłam. Bałam się, że plotka zepsuje całe przyjęcie i ktoś w nią uwierzy.

Pan Jezierski aż klasnął w dłonie. Oparł łokcie na biurku i popatrzył na Wandę wymownie.

– I przyszłaś tu sama nocą aż z miasta?

– Tak, jaśnie wielmożny panie.

– Niesłychane... Poczekaj tu, zaraz wrócę. Nie ruszaj się stąd ani na krok, niczego nie dotykaj i do ławy nie podchodź, bo każę wychłostać – powiedział Jezierski i wstał ciężko z krzesła.

Wanda została sama. Aż uśmiechnęła się do siebie na samo wspomnienie zdumionego szlachcica. Jednocześnie uspokoiła się nieco i odetchnęła z ulgą. Wyglądało na to, że Jezierski nie będzie się gniewał.

Zobaczyła wielkie, pozłacane lustro. Wcześniej obezwładniał ją taki strach, że nawet go nie zauważyła. Ostrożnie podeszła do zwierciadła i westchnęła oczarowana. Złota rama błyszczała jak najcenniejszy klejnot. Dziewczyna nigdy nie widziała czegoś tak pięknego. Najbardziej jednak uderzyło ją własne odbicie. Nieśmiało podeszła do lustra i ujrzała swoją twarz. Był to pierwszy raz, gdy mogła zobaczyć siebie wyraźnie. Wcześniej przeglądała się tylko w spokojnej tafli łódzkiego stawu lub w rwącej toni Jasienia. Teraz odbicie zwierciadła pokazywało dokładny obraz całej postaci, twarzy i włosów. W pierwszej chwili Wanda ze strachu zamknęła

oczy i odsunęła się. Jednak już po chwili ciekawość zwyciężyła i dziewczyna ponownie podeszła, by spojrzeć w odbicie.

Poczęła przyglądać się sobie z ciekawością. Uniosła rękę i ujęła blond warkocz, uważnie obserwując, czy osoba w lustrze robi to samo. Podeszła bliżej, przypatrując się twarzy. Zauważyła wielkie, niebieskawe oczy, jasne cienkie brwi i rzęsy w podobnym odcieniu. Jej twarz była gładka, a policzki nieco zaróżowione od emocji. Usta oceniła jako całkiem ładne. Rozchyliła je lekko i przybrała kokieteryjną pozę. Odbicie wiernie odwzorowało jej ruchy.

Teraz nadeszła pora, by przyjrzeć się sylwetce. Piersi Wandy były niewielkie, biodra szerokie, ramiona nieco zbyt masywne. Mimo tego dziewczyna była dość zadowolona. Efekt psuło tylko ubranie. Porównała swoją płócienną brudną sukienkę z wykwintnymi kreacjami szlachcianek. Nie ulegało wątpliwości, że Wanda nie pasowała do tego miejsca. Poczła przykrość i wstyd, że wpatruje się w to piękne lustro i przebywa w pomieszczeniu wartym więcej niż cały jej dobytek.

Dopadły ją czarne myśli. Spojrzała jeszcze raz na swoje oblicze, a do oczu napłynęły jej łzy.

Czemu nie urodziłam się szlachcianką? – zapytała siebie w myślach.

Mimowolnie zaczęła porównywać się do panny Katarzyny. Tamta miała piękny lśniący warkocz, Wanda zaś niechlujnie zapleciony wiecheć, spod którego wystawały niewielkie kołtuny. Oczy tamtej skrzyły się bursztynem, to znów wpadały w odcień mahoni. Nieszczęsna mieszcza, owszem, miała tęcówki koloru nieba, ale teraz wydały jej się nijakie i zwyczajne. Szyję i ręce szlachcianki ozdabiały klejnoty, zaś jedynym towarzyszem na Wandzinych rękach był polny brud pod paznokciami. Najgorzej jednak wypadło porównanie strojów. Wanda stała przed nieszczęsnym lustrem i łzy same poczęły napływać do jej oczu.

Wtem drzwi otworzyły się i stanął w nich pan Karol z synem. Konrad miał twarz czerwoną od tańca i emocji. Jego kasztanowe loki nieco się zmierzwiły. Łapczywie chwycił powietrze w płuca. Widok Konrada wywarł na Wandzie silne wrażenie. Najpierw pobladła, potem zaś zarumieniła się jak dojrzałe jabłko. Zapomniała o wszystkim: o grzecznym ukłonie, o powitaniu, manierach, a nawet o tym, że powinna oddychać.

Konrad przyjrzał się Wandzie niedbale. Był lekko podchmielony, rozentuzjasmowany i zgrzany. Zaraz jednak na dłużej zawiesił na niej wzrok, patrząc przenikliwie w twarz mieszczeni.

– Kojarzę ją, ojciec – powiedział.

Pan Karol chyba trzeźwiał i był z tego faktu zupełnie niezadowolony.

– Mówi, że łodzianka.

– A bo łodzianka. Pamiętam ją z jarmarku. Widziałem ją też, kiedy Gliniewicz pokazywał nam zniszczone miasto.

Wanda dopiero teraz nabrała tchu. Skłoniła się czym prędzej, ale nic nie powiedziała. Miała ściśnięte gardło.

– Taka odważna, że sama nocą przysłała do Chojen? Podziwiać trzeba – rzekł miło Konrad, ale ojciec zaraz szturchnął go pod bok, by syn nie bratał się z niższym stanem.

– Jak ci na imię? – zapytał pan Karol.

– Wanda Sobótkówna – odparła dziewczyna, kłaniając się jeszcze raz.

– A więc, drogi synu, masz według łodzian romans z panną mieszczenką Sobótkówną – powiedział ojciec i aż ryknął śmiechem.

– Proszę ojcu wybaczyć – odparł rozbawiony Konrad, ale widząc łzy napływające do oczu Wandy, dodał prędko: – Panna musi wrócić przed porankiem do miasta. Jeszcze ktoś pomyśli, że plotka jest prawdziwa.

– Ja wiem, jak nedorzecznie brzmi to oszczerstwo – rzekła Wanda najprzystomniej, jak mogła.

Konrad spojrział na nią z ciekawością i poznał, że łodzianką targają wielkie emocje.

– Taki afront! Pewnie chamy ci teraz spokoju nie dają? – zapytał, mrużąc oczy.

Wanda wyczuła nutę współczucia w głosie młodego żołnierza. Emocje puściły jak tama i dziewczyna wybuchła spazmatycznym płaczem. Nie mogła nic na to poradzić, łzy same strumieniami płynęły jej po twarzy. Jezierscy stanęli skonsternowani, nie wiedząc, co mają zrobić. Nie godziło się, by pocieszać mieszczkę, a jednak czuli, że to przez nich Wanda płacze.

– No już, już. Po co te lamenty? – zapytał stary Jezierski, poważniejąc.

– Ojczy, zawiozę pannę pod miasto i tam zostawię. Niedługo pocznie świtać.

– Po co ty masz jechać? Któregoś chłopca z nią wyślemy – odrzekł pan Karol.

– Winni to jesteśmy pannie, bo niewdzięczność ludzi ją spotkała, a plotka przecież naszej rodziny dotyka. Odwiozę ją w podzięce za trud, który włożyła, by przyjść tu nocą. Zrozpaczonyj dziewczki nie będę z chłopem wysyłać – mówił Konrad.

Pan Karol tylko machnął ręką z widocznym niezadowoleniem.

– A jedź z nią, kiedy bal ci się nie podoba – odrzekł zgryźliwie. – I nie mów, że coś jej jesteśmy winni, bo mi przez takie słowa szabla sama z pochwy wychodzi.

XII



Wanda siedziała w wozie obok Konrada. Woźnica Ochoj, ledwie wybudzony ze snu, prowadził konie, co chwilę smagając je batem. Dwa ładne wierzchowce szły stępem, leniwie mieląc w pyskach wędzidła.

Było ciepło i spokojnie. Wiatr igrał w koronach drzew, a na niebie świecił sierp księżyca.

– Nieswojo jakoś. Co za nieodpowiedzialność, by w nocy wymykać się z domu i iść samotnie tak daleko! – rzucił Konrad w przestrzeń.

Wanda skuliła się w sobie niepokieszona.

– Tyle upiorów, dzikusów i hultajów można spotkać na tej drodze, że strach – dodał.

Udawał, że wcale się nie boi, ale co chwilę oglądał się za siebie i wypatrywał światła, które były z folwarku. Oczy Wandy przywykły już do ciemności, więc dziewczyna zaczęła napawać się bez skrpułów widokiem pana Konrada. Szlachcic wcale zaś tego nie zauważał, tak był pochłonięty czarnymi myślami.

– Aż ciarki przechodzą. Ty to się dopiero musisz bać – mówił, wypatrując cieni między drzewami.

Wanda wcale się nie bała. Wiedziała bowiem, że jeśli zginie, będzie to śmierć piękna. Już nie żałowała wyprawy do Chojen, bowiem dostała

o wiele więcej, niż mogła oczekiwać. Konrad niepewnie siedział obok niej i wodził oczami, wypatrując zagrożenia.

Woźnica Ochoj też się bał.

– Najmiłociwszy panie, za jaki grzech ciężki trzeba w tę dziką noc jechać do miasta? Toż tu upiory straszą i dusze pokutujące się ukrywają za drzewami. Grasuje też diabeł borowy, a nawet sam Boruta mieszka w łączycko-sieradzkich błotach.

– Przestań lamentować i siedź cicho – syknął pan Konrad, udając spokój.

Lekceważący ton utwierdził woźnicę w przekonaniu, że jego pan nie rozumie niebezpieczeństwa. Chwilę więc milczał, lecz zaraz znowu zaczął biadać.

– Najłaskawszy panie, zawróćmy, póki folwark widać. Jak borowy nas zobaczy, to zwoła wszystkie wilki, by nas pożarły. Nie lubi borowy, gdy nocą ludzie przejeżdżają...

– Skończ opowiadać te chłopskie legendy – przerwał mu stanowczo pan Konrad.

Jednocześnie w młodym szlachcicu narastał lęk. Woźnica wyczuł wahanie w głosie pana i po chwili milczenia znów spróbował.

– Wasza miłość, ja dalej nie pojedę. Leśny jeździec może tędy przejeżdżać. Zjawia się nocą na głównych traktach, a za nim biegną dzikie psy. Leśny jeździec tratuje na śmierć.

Choć ton Ochoja był niemal płaczliwy, Jeziński uderzył pięścią w drewnianą ścianę wozu.

– Naprzód albo każę cię wychłostać, chamie – wycedził.

Gdzieś w ciemnym borze trzasnęła gałąź.

– Nie pojedę – zaparł się chłop i ściągnął lejce. Konie stanęły.

Szlachcic wyskoczył z wozu, zanim Wanda zdążyła krzyknąć. Podszedł do woźnicy i z animuszem złapał go za fraki, zrzucając na ziemię. Dobył szabli i postawił obcas na szyi Ochoja.

– Pańskiego rozkazu nie chcesz wykonać, ty skurwysynie? Tą szablą cię rozerwę! Flaki ci wypruję! – syknął.

Wanda z przerażeniem patrzyła na Konrada, który groził chłopu szablą. Nie śmiała się jednak odezwać, by rozszalały szlachcic nie zrobił jej krzywdy. Zakryła więc usta ręką i z wytrzeszczonymi oczami obserwowała sytuację.

– Wracaj do folwarku. Rano się z tobą policzę – rzekł po chwili, uprzytamniając sobie, że wozem jedzie też panna.

Chłop leżał jeszcze przez chwilę na ziemi, skomląc chrapliwie. Chciwie chwytał powietrze i macał szyję, bo pański obcas dusił go przed chwilą z niezwykłą zaciętością. Jezierski sprzedał woźnicy kilka kopniaków, po czym sam wskoczył na jego miejsce.

– Ja też umiem wóz poprowadzić – powiedział niedbale.

Wanda milczała, oburzona okrucieństwem, na jakie pozwolił sobie żołnierz. Jednocześnie martwiła się o los chłopca, choć – jako mieszczka – czuła się od niego lepsza. Przez chwilę wydawało jej się, że wcale nie kocha Konrada, a zdarzenie pokazało jego prawdziwe oblicze. Próżne były jednak próby przekonania samej siebie. W głębi duszy wiedziała, że nic nie zdoła sprawić, że się odkocha. Przerazało ją to bardziej niż rozsiana przez Wiesia plotka i okrucieństwo Jezierskiego. Jechali więc nocą. Konrad jako woźnica, co zapewne mu urągało, a Wanda jak szlachcianka w wozie.

Jezierski zorientował się, że dziewczynie nie spodobała się jego reakcja na odmowę chłopca. Zastanawiał się chwilę nad tym, czy powiedzieć coś na swoją obronę, ale zrezygnował, nie chcąc się tłumaczyć przed miejską panną.

– Czy nie zimno tam? – zapytał.

– Nie, łaskawy panie.

– Zwierzę ci się z czegoś, choć nie wiem po co. I tak mi przecież nie doradzisz.

– Słucham pokornie – odpowiedziała grzecznie Wanda, obawiając się, że skończy jak Ochoj.

– Muszę iść na bitwę z Jerzym Sebastianem Lubomirskim. Wiesz kto to? – zapytał Konrad, nie spodziewając się twierdzącej odpowiedzi.

– Wiem, że to wielki wróg Łodzi. Napadł nas rok temu i splądrował całe miasto. Zabił wielu ludzi, choć już byli zmęczeni potopem i zarazami.

– A wiesz, dlaczego on napada?

– Pewnie dlatego, że jest bogaty i może – odparła Wanda, wzruszając ramionami.

Konradowi wyraźnie spodobała się naiwna odpowiedź. Odwrócił głowę i spojrzał na Wandę z rozbawieniem. Zlustrował wzrokiem jej twarz i pomyślał, że łodzianka jest ładna.

– Czy uważasz, że wszyscy bogaci napadają na miasta i wybijają ludzi?

– zapytał. – Czy ja napadam z ojcem na miasta i wybijam ludzi?

– Nie, nie – zapewniła Wanda gorąco. – Bo jaśnie wielmożny pan jest dobry i miłościwy.

– Dobry i miłościwy... – powtórzył Konrad z wyraźną drwiną. – Wcale tak o mnie nie myślisz. Wy w ogóle tak o nas nie myślicie. Uważacie nas za potwory. Nie próbuj zaprzeczać, dziewczyno. Cały stan szlachecki wie, co o nas myślą chamy.

Wanda umilkła, rzeczywiście nie znajdując argumentów na obronę szlachty. Jezierski ochłonął trochę.

– Wracając do tematu, z Lubomirskim bić się muszę – powiedział.

– Mam nadzieję, że jaśnie pan wróci zdrowy – rzekła Wanda, spuszczać wzrok.

– Nie obchodzi mnie za bardzo zdrowie i właśnie tym się różnią nasze stany. Wy jesteście stworzeni do handlu, rzemiosła i roli. Żołnierze miejscy zasilają co prawda wiele oddziałów, na przykład dragonię, ale nie walczą o Rzeczpospolitą. Walczą o byt. My zaś widzimy więcej. Nasze wykształcenie pomaga nam w dobieraniu taktyki, śledzeniu ruchów nieprzyjaciela i w mądrym zarządzaniu wojskiem. Nam chodzi o dobro ojczyzny.

Wanda spojrzała na Konrada z lekkim przekąsem, ale nic nie odpowiedziała.

– I właśnie dlatego, że wzywa mnie sam król – ciągnął Jezierski, podkreślając monarszy tytuł – muszę udać się do Warszawy, zostawiając narzeczoną i ojca, który śmiertelnie się na mnie obrazi. Już palicho pana oficera, bo pewnie mnie zrozumie... – dodał jakby do siebie.

– Dlaczego jaśnie wielmożny pan Jezierski miałby się obrazić? – zapytała Wanda, niewiele rozumiejąc z całej rozmowy.

– Bo nie lubi króla, a ja mu służę.

– Kiedy Szwedzi przybyli, to też miłościwy pan służył – zauważyła Wanda.

– Ot, słuszna uwaga – przytaknął pan Jezierski, po czym dodał: – ale wtedy chodziło o kraj.

– A teraz nie chodzi?

– Trochę chodzi o kraj, ale trochę nie. Czasem rozmyślałem, czy ojciec przypadkiem racji nie ma.

Wanda już nie odpowiedziała. Konrad również milczał w zadumie, ale po chwili uśmiechnął się na wspomnienie naiwnych odpowiedzi towarzyski. Odwrócił się i zaprosił ją na miejsce obok siebie.

Wanda nie wahała się ani chwili. Zgrabnie przeszła naprzód i usiadła obok Konrada. Czuła jego bliskość, obserwowała każdy ruch dłoni i radowała się, jakże się radowała! Jezierski spojrzał na jej zgrabny profil i uśmiechnął się na myśl o tym, że mógłby z tą mieszczką znaleźć nic porozumienia.

– Porzuć na chwilę dobre maniery i opowiedz mi o swojej największej tajemnicy – poprosił, a widząc zdumioną minę Wandy, dodał: – My też jesteśmy ludźmi. Nawet jeśli nas o to nie posądzacie.

Dziewczyna spuściła głowę i zaczęła skubać niesforną nitkę od sukienki. Za nic nie chciała opowiadać komukolwiek o swoim największym sekrecie, a już z pewnością nie Konradowi.

– Hejże – zagadnął Konrad, nachylając się lekko nad twarzą Wandy i stanowczo, ale delikatnie ujmując jej brodę. – Spójrz na mnie, skromna łodzianko.

Wanda westchnęła poruszona i popatrzyła w oczy szlachcica. Gdy napotkała jego wzrok, krew napłynęła jej do twarzy. Wątłe ciało nagle skostniało, a wszystkie mięśnie spięły się aż do bólu. Sobótkówna przez dłuższą chwilę nie mogła zaczerpnąć tchu, a w jej sercu jątrzyło się coś przyjemnego, jakby słodka rana. Prawie westchnęła, widząc, że wargi Jezierskiego rozszerzają się w promiennym uśmiechu.

Naraz twarz szlachcica zastygła w zdumieniu. Spłoszony wzrok Wandy odbił się od jego źrenic i Konrad zrozumiał, jaki sekret skrywała ta niepozorna postać. Puścił dziewczęcą brodę i spojrzał na drogę w przestachu. Taki wzrok spotkał pierwszy raz w życiu, a jego intensywność nie równała się nawet z żarliwymi spojrzeniami panny Katarzyny. Ścisnął stanowczo lejce i pogonił konie.

– Ja nie mam właściwie żadnych sekretów – powiedziała speszona Wanda, patrząc w dal.

– Nie masz – potwierdził Konrad bezwiednie.

Dalej jechali ku ciemnej Łodzi. Konrad wiedział, że uczucie Wandy różni się od westchnień każdej zakochanej mieszczyki. Nie powiedział już nic więcej, choć targały nim skrajne emocje. To chciał zostawić Wandę na środku drogi, innym razem popędzić konie, by jak najszybciej znaleźć się w Łodzi. Przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl, którą odpędził jak natrętną muchę. Nie mógł pocałować dziewczyny z miejskiego motłochu.

Gdy ich oczom ukazał się młyn, Jezierski zatrzymał konie i zwinnie wyskoczył z wozu. Wanda również zeszła, uświadamiając sobie z przykrością, że nastąpił koniec ich podróży.

– Nikomu nie wspominaj o tym, że byłaś w Chojnach. A gdybyś miała kiedyś jakiś kłopot, zawiadom mnie. Pomogę ci.

– Dobrze, jaśnie panie – odrzekła dziewczyna, lustrując twarz żołnierza.

Na myśl o tym, że noc się kończy, a Wanda już może więcej nie ujrzeć Jezierskiego, łzy same zaczęły spływać po dziewczęcej twarzy. Konrad zauważył to i coś szarpnęło jego sercem jak wbity harpun. Podał Wandzie białą, adamaszkową chustę.

– Otrzyj łzy i zachowaj sobie tę chustkę.

– Jest ważna. Są na niej pańskie inicjały.

– Mam jeszcze wiele adamaszkowych chustek.

Spojrzeli sobie w oczy, ale tylko raz. Przenikliwy wzrok mieszczyki nedorzecznie palił Konrada, więc popatrzył na nią ostrożnie i zaraz spuścił oczy. Po chwili odchrząknął, skłonił się nieporadnie i wsiadł na kozła, zwracając konie.

Wanda podążyła w stronę Łodzi. Miasto było jeszcze pogrążone w mroku, ale atrament nieba już ustępował miejsca szarości. Wyłaniały się z niej coraz wyraźniejsze kontury chat.

Sobótkówna żałowała, że nastaje dzień. Kiedyś kończy się każda noc i każda rozmowa. Mimo chłodu Wanda czuła ciepło. Biła od niej gorąca łuna, a w głowie kłębiły się trwożne myśli, że Konrad odkrył jej największy sekret, choć nawet mu o nim nie powiedziała. Wszystko wyczytał z jej jasnych oczu.

Bezszereście przemknęła w stronę domu. Szczęśliwie nikt jej nie zauważył, więc weszła na podwórze, a stamtąd, tylnymi drzwiami, do komórki. Dopiero tam pozwoliła sobie na westchnienie pełne ulgi i radości.

Potem do końca dnia nie mogła przestać myśleć o nocy spędzonej w Chojnach, a ilekroć ktoś wspominał Jezierskich, natychmiast milkła i czerwieniła się jak dojrzałe jabłko.

Młody żołnierz wracał, ziewając po nieprzespanej nocy. Myślał o Wandzie. Był wdzięczny za poświęcenie, choć wcześniej go nie rozumiał. Teraz nocna wyprawa łodzianki była bardziej zrozumiała. Z oczu Sobótkówny namiestnik wyczytał wszystko: bezbrzeżną miłość, spokojną beznadzieję i smutek. Porozmyślał jeszcze chwilę nad nocną przejażdżką, ale po chwili odgonił wspomnienia, uderzył konie batem i zatopił się w ponurych barwach poranka.

XIII



Śniadanie w Chojnach rozpoczęło się później niż planowano, bo gospodarze i zaproszeni tańcowali do rana. Panny miały odciski na stopach, więc wstały niezadowolone nie mniej niż mężczyźni, których z kolei męczył kac.

Świtało, gdy Konrad zajechał do Chojen. Choć pamiętał o tym, co zrobił woźnicy, postanowił zrezygnować z kary. Wytrzeźwiał i głównie to wpłynęło na zmianę. Młody Jezierski był bowiem z natury mniej zawzięty i krewki niż ojciec. Wszedł do dworu i skierował się do sypialni. Mimo zmęczenia nie zasnął od razu. Postanowił opowiedzieć o wyprawie do Warszawy, gdy tylko rozpocznie się śniadanie. Liczył na to, że ojciec, zważając na gości, pohamuje gniew.

Gdy zebrano się wreszcie na posiłek, słońce stało już prawie w zenicie. Przybyli zaspani Gawrylscy i wytworni Kielczanie. Konopińscy z rana narzekali na deszczowe chmury spowijające wieś. Karolewscy herbu Dąbrowa wyjechali przed śniadaniem, przepraszając, że nie zostaną dłużej, bo obie panienki dopadła niestrawność.

Służba wniosła półmiski. Właśnie wtedy pojawili się spóźnieni Andruszkiewiczowie. Urażony pan oficer spoglądał na namiestnika spode łba. Nie było wątpliwości, że nocna wyprawa Jezierskiego wprawiała go

w zakłopotanie. Panna Katarzyna nawet nie zaszczyciła Konrada spojrzeniem. Dygnęła tylko grzecznie.

– Jakąś znaczną osobę musiałeś zawieźć tej nocy, Konradzie – zaczął wymownie oficer.

– Już tłumaczę – zaczął pospiesznie pan Konrad, po czym uświadomił sobie, jakie upokorzenie sprawi pannie Katarzynie ta opowieść. Zmieszał się i popatrzył po twarzach zgromadzonych. – Przyszła w nocy łodzianka, której wielką krzywdę wyrządzono w miasteczku. Ktoś rozpuścił bezczelną plotkę pod jej i moim adresem – zaczął. – Mieszczka aż spać nie mogła, bo motłoch osądził ją, mimo braku dowodów. Wiadomo aż za dobrze, że chamy potrafią być złe i niewdzięczne. Otóż panna tak się martwiła o dobre imię dworu, że aż przyszła samotnie nocą do folwarku, by o wszystkim nam opowiedzieć – zakończył zręcznie.

– Prawdę powiada, sam gadałem z łodzianką. Wybuchnęła płaczem na samo wspomnienie swojej krzywdy. Ponadto bała się, że plotka doszła do dworu i zepsuje to przyjęcie na cześć zaręczyn – dodał stary Jezierski, postanawiając bronić syna.

– Jakże naiwny potrafi być motłoch – zaśmiała się pani Jezierska.

Niektórzy również się roześmiali, ale Andruszkiewiczowie zachowali powagę.

– Wielki to dla niej zaszczyt, kiedy sam namiestnik chorągwi husarskiej ją odwiózł do domu – wtrącił spokojnie oficer, powoli czerwieniejąc z wściekłości.

– Woźnica nie chciał jechać, bo się bał ciemnej drogi. Dziewkę trzeba było odwieźć, bo poświęciła się dla dworu i żal było puszczać ją nocą na pastwę dzikusów i hultajów.

– Dobry z waszmości człowiek – powiedział Gawrylski. – Kogo obchodzi życie biedniejszych, ten dobry uczynek robi. Bóg wynagrodzi.

Poparła go pani Gawrylska słynąca z tego, że rzadko zgadza się z mężem. Głowami pokiwali też Konopińscy, choć zazwyczaj krytykowali wszystko, co mogli. Jedyne pan Kielczan spojrział ze zdziwieniem po twarzach zebranych, ale nic nie powiedział.

Oficer wygładził wąsy i postanowił nie odzywać się więcej. Zarówno on, jak i panna Katarzyna, uważali nocną wyprawę Jezierskiego za skandal. Andruszkiewiczówna wbiła wzrok w talerz i do końca śniadania nie powiedziała ani słowa. Konrad patrzył na jej poważne oblicze, martwiąc się, że nowina, którą musi ogłosić, zrazi dumny polsko-litewski ród jeszcze bardziej. Postanowił jednak nie trzymać dłużej tajemnicy dla siebie, bo niebyswale mu ciążyła. Odchrząknął więc delikatnie i nabrał powietrza.

– Dostałem powołanie od najmiłociwiej nam panującego króla Jana Kazimierza. Trzeba iść w bój przeciwko Lubomirskiemu. Inaczej wciąż spadać będzie znaczenie Rzeczpospolitej – rzekł.

Konrad wypowiedział ostatnie zdanie naprędce, niejako tłumacząc królewskie polecenie.

Stary Jezierski powoli odstawił dzban na ławę, Gawrylski zakrztusił się, a za nim – teatralnie – żona, natomiast oficer Andruszkiewicz wytrzeszczył oczy i gwizdnął. Panienki pojęły powagę sytuacji i poczęły zakrywać usta dłońmi w geście przestachu. Panna Katarzyna jako jedyna wyglądała, jakby wieść nie zrobiła na niej wrażenia. Były to tylko pozory, bo w środku aż zadrżała na myśl o wyprawie narzeczonego. Humor dopisywał za to Kielczanowi, który dostał czkawki od tłumionego śmiechu.

– Muszę wyruszać natychmiast – rzekł Konrad.

– Wyruszać, żeby co? – zapytał gniewnie ojciec, podnosząc się powoli z krzesła. – Wyruszać, by bronić tego austriackiego bawidamka we francuskiej sukience? Żeby bronić tego, co na interes narodowy nie patrzy,

tylko się brata z wrogami? Wreszcie, pytam, wyruszać po to, by na złość zrobić mnie i całemu stanowi szlacheckiemu?

– Ojczy... – zaczął Konrad, ale Jeziński nie dał mu dokończyć.

– On Rzeczpospolitej nienawidzi! Polaków nienawidzi! Ogląda się za Francją, Brandenburgią, Habsburgami! Nawet z Moskwą by się zaprzyjaźnił, by dostać to, czego chce. A czego chce nasz król? – zapytał głośno pan Karol, pytając pozostałych biesiadników. – Otóż nasz król chce *vivente rege!* Żeby do końca zniszczyć kraj i zepchnąć szlachtę na margines. Niech rządzą zagraniczne królewęża, niech się twój Jan Kazimierz wypcha władzą! My go nie chcemy! Sprawiedliwości dla hetmana Lubomirskiego! – krzyczał Jeziński, starając się podburzyć gości.

Z początku współbiesiadnicy patrzyli na starego Jezińskiego z niesmakiem i zdumieniem, ale w miarę, jak mówił, zaczęli z wolna przytakiwać, unosić brwi i zaciskać pięści.

– Wstawisz się, waszmość, za królem, a król o tobie w rok zapomni i traktować cię będzie jak chłop. Dlaczego? Bo waszmość jesteś Polak, a on Polaków nie lubi – dorzucił Konopiński.

– Na jego dworze rodaka nie uświadczysz – wtórował mu stary Jeziński. – Dostojników państwowych znieważa. A wiesz, czemu on chce usadzić Lubomirskiego? Ha! Dla prywaty! Dla prywaty to wszystko robi! Bo Lubomirski jest tutaj panem i wysokie urzędy sprawuje. Nie pojedna się z nim dwór tak łatwo, bo każdy Habsburg i inny odpad czeka na jego miejsce. Starostwo chcą przejmować, urzędy już im się marzą. Ja im dam urzędy! Do szabli, bracia! – pieniał się pan Karol, dobywając rękojeści.

– Ależ panowie bracia – wtrącił Kielczan, przekrzykując ogólny harmider – nie można się tak gorączkować. W spokoju usiądźmy i porozmawiajmy.

Konrad obiema rękoma złapał się za głowę. Chaos przerodził się w awanturę. Każdy chciał opowiedzieć się za którąś ze stron. Panienki w popłochu wstały, by zrobić miejsce do bójki. Rzucali się więc na siebie Kielczan z Konopińskim i Gawrylski z Jezierskim. Andruszkiewicz wstał, by wszcząć bójkę z Konradem.

Stary Jezierski był w swoim żywiole. Powalił Gawrylskiego i zaczął tłuc go pięścią po twarzy, ale krzyk i błagania pani Gawrylskiej w końcu poskutkowały i krewki szlachcic odstąpił. Było mu jednak wciąż mało, a krew buzowała mu w żyłach, jak po porządnej dawce gorzałki. Chwycił krzesło, na którym wcześniej siedział Gawrylski i wyrzucił je przez okno, z hukiem wybijając szybę. Krzyknął w amoku, porywając się do następnego siedzenia, lecz nie zdążył nim rzucić, bo na plecach usiadł mu zwinny Konopiński. Jezierski stracił go, przewalając na ławę. Panienki z krzykiem uciekły na podwórze. Służba także wyszła na zewnątrz, stając na wszelki wypadek daleko od okien.

Po chwili nie było wiadomo, co spowodowało awanturę. W szale mężczyźni niszczyli ławy, rzucali w siebie krzesłami i wyzywali na pojedynki na szable. Wyróżniał się Jezierski, który bił wszystkich po kolei. Nie patrzył przy tym ani na to, że niszczy własny majątek, ani na to, że z nosa leci mu krew. W kącie pokoju Kielczan dusił Konopińskiego.

Konrad postanowił wymknąć się na podwórze i czym prędzej uciec do Warszawy. Wybiegł za nim pan Andruszkiewicz.

– Myślałeś, że przede mną uciekniesz i przełknę zniewagę, którą zgotowałeś mnie i mojej córce? Stawaj do szabli, nędzny łachudro! Żadnego ślubu nie będzie, zrękowiny zerwane!

– Do szabli? Uważaj, oficerze – warknął Konrad, sięgając do pochwy.

Andruszkiewicz nie wahał się i obaj równocześnie wyciągnęli szable. Ostrza załśniły w promieniach słońca i skrzyżowały się w pierwszym

uderzeniu. Metaliczny zgrzyt rozszedł się echem po obejściu. Zbiegli się chłopci, a za nimi przerażone panienki. Była wśród nich także Katarzyna, obserwująca walkę z policzkami purpurowymi ze wstydu. Nie odezwała się jednak ani słowem i stała, patrząc z lękiem na walczących.

Konrad mocno chwycił szablę i próbował atakować oficera z lewej strony. Andruszkiewicz odbierał jednak wszystkie ciosy z niezwykłą zaciętością. Więcej gracji było w ruchach namiestnika, ale oficer bronił się zajadlej, choć nie miał opinii dobrego szermierza. Urażona duma sprawiła, że zwinnie odpierał ataki rywala, sam z rzadka zadawał razy, choć jego ciosy nie były celne. Konrad odsuwał się bardzo szybko, więc oficer ciął tylko powietrze, czasem świszcząc szablą przed nosem przeciwnika.

Walka była wyrównana. W pewnej chwili Konrad pochylił się lekko, ugiął kolana i tak się zamachnął, że ostrze z gwizdem przeleciało nad głową Andruszkiewicza. Gdyby oficer nie kucnął, niechybnie straciłby głowę. Zaraz jednak wyprostował się i splunął w bok, patrząc na Jezierskiego spod oka. Panny aż pisnęły, a Katarzyna wstrzymała oddech i wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– A więc chcesz mnie zabić, nie zranić – powiedział oficer, zaciskając szczęki.

Zamachnął się, wziął szablę w obie ręce i z impetem świsnął nią pod prawy bok Jezierskiego. Ten w ostatniej chwili osłonił się ostrzem, ale cios był tak silny, że Konrad zachwiał się i na chwilę stracił równowagę.

Walczyli jeszcze przez chwilę, powoli tracąc siły. Żaden z nich nie odpuszczał, choć pojedynki przypominał już raczej potyczkę starców. Rywale chwiali się bowiem, tracili równowagę i coraz częściej cięli powietrze na ślepo. W końcu Jezierski, wykorzystując zmęczenie Andruszkiewicza i źle zadany cios, zamachnął się, skoczył i trafił oficera pod żebro. Choć uderzenie było słabe, zdołało powalić rywala.

Andruszkiewicz jęknął, wbił ostrze szabli w ziemię i padł przed nią na kolana, wspierając się na rękojeści, by nie paść głową w ziemię.

Podniosła się ogólna wrzawa. Kilka osób pochyliło się nad rannym oficerem, zawołano cyrulika, a służący podnieśli Andruszkiewicza i zanieśli do folwarku, by opatrzyć ranę.

Konrad wykorzystał chwilę nieuwagi, skoczył do stajni i dosiadł ulubionego kasztana. Nie wziął niczego. Nie miał też czasu na przygotowanie służby czy pachołka. Pognał konia na podwórze. Stała tam panna Katarzyna, która jako jedyna podążyła za Jezierskim, upewniwszy się, że ojciec żyje.

– Dumny waćpan z siebie? – zapytała ze łzami w oczach, zagradzając Konradowi drogę.

Konrad spojrzał na nią z żalem, ale nie mógł znaleźć odpowiedzi. Spuścił więc wzrok, skłonił się w siodle i wyminął Andruszkiewiczównę, po czym popędził ogiera w stronę zapłocia, nie oglądając się za siebie.

XIV



Z początkiem lipca przyszyły upały. W Łodzi obawiano się pożarów, więc zakazywane było suszenie lnu w pełnym słońcu. Uprawy schły i marniały, choć nawadniano je dużo częściej. Kubły z wodą ludzie nosili aż z nad Łódki i Jasienia, opróżniali też studnie. Wznosili modły do świętego Marka i z utęsknieniem wypatrywali, czy planetnicy nie zagonili deszczowej chmury nad miasto.

Mimo poświęcenia plony zapowiadały się słabe. Zboże nie rozwijało się najgorzej, ale stan warzyw niepokoił. Ludzie obawiali się klęski nieurodzaju, a więc i głodu, zatem kto tylko mógł, pomagał przy nawadnianiu. Zbierali się nawet starcy, którzy chodzili po wodę i nosili ciężkie drewniane kubły.

Wśród leciwych pomocników znalazł się Jerzy Sobótka – łodzianin najstarszy i rolnik niezrównany. Wspierał mieszkańców na duchu, podstawiał kubły i nosił wodę, podśpiewując świeckie pieśni.

– Kiedy susza nastanie, Jasina z łóżka wstanie. Skacze po wodę leń, skacze w nocy, skacze w dzień! Jasino, Jasino, do pracy trzeba iść... hej!

Miejska starszyzna patrzyła na tę swawolę z niechęcią, ale i z rozbawieniem. Jak zwykle ludzie szeptali o nadzwyczajnej kondycji pana Sobótki, podziwiano jego zręczność i przeklinano upór.

– Czemu by nie pozwolić biedakom pracować z nami? Mieliby z tego kilka groszy, a my sprawne ręce do pracy – namawiał dziaduszek, opierając się o studnię.

– Przecież pod kubłami połamią się ich chude ciała – drwili Łodzianie.

Jednak brakowało rąk do pracy i w końcu biedota sama zaczęła przychodzić i pomagać w polu. Pozwolono im nosić wodę. Ciężkie kubły taszczyli Licheccy, Mirczakowie i Grosikówna. Do studni przychodziła też od czasu do czasu Kurylczakowa, której mąż zginął podczas najazdu Szwedów. Rękawy zakasało nawet małżeństwo Otomowiczów słynące z lenistwa.

Pokazali się też Paczoscowie. Pan Paczosek był wielki jak byk i z tego powodu nazywano go Dębem. Umęczona żona wlokła się za nim, a jej oczy pełne były bólu i pustki. Łodzianie nie rozmawiali z nią ze strachu. Było im przykro, że kobieta ma takie ciężkie życie. Paczoscowa dalej chodziła poobijana, w zakrwawionej koszuli z płótna. Zawszone włosy wiązała zwykle w niedbały warkocz lub nosiła rozpuszczone, by choć trochę przykryć sińce. Z Paczoscami przyszła gromadka dzieci, które także dostały drewniane kubły.

– Aż dziw, że ona jeszcze żyje – odezwał się Lichecki, patrząc na Paczoscową.

– Dąb zakatuje ją kiedyś i dzieciarnia matkę straci – odpowiedziała Kurylczakowa, wyciągając kubeł ze studni.

– Źle robi Paczosek, bardzo źle – pokręcił głową Lichecki, po czym zamilkł, bo słynny Dąb podszedł z dwoma kubłami, aby nabrać wody.

Tylko tak pochylano się nad losem Paczoscowej, która nie mogła w żaden sposób odmienić swego życia.

Jerzy Sobótka przyglądał się biedocie z uczuciem niepokoju. Nigdy nie zaznał tak podłego życia, jak Licheccy, Mirczakowie czy Paczoscowie.

Chciał odmienić ich byt, ale nie potrafił. Różnił się przy tym od większości Łodzian odganiających biedotę i traktujących ją z góry. Trudno się było dziwić postawie mieszkańców miasteczka, które doświadczyło tylu nieszczęść. Każdy Łodzianin przeżył kilka dramatów. Niektórzy podczas najazdu Szwedów i polskiego wojska stracili bliskich, inni chowali rodzinę po zarazie. Ostateczny cios zadał Łodzi Jerzy Lubomirski. Jego żołnierze splądrowali miasto i ograbili ze wszystkiego, czego nie zdołali zabrać Szwedzi.

Mieszkańcy żyli więc skromnie. Jeśli sąsiad wzbogacił się nawet o kilka groszy, patrzono na niego z nienawiścią i zazdrością. Cóż miała powiedzieć bogata niegdyś Kurylczakowa, wdowa po karczmarzu, kiedy jej męża zabili Szwedzi, a wszystkie dzieci pomarły podczas ostatniej zarazy. Jej dom ograbiono i spalono. Przerażoną kobietę znaleźli mieszkańcy Widzewa. Snuła się po obrzeżach wsi, nie poznając ani okolicy, ani ludzi. Musiała błąkać się kilka dni po lasach, bo wróciła do zniszczonego domu dopiero po dwóch tygodniach od szwedzkiego najazdu.

Miasteczko zdołało się częściowo odbudować, ale ludzie byli w bardzo złym stanie psychicznym. Łodzianie z trudem przyjmowali nowe klęski. Opędzali się od biedniejszych, tarasowali drzwi przed włóczęgami i karali surowo nawet za najdrobniejsze przewinienie. Ludzką dobroć przyjmowali podejrzliwie, nie wierząc, że może ich jeszcze spotkać życzliwość. Niejednokrotnie ze złością odmawiali pomocy. Zachowywali się wówczas jak zranione zwierzę, które obawia się, że miłosierdzie musi nieść ze sobą podstęp.

Kurylczakowej deszcz kapał do sieni, bo przy odbudowie najważniejsze było zabezpieczenie izb i komory. Po śmierci dzieci kobieta zdziczała i stała się podejrzliwa. Przychodziła wciąż do wójta ze skargami, ponieważ wszystko jej przeszkadzało. Krowy spędzano za wolno, len zbierano, zanim

zdążył dojrzeć, a targi odbywały się zbyt często. Wójt Gliniewicz unikał Kurylczakowej jak ognia, bo każda nowa skarga była głupsza od poprzedniej. Ławnicy również starali się nie wchodzić w drogę starej wdowie i naśmiewali się przy wódce z jej narzekań.

Łodzianie nie zawsze byli tacy bezlitośni. Człowieczeństwa oduczyle ich tragedie i nieszczęścia. Przymykali więc oko na to, że Paczosek katuje żonę, Kurylczakowej zalewa sień, a Grosiki nie mają za co przeżyć następnego dnia. Każdy zamknął się w swoim nieszczęściu i nie próbował nawet ulżyć niedoli sąsiadów.

Dziaduszko jako jedyny pamiętał czasy świetności. Życie w miasteczku toczyło się niegdyś spokojnie, choć oczywiście zdarzały się większe i mniejsze nieszczęścia. W ciągu kilku lat wszystko zaczęło się zmieniać. Plony marniały, wartość walut spadła, a handel prawie ustał. Brakowało rzemieślników i kupców. Majstrowie stali się zgryźliwi i niechętnie przyjmowali uczniów, a egzaminy, które wymyślali, były coraz trudniejsze. Oceniali czeladników surowo. Z Łodzi wyjeżdżali krawcy, piekarze, a nawet karczmarze. Życie w miasteczku zamarło, choć nic nie zapowiadało wybuchu wojny. W karczmach pojawiło się kilku Żydów, wywołując podejrzliwość. Z ambony coraz częściej padały nowe ostrzeżenia.

Obrazą dla Boga stały się więc zagraniczne podróże, tańce, a nawet młodzieńcze przyjaźnie i ogniska. Dziaduszko z niepokojem obserwował zmiany. Prychał pogardliwie, spoglądając na księdza, który grzmiał o surowych karach i majdeburskich obyczajach, które powinny obowiązywać w Łodzi. Niewątpliwie chodziło mu przy tym o tortury, których mieszkańcy maleńkiej Łodzi dotychczas się nie obawiali. Nowością były też płomienne kazania na temat czarownic, czyli współniczek diabła. Ludzie, nakarmieni zabobonami, szybko stali się podejrzliwi i nieufni.

– Jeśli więc wasza sąsiadka chodzi wspak przy płocie lub cedzi mleko przez męskie gacie, możecie być pewni, że złe moce zaczęły się w jej duszy. W takich wypadkach surowa grzywna nie wystarczy, bowiem kara pieniężna licha nie dosięgnie. Konieczna jest w mieście obecność kata. Ma go Piotrków, Łęczyca, a nawet Rzgów. Nawet Rzgów! – grzmiał ksiądz.

Kiedy okazało się, że duchowny zginął z rąk Szwedów, dziaduszko powiedział, spokojnie jedząc tatarczuchy, że chwala Bogu, bo klecha szkodliwe głupoty gadał.

Choć jego słowa wywołały ogólne zgorszenie, mieszkańcy Łodzi skrycie odetchnęli. Miejsce księdza zajął Benedykt Miszak trzymający porządek stanowczą, ale łagodną ręką.

Dziaduszko przeżył tak wiele, że miał niespotykaną mądrość życiową. Łodzianie szanowali go z powodu wieku, lecz nie rozumieli, co chciał im przekazać. Po cichu drwili z jego przyzwyczajień, ale gdy mijali go na ulicy, starali się pokazać z jak najlepszej strony.

Dziaduszko nawadniał więc pola razem z innymi. Niósł właśnie wiadro, by napełnić go wodą, gdy zakręciło mu się w głowie. Przystanął na odpoczynek. Po chwili chwycił drewniany kubeł i poszedł w stronę studni. Zatrzymał się, by odetchnąć. Zawiesił kubeł na konopnej linie i spuścił go. Naraz potężny ból przeszył serce starca. Dziaduszko przytrzymał się liny, a kubeł niemal wyskoczył ze studni. Starzec chciał zawołać o pomoc, ale nie miał siły. Czuł zimno na całym ciele, twarz mu zsiniała. Serce zabiło jeszcze kilka razy, Jerzy Sobótka puścił linę i upadł przy drewnianych balach.

Leżał tam, dopóki Staszek nie przyszedł po wodę. Zobaczył dziaduszka, podbiegł do niego, najpierw trącił nieśmiało, a potem bardziej gorączkowo. Nic to nie dało. Jerzy Sobótka umarł. Na twarzy miał grymas bólu, ale przebijał się przezeń ledwo dostrzegalny cień spokoju.

Staszek pojął, że starzec nie żyje i coś się w nim załamało. Patrzył przez chwilę na twarz jedynej osoby, która go karmiła, gdy ślaniał się z głodu. Potem zapłakał rzewnie, podejrzewając, że w mieście umarło jedyne dobro i już nie ma nadziei ani żadnego pomostu między dobrem a złem. Łódź straciła jedyne człowieka, który mógł jej pomóc.

Staszko pobiegł z płaczem na pole. Nie minęło nawet pięć minut, ludzie od razu dowiedzieli się o śmierci najstarszego łodzianina. Z początku nie chcieli w to wierzyć; być może tak bardzo przyzwyczaili się do starego Sobótki, że nie mogli przyjąć do wiadomości, że dziaduszko umarł. Przerwali pracę. Stali zaskoczeni przy wykopach i nawet, gdyby zmarł król, nie doznaliby takiego szoku. Odrzucili drewniane narzędzia i kiedy dotarło do nich, co się stało, pognali do studni wskazanej przez Staszka. Mężczyźni zdjęli nakrycia głowy. Każdy w milczeniu zrobił znak krzyża.

Po chwili zaczęły się lamenty. Wieść obiegła Łódź i powoli docierała do okolicznych wsi. Wśród ciżby, przepychającej się do ciała, znaleźli się oczywiście Sobótkowie. Ze łzami w oczach przeciskali się przez tłum. Kiedy dotarli do ciała Jerzego, uwierzyli, że jedyna radość Łodzi nie żyje.

Zofia sprawdziła, czy dziaduszko naprawdę umarł. Uklękła przy teściu i przyłożyła ucho do jego piersi. Serce starca nie biło, a twarz była biała jak płótno. Ryszard klęknął u wezgowia ojca i z żalem gładził siwe włosy. Wanda nie zbliżała się do studni, tylko zdumiona patrzyła na dziaduszka. Po chwili dotarło do niej, że miasto zmieni się na gorsze, nie będzie nadziei ani pocieszenia. Dwie łzy spłynęły po jej policzkach. Wreszcie podeszła do ciała, nachyliła się i pocałowała dziaduszka w czoło.

– Szkoda, że nie próbujesz nas znów nabrać – szepnęła.

Starego Sobótkę przeniesiono do domu. Ryszard wniósł drewniany cebrzyk z wodą i rozpoczął uroczyste obmywanie ciała. Towarzyszyła mu

wciąż płacząca żona. Wanda też schylała się do cebrzyka, ale nie mogła nabrać wody. Od płaczu rozboleła ją głowa i czuła, że dziaduszko zostawił ją w najgorszym momencie. Wcześniej nie chciała opowiedzieć mu o swojej miłości, teraz zrobiłaby wiele, by usłyszeć radę najstarszego łodzianina. Tylko jemu mogła powierzyć tajemnicę.

Ciało spoczęło na desce. Zofia wyciągnęła ze skrzyni żałobny strój i sprawnie ubrała starca. Dziaduszko prezentował się elegancko. Miał na sobie giezło i płócienne pończochy. Siwą głowę ozdabiała proste nakrycie. Twarz Sobótki się wygładziła i starzec wyglądał, jakby spał.

– Najgorsze, że zmarł bez ostatnich sakramentów – mówiła Zofia, ciągle płacząc.

Ryszard postanowił zbić prostą trumnę z desek. W tym czasie Wanda szykowała dewocjonaalia, które miały zostać pogrzebane z ciałem.

Zaproszono gości. Nie tylko łodzianie chcieli pożegnać najstarszego mieszkańca miasteczka. Przyszli też ludzie ze Starej Wsi. Nie zabrakło najbogatszych rodzin i włodarzy miasta: burmistrza Marko, wójta Gliniewicza, a także sławetnych rodów – Drewnowskich, Szczygłów i Moranowiczów.

Przed domem zgromadziła się biedota. Stachu Grosik też przyszedł. Gdy matka zajęła się rozmową z sąsiadką, chłopiec ruszył do przodu. Przedzierał się zwinnie przez tłum, aż znalazł się w sieni. Choć lekko go to zawstydziło, nie cofnął się. Ostrożnie prześlizgnął się między słynnymi rodzinami i znalazł się na przodzie.

Bogaci mieszczenie spojrzeli na niego krzywo i pewnie wygoniliby Stacha, gdyby nie to, że malec począł płakać tak szczerze i rzewnie, że wszystkim zrobiło się go żal. Uznano też, że dziecko rozpoczęło lament należny zmarłemu. Poszli więc w jego ślady. Zaczęło się wygłaszanie uroczystych przemówień. Płaczki dodawały dramatyzmu, bo darły się

wniebogłosy. Chwytały się za włosy, zakrywały oczy rękoma i głośno prosiły świętych o łaski dla siebie i zmarłego.

Po chwili mężczyźni też stwierdzili, że Sobótce należy oddać cześć, więc zaczęli lamentować razem z płaczkami. Płakało całe miasteczko. Łódź tonęła w rzęsistym deszczu łez. Żelichowscy stali w kącie izby i płakali jak reszta. Odłożyli na bok sąsiedzkie urazy, bo było im naprawdę żal.

Ksiądz Benedykt głośno modlił się nad ciałem Jerzego. Wykonywał przy tym całą masę teatralnych gestów podkreślających to, jak zmarły był ważny dla społeczności. Płakali wszyscy. Lament ogarnął też najbiedniejszych. Solidarnie płakali Mirczakowie i Licheccy. Grosikowa również płakała, ale jednocześnie rozglądała się za synem.

Pożegnanie Jerzego Sobótki trwało wiele godzin. Najstarszy łodzianin spoczął w wąskiej, prymitywnej trumience, do której wrzucono dwa krzyżyki i szkaplerz. Po niespokojnej burzowej nocy zjawili się najroślejsi mieszkańcy, którzy ponieśli ciało starca aż na Górki Plebańskie.

Atmosfera w miasteczku zmieniła się. Teraz każdy chciał być jak Jerzy Sobótka. W polu wszyscy pracowali gorliwie, jak nigdy dotąd. Łodzianie przywykli do nieprzystojnych piosenek śpiewanych wieczorami przez starego Sobótkę. Umilali więc sobie nimi pracę w polu, wybierając najbardziej przyzwoite. Ksiądz Myszak przymykał oko na te wybryki, a przed zaśnięciem sam nucił co ładniejsze melodie.

Nagle łodzianie stali się lepsi. Nie odtrącali biedoty i witali włóczęgów gorzałką i chlebem. Grosikówna przyglądała się tej dobroci nieufnie, ale łapczywie chwytała każdy kęs rzucony przez możniejszych. Matka Stacha chodziła teraz na posługę do Widzewa, gdzie każdy patrzył na nią spod byka, wiedząc o nieślubnym synu.

Staszek całymi dniami przesiadywał na Górkach Plebańskich. Widywano go głównie przy grobie starego Sobótki. Siedział obok klepiska,

a łzy spływały mu strugami i kapały na wyschniętą ziemię. Powiadano, że nikt tak mocno nie rozpaczał po śmierci Sobótki.

Wieczorem gdy po skończonej pracy łodzianie wracali do domów, Wanda postanowiła zajść na Górki Plebańskie, by pomodlić się za duszę dziaduszki. Mijała klepiska porośnięte trawą i prymitywne krzyże. W oddali widać było mieszczańskie domy. Świerszcze rozpoczęły koncert, a krowy leniwie muczały zaganiane przez dzieci. Powietrze na Górkach było świeższe niż w centrum miasteczka. Wanda odetchnęła, ciesząc się, że dziaduszko spoczywa w tak ładnym miejscu.

Brodziła bosymi nogami w gęstej trawie, aż dotarła na miejsce. Jakież było jej zdziwienie, kiedy zobaczyła Stacha Grosika, który siedział przy grobie i płakał. Dopiero teraz Wanda uświadomiła sobie, jak chudy musi być chłopiec, bo płócienna koszula wprost wisiała na nim. Popatrzyła na kruchą sylwetkę Staszka. Żal chwycił ją za serce, a było to uczucie dziwne i nowe. Nie powodowało nagłego potoku łez i ściśniętego gardła, jak wtedy, gdy Wanda oglądała w lustrze swoje odbicie. Nie przeszywało na wskroś, jak podczas oglądania szlacheckiego tańca w Chojnach. Było nowe i nieznanne. Otępiało i pozbawiało nadziei.

Wanda podeszła do kopczyka i cicho westchnęła. Staszek jakby obudził się z letargu, bo aż podskoczył i zerwał do ucieczki.

– Zostań, to tylko ja – rzekła Wanda i uklękła, by się pomodlić.

Staszek spojrział na nią okrągłymi oczami, ale po chwili uspokoił się i nieufnie podszedł do Sobótkówny. Nic nie powiedział, tylko uklękł przy niej i złożył ręce do modlitwy. Wanda starała się skupić, ale obecność dziecka ją rozpraszała. Czuła, jakby właśnie dostała sygnał od dziaduszki. Stach zamknął oczy i po raz pierwszy od dawna czuł się przy kimś

bezpieczny. Spokojny oddech Wandy koił jego nerwy. Starał się skupić na modlitwie, by jak najlepiej podziękować za tę rodzinę, której nawet nie był częścią, choć otaczała go dobrocią.

Wielkie krople zaczęły spadać na umęczoną ziemię.

– Trzeba wracać, zaraz się rozpada – powiedziała Wanda, wstając.

Nie bardzo wiedziała, jak powinna zachować się przy tym małomównym, biednym dziecku, które patrzyło na nią z zakłopotaniem. Staszek spuszczał wzrok i znów spoglądał na Wandę, jakby chciał coś powiedzieć, ale się wstydził. W rzeczywistości było mu głupio. Wciąż pamiętał przecież, jak okrutni potrafią być możniejsi łodzianie.

Wanda uśmiechnęła się przyjaźnie. Ten gest zdumiał Stacha na tyle, że utkwiał wzrok w dziewczynie i niegrzecznie się gapił. Po chwili jednak uniósł lekko kąciki ust i jego dziecięcą twarz wykrzywił grymas bolesnego półuśmiechu. Staszek nie umiał się uśmiechać szczerze, gdyż dawno tego nie robił. Zwykle chadzał po obrzeżach Łodzi z poważną miną, gotowy w każdej chwili dostać kopniaka od przechodzących mieszczan.

Teraz jednak poczuł, że może Wandzie zaufać, a jego dziecięcą twarz pojaśniała. Chwycił dziewczynę za rękę i począł zbiegać z nią ze zbocza w stronę jabłonki.

– Jabłka – powiedział, wskazując ręką na drzewo.

– To przecież jabłka księdza.

– Ma ich dużo! – krzyknęło gniewnie dziecko.

Wanda stała, niepewnie przyglądając się Stachowi, który począł wspinać się na jabłoń. Drzewo wyglądało na delikatne, ale czerwone jabłka lśniły na nim jak rubiny.

– To jest kradzież – powiedziała Wanda niepewnie.

– Ma ich dużo! – odpowiedział Stach z uporem.

Nie umiał się wspiąć na tyle wysoko, by zerwać jabłko. Upór słabł, a na jego miejscu pojawił się smutek. Wanda obserwowała chłopca, nie mając pojęcia, co zrobić. Dziaduszek niechybnie zerwałby owoc, by dać dziecku, ale ukradłby tym samym jabłko należące do księdza.

Staszek był głodny i nie wiedział, co robić. W oczach stanęły mu łzy. Była to rozpacz nie dziecka, lecz starego człowieka, któremu runął dom. Wanda wahała się chwilę, po czym podeszła do jabłonki i zerwała jabłko. Rozejrzała się, czy nikt nie widzi, i dała owoc Stachowi, pamiętając, o tym, co zrobiłby dziaduszek.

– Biegnij do domu – poleciła.

Staszek spojrzał na nią zachwycony. Zawsze patrzył w ten sposób na najstarszego łodzianina. Wziął jabłko i począł zbiegać z górki. Wanda jeszcze chwilę patrzyła za nim. Zastanawiała się, do ilu kradzieży byli zmuszeni biedacy, by przetrwać. Kradli z desperacji i nędzy. Nie miało to jednak znaczenia. Wszystkie sprawy o kradzież rozpatrywał wójt, zasądzając srogie kary dla każdego złodzieja, a czasem wyższe dla biedaków, których nie miał kto bronić.

Wanda usłyszała groźny pomruk burzy, postanowiła więc wracać do domu. Gdy szła ulicą, spojrzała w niebo spowite czarnymi chmurami. Grzmoty z każdą chwilą stawały się głośniejsze. Na horyzoncie widać było pioruny przecinające niebo.

Zerwał się wiatr, wzbijając po drodze tumany kurzu. Łodzianie zapędzali bydło do obór, a kury zamykali w sieni. Zbierali też chrust, który wichur nawiał na ich podwórza. Zanosило się na potężną burzę. Wanda dopadła drzwi i wbiegła bez tchu do domu.

– Idzie wielka nawałnica – powiedziała zaniepokojona.

Przerażeni Sobótkowie stali na progu izby.

– Trzeba się pomodlić, by pŁanetnicy nie pokierowali piorunów nad miasto. Wiatr się nasila a¿ nad sufitem huczy – powiedziaŁa strapiona Zofia i bez wahania uklękaŁa przy oknie w sieni.

Maż poszedŁ w jej ślady, robiąc miejsce dla Wandy. Dziewczyna nie widziaŁa wiele, bo małe okno zalane było deszczem. Krople stukały w szybę i natychmiast rozpływały się, tworząc wodną mozaikę. Z góry dobiegaŁa cię¿ka, jednostajna muzyka, to deszcz bębniał w dach i uderzał o drewniane ściany.

Rodzina Sobótków Źarliwie modliŁa się przy oknie. ModliŁo się całe miasto. Łodzianie z bijącym sercem obserwowali kolejne rozbłyski. Niektórzy wychodzili z domu i stawali na przyzbie, bojąc się, Źe chaty runą pod naporem wichury. Najbardziej lękali się biedacy mieszkający w byle jak skleconych chatach.

– Co za ulewa – mruknaŁ Ryszard, kuląc się przy rozrywającym grzmocie.

– Latawce krąŹą nad uprawami. Zupełnie je zniszczą – odpowiedziaŁa Zofia, a w jej gŁosie mo¿na było wyczuć bezsilnośĆ.

Wanda klęczaŁa przy oknie i wyobraŹaŁa sobie, co w tę pogodę robi Jezierski. Do Łodzi dotarŁa wieśĆ, Źe Konrad wyjechaŁ, burząc spokój w Chojnach, a¿ jego ojciec dostaŁ bóŁów ŹoŁadka. Mieszczanie sŁyszeli te¿ o liście od króla i bójce międy szlachtą. Rozpytywali więć chŁopów, czy ktoś zostaŁ ranny, czy bito się na szable i jak skończyŁa się awantura. Wieśniacy opowiadali wszystko ze szczegóŁami, wyolbrzymiali i koloryzowali opowieści, jak tylko mogli. Do Łodzi nie dotarŁa szczęśliwie plotka o samotnej mieszcce, która wybraŁa się nocą pod dworek, by ostrzec szlachtę przed plotką. Gdyby nie poranna bójka, chŁopi zapewne rozpowiadaliby o tym z wypiekami na twarzach.

Rozmyślania i modlitwy przerwał głośny grzmot, rozchodzący się echem po całej okolicy.

– W coś walnęło – powiedział Ryszard grobowym głosem.

Naraz Sobótkowie usłyszeli krzyki i zawodzenie. Wskoczyli z sieni i skulili się na przyzbie. Nie paliły się ani sąsiednie domy, ani żadne pobliskie drzewo. Przez chwilę pomyśleli, że piorun wystraszył tylko kilkoro ludzi i nie ma powodu do obaw. Żelichowscy również stali w progu domu, obserwując okolicę.

– Pójdę zobaczyć, czy coś się nie pali – powiedział Ryszard, ale nie zdążył się ruszyć, a już kilku łodzian podbiegło do płotu.

– Dom się pali! Walnęło w dom Kurylczakowej! – wrzeszczeli ludzie. – Potrzebne ręce do gaszenia, bo pożar ogarnie inne domy!

Sobótkowie porwali kubły i pobiegli za innymi w stronę najbliższej studni. Zaczęli zbierać się wszyscy sąsiedzi, a przewodził im Gliniewicz, ogłaszający, że ten, kto nie weźmie udziału w akcji gaszenia pożaru, otrzyma surową karę grzywny i więzienia. Wskoczyli więc wszyscy, a każdy niósł przynajmniej jeden kubeł pełen wody. Pobiegli na obrzeża miasta, by zatrzymać ogień.

Z daleka było widać, że pali się nie tylko dom Kurylczakowej, lecz także dwa sąsiednie. Olbrzymie kłęby dymu unosiły się do nieba, zlewając się z siwymi chmurami w szarą masę. Burza ucichła. Padała już tylko mżawka ograniczająca widoczność.

Ogień błyskawicznie trawił domy. Mieszkańcy w pośpiechu wynosili dobytek. Łapali za wiadra, polewali płomienie wodą, uwijali się najszybciej, jak to było możliwe. Brodzili w mokrym piachu, przeklinając los. Kolejne nieszczęście nawiedziło miasto.

Kurylczakową już wcześniej wywleczono nieżywą z sieni. Jej ciało leżało przy płocie, twarzą do ziemi. Otomowicze i Prochowicze patrzyli,

jak ogień trawi ich dobytek, pożera kolejne ściany i zajmuje dach. Prochowicze próbowali gasić pożar, który zajął na razie tylko sień, ale Otomowicze rzucili puste wiadra w błoto i klęczeli przed płonącym domem, wyjąc z rozpacz.

Sąsiedzi nie mieli czasu na współczucie. Ogień niebezpiecznie zbliżał się do ich domów. Zagrożone były chałupy Paczusków i Licheckich. Kłęby dymów posuwały się naprzód, dusząc ludzi. Było jasne, że nie uda się prędko ujarzmić żywiołu. Mimo strat zapał ludzi nie gasł. Najważniejsze było, aby uratować jak najwięcej domów.

Deszcz wzmógł się, co pomagało w gaszeniu. Paczosek zawzięcie polewał wodą palący się płot. Wodę ludzie zwozili nawet ze stawu, stawiając kubły na wozie burmistrza. Koła furmanki grzęzły jednak w błocie. Konie nie miały siły ich ciągnąć. Jan Marko smagał zwierzęta batem, ale bez skutku. Wskoczył więc i pchał furmankę, co kilkanaście kroków grzęznął w błocie.

Od strony Licheckich pożar dogasał, jednak rodzina nadal nie wierzyła w ocalenie domu. Ogień nie musnął nawet płotu, co dodało im sił. Chwycili za kubły i poczęli ratować dom Paczusków, który zaczynały lizać płomienie. Teraz ludzie skupili się wokół drewnianych ścian sieni, ale ogień się wzmacniał. Burmistrz nadjechał furmanką nieco spóźniony, ale zaraz zeskoczył z kozła i począł wołać ludzi. Przybiegło wielu łodzian. Zgodnie łapali za kubły i biegli w kłębowisko dymu, gasząc sień Paczusków. Ogień strawił jednak także malutką izbę i komorę. Jednocześnie Mirczakowie zaczęli wynosić marny dobytek, bo ogień niebezpiecznie szedł w stronę ich domu.

Mąż Paczoskowej darł się na żonę, by przynosiła więcej wody. Słaba kobiecina biegła z kubłami od studni do domu. Była tak przerażona, że za każdym razem wylewała trochę wody, kołysząc się na cienkich nogach. Paczosek spoglądał na nią z wściekłością, aż krew gotowała mu się w żyłach.

– Jak ugasimy pożar, to dostaniesz w mordę – mówił za każdym razem.

Paczoskowa biegła więc z obłędem w oczach w jedną i w drugą stronę razem z innymi.

Ale ich dom spalił się do cna. Pożar udało się ugasić dopiero na stodole Mirczaków, którzy wznosili oczy do nieba, dziękując Bogu za to, że ocalała ich nędzna chata. Na zgłiszczach domów dogasały ostatnie płomienie. Bogatsi łodzianie zapewniali o współczuciu, chodzili dookoła zniszczonych domów i pomagali ładować na wóz burmistrza zwęglone rzeczy. Wszyscy sprząтали ramię w ramię. Ksiądz Miszak chciał zabrać na plebanie poszkodowane rodziny, ale tylko niektórzy z tego skorzystali. Prochowicze odmówili, wynosząc zwęglone, kruche deski z domu, a Otomowicze potrzebowali najpierw duchowego wsparcia, bo dalej klęczeli przed chałupą i nie trafiały do nich żadne słowa pocieszenia.

Największym problemem było zabranie Paczosków. Dzieciarnia rozbiegła się po mieście, by znaleźć matkę. Pobiegł za nimi też wściekły ojciec. Paczoskowa zapadła się pod ziemię i nikt nie widział jej od czasu gaszenia domu.

Sobótkowie też pomagali przy sprzątanii. Wiesio cały czas bacznie obserwował Wandę. Oburzało go to, że dziewczyna nie spojrzała na niego ani razu. Była pochłonięta sprzątanii, ale Żelichowski wyczuwał, że jej myśli wędrują gdzieś daleko i nie ma ich ani na pogorzelsku, ani w całej Łodzi. Walczył chwilę ze sobą, po czym niby niechcący popchnął Wandę prosto na szerniałe bele domu Kurylczakowej. Dziewczyna krzyknęła

z oburzenia i upadła prosto w zgliszcza. Szybko wstała, wpijając nienawistny wzrok w Żelichowskiego. Ten zaś stał przed nią z drwiącą miną.

– Tak ci obrzydę życie, że w końcu będziesz musiała za mnie wyjść. Nie dam ci spokoju – wyszeptał ze złością, pochylając się nad Wandą.

Dziewczyna aż się wzdrygnęła. Już chciała chwycić drewniany bal, by przyłożyć Wiesiowi, ale poczuła, że ktoś wysoki stanął za nią. Żelichowskiemu zrzęła mina i chłopak odsunął się nieznacznie.

– Czemu popychasz moje dziecko? – zapytał Ryszard zza pleców Wandy.

Wiesio nie odpowiedział, ale zmieszał się nieco i postanowił nie zadzierać z Ryszardem Sobótko, bo choć ojciec Wandy nie był mocarzem, to jego pięści mogły połamać szczękę. Znów wezbrała w nim uraza.

Jak śmia te durne kmioty postępować tak z rodem Żelichowskich?! – myślał i dalej porządkował nadwęglone bele, oddzielając je od zniszczonych drew. Poprzysiągł sobie, że to nie koniec. Miał zamiar zaszczyć Wandę tak, by nie miała wyboru.

XV



Konrad zjechał wreszcie do Warszawy. Początek lipca był upalny i obawiano się nadejścia nowej zarazy. Miasto tętniło życiem, ale wieczorem zamierało. Mieszkańcy wcześniej wracali z szynków i karczem, zamykając się w domach. Patrycjat i bogatsi mieszczenie z uwagą słuchali nowych wiadomości. Bali się, czy nie ma groźby morowego powietrza i z ulgą przyjęli informację o tym, że ostatnia zaraza ustała.

Jezierski wjechał do miasta o świcie. Pognął konia przez szarzejące ulice, czasem tylko napotykając pijanych przechodniów. Warszawa przerażała go ciasnotą. Wszędzie wałęsały się brudne psy.

Dniało już, gdy ujrzał wspaniałe przedmiejskie budynki. Mieściły się w nich siedziby samych znakomitości. Jeden dworek był piękniejszy od drugiego. Tu i ówdzie postawiono na masywne kolumny, gdzie indziej widać było okazałe tarasy i smukłe korony drzew. Zabudowania oddzielone były od dróg prostymi parkanami, dworki i pałace chowały się przed ulicą i pospólstwem. Konrad spojrzął na letnią rezydencję Jana Kazimierza położoną na skarpie. Marmurowy parkan wyznaczał granicę posiadłości, którą nazywano niegdyś *Villa Regia*.

Z oddali dobiegało rzenie koni. Służba powoli przygotowywała się do nowego dnia. Konrad popędził ogiera w stronę okazałej królewskiej bramy

zdobionej marmurem i srebrem.

– Kto? – zapytał niemiło odźwierny ubrany na styl włoski.

– Konrad Jezierski, namiestnik chorągwi husarskiej najmiłościwiej nam panującego.

Odźwierny wybałuszył oczy i nakazał otworzyć bramę. Skłonił się nisko przed Jezierskim, zdejmując czarny kapelusz. Konrad zwinnie zeskoczył z konia.

– A co to, że słudzy najjaśniejszego pana w czerni chodzą? Ktoś umarł?
– zapytał niezbyt grzecznie.

– Jaśnie panie namiestniku – odparł urażony mężczyzna, podkreślając wąsa – tutaj wszyscy się w czerni noszą, bo to moda taka i bardzo się wszystkim na dworze podoba. Ja mam tylko czarne peleryny, kapelusze i buty. Nawet jak zakładam żupan, to czarny. Najjaśniejszy pan nasz powiedział, że odźwierny musi dobrze się prezentować, bo wpuszcza gości. Z Francji przywiózł służbie czarne kapelusze. Taki nasz pan dobry. Ale dość gadania, trzeba jaśnie wielmożnego pana odprowadzić, a pięknym wierzchowcem pańskim zajmą się koniuszy.

Jakby na zawołanie nadbiegło dwóch szczupłych podrostków. Obaj jednocześnie skłonili się Jezierskiemu prawie do stóp, po czym z minami znawców odprowadzili konia do stajni.

– Widzę, że nasz najmiłościwszy pan wytrenował całą służbę.

Klucznik skłonił się nisko i majestatycznie powiał czarnym kapeluszem z piórem.

– Jesteś Polak? – zapytał Jezierski.

– Polak.

Jezierski spojrział na strój szyty według zagranicznego wzoru i gwizdnął przeciągle, niby w podziwie, ale trochę ironicznie. Odźwiernemu wystarczyła ta odpowiedź. Poprowadził Konrada do rezydencji.

Obszerny dziedziniec otoczony był stajniami na kilkaset koni. W oddali błyszcząły murowane budynki wozowni. Zza rogu widać było dwa spichlerze. Konrad wcześniej był tylko na zamku i w dworcu ujazdowskim. Przepych letniej rezydencji królewskiej zrobił na nim wielkie wrażenie.

– Tam w oddali stoją budynki fraucymeru, a od drugiej strony kuchnie – chwalił się klucznik, a był przy tym tak dumny, jakby rezydencja należała do niego.

Konrad oglądał dziedziniec z uznaniem, a klucznik zacierał ręce, myśląc o wrażeniu, jakie zrobi na namiestniku przepych wewnątrz rezydencji.

– Choć wsie i miasta Jezierskich są okazałe, takiego przepychu nie ma u nas w żadnym folwarku – mówił Konrad, sprawiając odźwiernemu wyraźną przyjemność.

– Bo to królewskie. A poza tym najjaśniejsza pani nasza Ludwika Maria, niech jej Bóg da wszelkie łaski, kocha się w italskim stylu i francuskiej modzie, więc wszystko tutaj europejskie i zachodnie.

– Zauważyłem – odparł powściągliwie Konrad.

Myślał o tym, jak dalece zagraniczna moda musi drażnić tradycyjną polską szlachtę. Niezwykle denerwowała przecież ojca, który nie nawykł do włoskich kolumienek i czarnych strojów z fantazyjnymi bufkami i szerokimi kapeluszami.

Odźwierny zatrzymał się przy frontowych drzwiach rezydencji. Pałac Kazimierzowski prezentował się wspaniale. Nie był to największy dwór, ale z pewnością najbardziej okazały. Nad wielkimi hebanowymi drzwiami ze zdobieniami ze srebra rozpościerała się loggia. Widać też było symetryczne wieżyczki ustawione po czterech stronach rezydencji. Każdą wieńczył szpic z powiewającą flagą królewską.

Kolejny odźwierny w czarnych szatach otworzył drzwi do pałacu. Pchnął je z mozołem, bo wrota otwierały się ciężko. Oczom Konrada

ukazał się niebywały przepych. Ściany przestronnego przedsionka były obite kosztownymi arrasami.

– Najwięksi sztukmistrze tureccy wyszywali na tych arrasach wizerunki najjaśniej nam panujących – powiedział klucznik, który otwierał bramę wjazdową.

Widocznie nie mógł się powstrzymać przed oprowadzeniem nowego gościa. Wskazał ręką na sufit.

– A sklepienie malowali najwięksi artyści z Italii jeszcze za panowania najłaskawszego świętej pamięci króla Władysława IV.

Konrad spojrział w górę i ujrzał błękitny plafon przedstawiający białego konia, którego dosiadał Posejdon. W oddali widać było białawe prześwity, a siwek wyglądał jak żywy. Malarz uwiecznił moment, w którym koń staje dęba. Posejdon miał hardą minę i zmarszczone czoło. Błękitne tło przypominało zarówno niebo, jak i wodną toń. Prawdopodobnie taki był właśnie malarski koncept. W lewej dłoni Posejdon trzymał lejce, a w prawej trójzęb, który wyglądał jak zrobiony ze srebra. Konrad od razu poznał, że byle jaka ręka tego fresku nie namalowała.

Obszerny przedsionek ozdobiły też poroża zawieszane na wysokości półpiętra. Stąd można się było dostać na marmurowe schody. Balustrada i poręcze prezentowały się osobliwie. Wyrzeźbiono je w hebanie. U dołu balustrad piętrzyły się wypolerowane ciemne liście do złudzenia przypominające żywe. Tuż przy schodach umieszczono portrety pary królewskiej i dwa obrazy przedstawiające sceny bitewne.

– A kiedy jaśnie pan zobaczy ogrody i salę bankietową, to się dopiero zachwyci – zaćwierkał klucznik, prowadząc Konrada do kolejnej sali.

Minęli schody i weszli do kolejnego pomieszczenia. Była to niewielka salka jadalna urządzona z przepychem. Sklepienie pokryte było freskami. Na ciemnej ławie stały dwa srebrne kielichy zdobione klejnotami. Obok

sześć krzeseł, po dwa przy szerszych bokach ławy i po jednym przy węższych. Wyrzeźbione w hebanie, ozdobione srebrnymi nitkami i fantazyjnymi wcięciami.

– Najpokorniej proszę zaczekać tu na najjaśniejszego pana. Powinien niedługo wstać, ostatnio źle sypia – powiedział odźwierny i wyszedł z królewskiej jadalni.

Konrad został sam. Rozejrzał się, by ogarnąć wzrokiem wszystkie wspaniałości. Ściany jadalni obite były złotogłowie przetykanym srebrnymi i złotymi nićmi. Srebro królowało też na wystawnym kredensie utrzymanym w czarnej, błyszczącej tonacji. Dwa freski, oddzielone nieznacznie białym pasem, przedstawiały świętego Floriana i świętego Stanisława Kostkę. Podpisane były zgodnie z tradycyjną sztuką kaligrafii.

W rogu sali stało duże lustro w złotej ramie. Konrad podszedł do niego i przejrzał się uważnie. Twarz miał zmęczoną i zrezygnowaną, oczy napuchnięte i czerwone z niewyspania. Na czole pojawiła się bruzda, a brwi ściągnęły w grymas zniecierpliwienia. Twarz szlachcica nie wyglądała dobrze. Uroku dodawały jej tylko wciąż piękne karminowe usta i lisi, wąski nos. Wszystko inne wymagało poprawy – zmierzwiłone brudne włosy, przemęczone oczy i napięte mięśnie twarzy.

– Będzie miał król ze mnie ubaw. Wyglądam jak upiór – powiedział na głos i wygładził poły kontusza.

Miał powody do zmartwień. Spuścił wzrok, by nie patrzeć na żałosne oblicze, po czym usiadł przy ławie zmęczony podróżą. Oparł łokcie, złożył na nich głowę i zaczął rozmyślać o wydarzeniach, które wstrząsnęły Chojnami. Przypominał sobie ciemne warkocze panny Katarzyny i żałował, że umknął bez pożegnania. Niczego teraz nie wiedział. Pod znakiem zapytania stanęły zaręczyny, przyjaźń z rodem Andruszkiewiczów i reakcja ojca. Uciekł przed jego gniewem w ostatniej chwili i bał się, że stary

Jezierski puści się za nim, by wyzwąć syna na pojedynek. Tak się jednak nie stało i Konrad żałował, że nie wie nic o tym, co dzieje się w Chojnach. Po chwili rozluźnił się nieco, a powieki zaczęły mu ciążyć. Nie mógł się oprzeć zmęczeniu. Zamykając oczy, wspomniął jeszcze przez chwilę łodziankę, która przyszła sama nocą aż do Chojen – dla niego. Pomyślał o niej nawet pożądliwie, ale nie zdążył tej myśli rozwinąć, bo zasnął.

Pałac Kazimierzowski tętnił życiem. Zewsząd dobiegały różne odgłosy, kręciły w nosie zapachy. Austriackie dwórki szybko przechodziły korytarzami, by nie rzucać się w oczy. Służba szykowała konie, oliwiła wozy i przygotowywała nakrycia. Wprawne oko poznałoby, że na dworze jest inaczej niż zwykle. Panowało ogólne poruszenie, a podnieceni włóscy ogrodnicy szeptali między sobą o ważnych państwowych sprawach. Pałac obiegnęła informacja, że król szykuje się na Lubomirskiego, zbiera wojsko i liczy dowódców. Wszyscy czekali więc na nich, by móc cieszyć się widokiem szlachty i dowiedzieć czegoś więcej o planach bitew.

Na razie jednak nawet król nie wiedział zbyt wiele. Obudził się w złym humorze, niewyspany i niezdolny do działania. Ludwika Maria spała jeszcze. Jej sen był spokojny.

Monarcha zdumiał się, gdy otworzył drzwi do jadalni i zobaczył śpiącego żołnierza.

– Służba! – zakrzyknął. – Co tu robi ten człowiek?

Zbiegły się panny, ale nie potrafiły odpowiedzieć. Zjawił się też stolnik, który aż westchnął z oburzenia na widok szlachcica śpiącego na pańskim krześle.

– Śpi, najjaśniejszy panie – odpowiedział tylko.

– Że śpi, to widzę. Dobudzić mi go, bo głowę w ramionach trzyma i nawet nie widać twarzy. Dlaczego w mojej jadalni zasypiają obcy ludzie?! Jak on się tu dostał? – zapytał ze wzburzeniem Jan Kazimierz.

Stolnik chwycił Jezierskiego za ramię i potrząsnął nim z rozmachem. Wybudzony szlachcic nie poznał od razu, gdzie się znajduje. W pierwszym porywie dobył szabli i wyciągnął ją, zrywając się z krzesła. Dopiero wtedy się rozejrzał. Spojrzał na monarchę, przerażonego stolnika i ciekawskie służki, po czym natychmiast schował szablę, czując, że rumieniec wstydu rozlewa się po policzkach.

– Bardzo przepraszam – mruknął sennie, lecz trzeźwo.

– Mój dozgonny przyjaciel i niezrównany żołnierz Konrad Jezierski – ucieszył się Jan Kazimierz, po czym – cokolwiek z ostrożnością – podszedł do szlachcica i wziął go w ramiona.

Powitaniom nie było końca. Król zachowywał się wylewniej niż kiedyś. Choć Konrada zdziwiło to, nie miał ochoty zaprzętać sobie tym głowy. Cieszył się, że monarcha, ostatnio nieprzychylnie nastawiony do Polaków, wita się z nim jak z przyjacielem.

Jan Kazimierz postarzał się przez ostatnie lata. Konrad zauważył, że jego sokola twarz wyostrzyła się jeszcze pod wpływem niewielkich zmarszczek. Twarz króla nie była już tak młoda i sprężysta. Oczy, choć wyrażały szczerą radość ze spotkania, były zmęczone i zatroskane. Zmarszczone brwi uwydatniły podwójną, pionową bruzdę na czole. Świeżość zachowały tylko peruka i kędzierzawe loki spływające kaskadami aż do ramion.

– Rad jestem, że cię widzę w moim pałacu. Jak ci się podoba? Wybacz, że musiałeś spać w jadalni. Czasem myślę, że moja służba jest za bardzo rozwydrzona. Kto to widział, by wpuszczać tak ważnego gościa do jadalni i kazać mu tyle czekać?

Konrad mówił niewiele. Nadal był senny i niegotowy do wyprawy na pole bitwy. Król zauważył zmęczenie malujące się na twarzy szlachcica.

– Dziewki pokażą ci zaraz, gdzie będziesz spał. Jesteś nie do życia, ale w samą porę. Już dziś zjadą tu ważni goście. Wydaję bankiet, na który są zaproszeni. Trzeba będzie wyruszyć na Lubomirskiego, bo dłużej nie zniosę jego wzgardy – mówił król głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– Najmiłościwszy panie – powiedział Konrad – czy mógłbym prosić o przysługę?

– Proś, o co chcesz – odparł król, wzdrygając się przed oficjalnym tonem Konrada.

– Wyjechałem z Chojen w pośpiechu, kłócąc się z całym folwarkiem. Nie wiem, co się tam teraz dzieje. Gdyby poseł mógł pojechać do Chojen z listem...?

Król uciekł wzrokiem w bok i przyglądził perukę. Na jego twarzy pojawiło się dziwne zmieszanie, ale po chwili utkwiał wzrok w Konradzie.

– Oczywiście – zapewnił stanowczo. – Wyślę posła. Tylko powiem mu, żeby uzbroił się w muszkiet, bo domyślam się, że list ma trafić do twojego ojca.

Ostatnie zdanie król wypowiedział niemal lodowatym tonem.

– Chyba lepiej do matki – odparł cicho Konrad.

Wiedział, że król ma świadomość politycznej niezgody w rodzinie Jezierskich. Tym niezręczniejsze było mu pytać, ale musiał dowiedzieć się, czy ojciec dalej się gniewa, czy dobrze się czuje i czy panna Katarzyna nie cofnęła zerwania zaręczyn.

Dzień był upalny, ale ulice puste. Warszawiacy wciąż obawiali się kolejnych epidemii, które dziesiątkowały ludzi. Na dworze było jednak spokojnie, choć zjawiali się już pierwsi goście. Przybywali wojewodowie i starostowie z różnych części kraju. Bankiet mieli zaszczyścić

Konieczpolscy, Opalińscy i Ossolińscy. Nie mogło zabraknąć oficerów i magnatów – żołnierzy. Przybyć miał oczywiście Jan Sobieski, Michał Kazimierz Pac i Mikołaj Hieronim Sieniawski. Te trzy nazwiska wymawiano najczęściej z wypiekami na twarzy, podobnie jak nazwisko Jezierskiego. To oni mieli dowodzić wojskiem w starciu z żołnierzami Lubomirskiego. Powiadano też, że ma przyjechać pan Iłłowicz z żoną Krystyną. Iłłowiczowie byli wielkimi przyjaciółmi królewskiej pary, więc monarcha naradzał się z nimi w każdej sprawie.

Pałac Kazimierzowski huczał od domysłów i plotek. Wymawiano coraz to nowe nazwiska, dywagowano nad liczbą żołnierzy i szacowano siły Lubomirskiego. Konrad pisał tymczasem list do rodziców, siedząc w przytulnej królewskiej sypialni. Chciał jak najszybciej dowiedzieć się, jak się sprawy mają, więc list napisał w pośpiechu, choć z zachowaniem grzeczności, a nawet pokory.

– Trzeba jak najszybciej wyprawić posła. Nie wiadomo, kiedy wyruszymy – powiedział Konrad, podając królowi list.

Jan Kazimierz odchrząknął, spojrzał w bok i przyjął list, przykładając na nim królewską pieczęć.

– Natychmiast zawołam mojego posłańca i dam mu najszybszego konia. Tymczasem czuj się jak u siebie w domu i przywitaj z gośćmi. Staraj się zrobić dobre wrażenie na Iłłowiczach, bo to znamienity ród. Mości pan Iłłowicz trzęsie Polską na wschodzie.

Król niemal wepchnął Konrada do wielkiego pomieszczenia połączonego z okazałą loggią. Konrad nie od razu przywitał się z małżeństwem Iłłowiczów. Najpierw ogarnął wzrokiem pomieszczenie, po raz kolejny podziwiając przepych pałacu. Z komnaty dwa małe korytarze prowadziły do dalszych części dawnej *Villi*. Na ścianach wisały ogromne pionowe arrasy z wizerunkami amorków. Wszystkie meble wyrzeźbione

były w hebanie i poprzetykane srebrnymi niciami. Była czarna biblioteczka, stolik, krzesła i regały. Włoskie obrazy dodawały komnacie elegancji, pokazywały sztukę architektów i artystów. Pomieszczenie było jasne, dzięki loggii zdobionej smukłymi kolumnami. Rozpościerał się stamtąd widok na Wisłę. Widać było flisaków i kupców. Po rzece pływały skromne łodzie.

Przy loggii stali Iłowiczowie i z zainteresowaniem patrzyli na Konrada. Byli małżeństwem niemłodym. Wąsaty pan Iłowicz był tak gruby, że z trudem nabierał powietrza. Przy każdym wdechu wydawał z siebie świst. Obok męża stała niewysoka, rudowłosa pani Iłowiczowa. Miała wyraziste szlacheckie rysy. Przy mężu wyglądała niepozornie. Twarz wskazywała, co prawda, na wiek, ale choć w kącikach ust i oczu widniały niewielkie zmarszczki, to cerę miała świeżą, usta młode i powabne, a w oczach błyszczały figliki.

Jezierski zbliżył się do Iłowiczów i uklonił grzecznie.

– Witam waszmościa – powiedział uprzejmie Iłowicz, sapiąc ciężko. –

Miło mi nareszcie poznać znamienitego szlachcica, pana namiestnika. Jesteś waść sławny chyba w całej Rzeczypospolitej. Nazywam się Jerzy Henryk Iłowicz, chwilowy podkanclerzy koronny. Jestem w zastępstwie Andrzeja Olszowskiego, którego nawiedziła poważna choroba. Mnie tu król różne funkcje wynajduje, choć jestem z południowych krańców Rzeczypospolitej i blisko Kozaków się wychowałem. Rządzę kilkoma większymi miastami, a w planach może jakieś starostwo...

Widać było, że pan Iłowicz uwielbia się przechwalać. Przedstawił Konradowi żonę, prezentując ją, jakby była drogim koniem arabskim. Potem zaczął opowiadać o swoich bogactwach, choć płytki oddech gwałtownie urywał słowa po każdym zdaniu. Żona Iłowicza uśmiechała się do Konrada skromnie, ale w jej oczach palił się płomień, który Jezierski

widział tylko u panny Katarzyny. Było to spojrzenie powściągliwe, ale zaczepne zarazem, kryjące w głębi największe kobiece żądze. Kiedy pocałował jej dłoń, westchnęła lekko, wyraźnie rozanielona.

We troje przeszli do korytarza, gdzie Iłowicz dalej prowadził wykład na temat polityki, rządów i współczesnego rozpasania polskiej szlachty. W pewnym momencie podszedł do niego monarcha.

– Czy mógłbyś mi, drogi przyjacielu, pomóc w pewnej sprawie? – zapytał uprzejmie. – Cenię twój autorytet i chciałbym, byś mi doradził

Pan Iłowicz spojrział na Konrada z miną człowieka niezastąpionego i podążył za królem, żegnając się grzecznie. Nie zauważył nawet, że żona wymieniła z Janem Kazimierzem porozumiewawcze spojrzenie, po czym ujęła Konrada pod rękę. Jezierski zdumiał się tym śmiałym gestem i nawet myślał, by wyrwać ramię z damskiego uścisku, ale ostatecznie pozwolił się poprowadzić aż na dół.

– Waćpan raczył zwiedzić ogrody? – zapytała Krystyna.

– Tylko z oddali.

– Przejdźmy się więc nieco. Zobaczy pan wspaniałości, których nie ma nigdzie na świecie. Powiadają, że Italia ma najpiękniejsze dwory. Ja byłam w Italii i mogę zapewnić, że takiego przepychu, jak u nas, nie znalazłam w żadnym pałacu. Bawiłam też we Francji, gdzie moda najprzedniejsza. I co? I tak właśnie jest. Francuskie dziewczki ubierają się, jakby codziennie szły na bal. Nawet materiał ich halek jest inny niż tutejszy. Wybierają zwykle sukno... – ćwierkała pani Iłowiczowa, nie przypuszczając nawet, że Konrad miałby ochotę raczej palnąć sobie w łeb z rusznicy, niż chadzać z nią po królewskich ogrodach.

Nie chodziło przy tym o to, że Krystyna była nudna, a raczej o spojrzenia, które wymieniała między sobą królewska służba. Sława wyprzedziła panią Iłowiczową i do Konrada już rano dochodziły plotki

o tym, że tymczasowa podkanclerzyna źle się prowadzi i uwodzi młodych szlachciców pod nosem męża.

Konrad dał się zaprowadzić do górnego ogrodu. Przystanął na chwilę, bo aż słów mu zabrakło, gdy ujrzał rozciągający się przed nim widok. Wąskie alejki prowadziły przez przyszczyżone trawniki, na których rosły drzewa nieznane w całej Rzeczpospolitej. Były to i niewielkie cytrusy, i pomarańcze, a dalej znane kasztanowce. W górę pięły się rzadko spotykane krzewy ozdobione okrągłymi owocami o barwie czerwieni i bieli.

– Przejdźmy w alejkę warzywną – zaproponowała dyskretnie Krystyna.

Skręcili w prawo, mijając smukłe kwiaty o różnobarwnych kształtach i kielichach. Niektóre były czerwone, inne niebieskie lub białe. Rosły tu dostojne irysy, zachwycające róże i dalie. W oddali na wietrze kołysały się różnokolorowe tulipany. Małe niezapominajki rosły tuż przy alejce. Wszędzie latały pszczoły i inne owady. Słońce oświetlało ich skrzydełka i smagało promieniami łodygi kwiatów.

– Jak tu pięknie! – wykrzyknął Konrad, ogarniając wzrokiem ogród.

– Najpiękniejszy ogród w całej Rzeczpospolitej – odparła Krystyna, patrząc z zadowoleniem na reakcję Konrada.

Poszli dalej, mijając niewielką marmurową fontannę i ławeczkę.

– Tu rozpoczyna się ogród warzywny. Podobno na tej wysokości najlepiej rosną karczochy. Przynajmniej tak powiadają italscy architekci. Spocznijmy na chwilę, jestem zmęczona.

Konrad niechętnie usiadł na ławce obok damy i począł rozglądać się zaniepokojony. Czuł, że robi coś, czego nie powinien, był rozdarty.

– Waćpan pewnie patrzy z obrzydzeniem na starzejącą się kobietę? – zapytała Krystyna i niespodziewanie wybuchła teatralnym płaczem, przykładając sobie wierzch dłoni do czoła.

– Wcale nie – zapewnił Konrad gorąco – waszmość pani wcale nie jest stara.

– Nie powiedziałam, że jestem stara – oburzyła się Krystyna, po czym z żalem spojrzała w szczerze oczy Konrada i znów wybuchła płaczem.

– Niechże łaskawa pani nie płacze. Od płaczu puchną oczy i boli głowa. Delikatna głowa kobieca nie może boleć, gdy w planach królewski bankiet.

– Ach, mości panie namiestniku, cóż z pana za pocieszyciel! Kobiety pan wyratuje z każdej opresji, nieprawdaż? – zapytała Krystyna, a łyzy zawisły jej na rzęsach gotowe zaraz spaść.

– Nie znam się na pocieszaniu. Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale czy pani całe zażawione – powiedział Konrad i podał Krystynie adamaszkową chustkę.

– Co mi po chustce? – nadąsała się nagle Krystyna. – Nie ma tu lustra. Czy mógłbyś mi, najdroższy żołnierzu, otrzeć łyzy, zamiast ją podawać?

Ostatnie pytanie zadała prawie błagalnie. Konrad odsunął się nieznacznie, ale po chwili wziął chustkę i przysunął się do Iłowiczowej zdziwiony jej zuchwałością. Spojrzał przelotnie w zielonkawe oczy, w których skrzył się jakiś niemy podstęp. Mimo to delikatnie przyłożył chustę do mokrych kobiecych rzęs.

– Dziękuję – szepnęła Krystyna, patrząc przenikliwie w oczy namiestnika.

Tym razem jej spojrzenie i spokojny głos zrobiły wrażenie na Konradzie. Poczul dreszcz rozchodzący się po całym ciele, a nozdrza rozszerzyły się pod wpływem emocji. Nie wiedział, że sprytna Krystyna tylko czeka, aż którymś ze sposobów złapie go w pułapkę pożądania. Teraz jakby od niechcienia odsunęła się znacznie i wstała.

– Czas, żebyśmy przeszli do dalszej części ogrodu – rzekła wyniośle.

Konrad też wstał oszołomiony śmiałością Krystyny. Choć ogród warzywny był okazały i pełny różnych odmian i gatunków, szlachcic niezbyt uważnie patrzył na rośliny. Niewiele rozmawiał z Iłowiczową, oddając się pożądaniu. Patrzył na Krystynę z niepokojem, wiedząc, że nie musiałby jej nawet prosić o spotkanie w jednej z królewskich sypialni. Mijali więc, milcząc, kolejne fragmenty ogrodu, kierując się ku fontanom i rzeźbom.

– A tu jest zegar słoneczny. Chłuba królewskiego ogrodu – powiedziała spokojnie Krystyna.

Wyczuła, że namiętność, zuchwałość i dystans najbardziej działają na Konrada. Postanowiła więc oprowadzać go ze spokojem i poczekać na rozwój wydarzeń.

Zegar wyglądał malowniczo. Stał pośrodku kolistej alejki, od której prowadziły kolejne ścieżki. Wskazówką zegara był okazały posązek przedstawiający żołnierza z wyciągniętym rapierem. Wskazywał godzinę obiadu.

– Pora już wracać. Jutro z chęcią pokażę panu dolny ogród. Warszawa to miasto grzechu, proszę o tym pamiętać – powiedziała Krystyna, a jej słowa wyraźnie coś zapowiadały.

Izba stołowa była już gotowa na bankiet. Zewsząd nadchodzili goście. Z uwagi na polityczny charakter spotkania dam było niewiele. Przed izbą tłoczyli się za to magnaci i szlachta. Nastroje były wyborne, choć – jak to bywa przy okazji większych uroczystości – niektórzy tylko czekali, żeby skoczyć sobie do gardeł. Rozmawiano w małych grupach, bo każdy chował prywatne urazy.

Konrad z radością powitał Jana Sobieskiego. Nie widział go od czasu wojny ze Szwedami, więc najpierw uważnie mu się przyjrzał. Świeżo mianowany hetman nadal był pełny zapału. W jego oczach można było dostrzec dumę i błysk chwały. Znała go przecież cała Rzeczpospolita i nie było chyba w kraju człowieka, który by nie wiedział, kim jest Sobieski. Hetman przyglądał długie wąsy i popatrzył z uznaniem na Konrada.

– Gdyśmy się ostatni raz widzieli, byłeś podrostkiem, bracie. A teraz wyrosłeś na kawał żołnierza. Choć i ze Szwedami biłeś się zacnie.

– Teraz musi się sprawdzić z Lubomirskim – wtrącił zjadliwie hetman polny litewski Michał Kazimierz Pac.

Wyglądał na awanturnika i był nim w istocie. Nie cierpiał Sobieskiego, ale król liczył na to, że bankiet i wspólna wyprawa na Lubomirskiego zdołają pogodzić obu hetmanów. Tymczasem jednak blade oblicze Paca zetknęło się niemal z twarzą Sobieskiego. Król wszedł między nich, widząc napięcie.

Sala bankietowa wyglądała imponująco. Sklepienie zdobił piękny fresk. Stoły zajmowały całą długość izby. W rogu stał wysoki kredens ze srebrną zastawą. Na stole leżały trzy adamaszkowe obrusy, co również podkreślało wagę spotkania. Najpierw miejsca zajęła para królewska. Potem zaczęli zasiadać do stołu magnaci, wojewodowie, senatorzy, marszałkowie, wszystkie najważniejsze osoby w państwie.

Nie było łatwo ulokować gości. Niektórzy przepychali się, rościli sobie prawo, by siedzieć bliżej króla, i wchodzili w spory. Za czarną owcę uważany był Hieronim Radziejowski, którego Jan Kazimierz wzywał na dwór tylko przy okazji trudnych sytuacji dla państwa. Teraz też pojawił się, łypiąc oczami we wszystkie strony, by nie spotkać się z atakiem magnatów. Nie czuł się bezpieczny podczas bankietów, nawet jeśli ochraniała go

królewska władza. Niektórzy, chociaż jeszcze trzeźwi, już patrzyli wrogo na byłego podkanclerzego.

Król wstał, by wyznaczyć miejsca dla gości według uznania i zasług. Nie było to łatwe i groziło konfliktami. Urażona magnateria łatwo wpadała w złość i długo chowała urazę. Słowo Jana Kazimierza było jednak najważniejsze. Król zacisnął zęby i wskazywał miejsca najgniewniejszym gościom. Trwało to na tyle długo, że słudzy spoglądali po sobie z niepokojem, martwiąc się, że wystygnie pieczone.

W końcu jednak król odetchnął – nikt się nie obraził. Dwaj słudzy wnieśli srebrną misę sporych rozmiarów. Uginali się pod jej ciężarem, bo kazano wody nalać do pełna. Przed sługami szedł jeden ręcznikowy z tuwalniami do wytarcia rąk. Każdy w milczeniu zanurzał ręce w srebrnej misie, a następnie chwycił ręcznik.

Konrad przypatrywał się Krystynie, która na wieczorny bankiet ubrała zielonkawą suknię. Włosy upięła wysoko, a fryzura uwydatniła jej szlachetne kości policzkowe. Na szyi zawiesiła duży naszyjnik zdobiony szafirami. Ostatni kamień sięgał dekoltu spiętego ciężkim wiązaniem gorsetem. Namiestnik spoglądał na nią ukradkiem, udając, że wcale na nią nie patrzy. Krystyna zaś bez skrępowania wlepiła w niego zielonkawę tęczę. Wydawała się znudzona i zła, że siedzi tak daleko od obiektu pożądania.

– Wezwałem was dziś, bracia i przyjaciele, na bankiet nie byle jaki. Wam, tak jak i mnie, sprzykrzył się jeden człowiek, który hańbą okrywa całą Rzeczpospolitą i śmieje nam się w nos. Tak, Jerzy Sebastian Lubomirski śmieje się nam w nos! – zaczął król.

Zewsząd dochodziły słabe pomruki poparcia. Nie śmiano jednak podnosić wrzawy.

– Dlatego zebraliśmy się nie tylko po to, by świętować, lecz także, by porozmawiać i wspólnie określić, czy ruszamy na łotra, czy nie. Może ktoś ma inny pomysł, jak go zwabić? Zjedźmy wieczerzę, posłuchajmy pieśni, a potem naradźmy się wspólnie, gdy damy nas opuszczać – dodał monarcha.

Dopiero teraz zawołano na wiwat. Służba wniosła półmiski, jedne okazalsze od drugich. Hajducy krzatali się, by wykonać polecenia gości. Na stole znalazły się mięsa w przyprawach. Do dań podano też sosy – chrzanowy do dzika i wiśniowy do sarniny. Krajczy przechodzili między gośćmi i rozdzielali równe płyty mięsa gościom. Jeszcze nie rozpoczęto uczty, a służba już wносиła kurze udźce w zawieszonym sosie szafranowym i pasztety ze śliwkami i z żurawiną.

Bankiet rozpoczął się po modlitwie. Konrad jadł i zachwycał się smakiem mięsa. Tu i ówdzie słyhać było okrzyki podziwu dla służby królewskiej i kuchmistrza. Dania udały się wybornie, więc goście jedli szybko i zachłannie. Chętnie popijali piwo podane w cylindrycznych szklankach. Niektórzy już marzyli o drogich winach i toastach.

Przy pierwszym daniu rozmawiano niewiele. Słyhać było mlaskanie i westchnienia. Konrad jadł i pił także, ale ukradkiem spoglądał na gości, najczęściej na Krystynę. Iłowiczowa zachowywała się inaczej niż jeszcze przed chwilą. Spokojnie przeżuwała kolejne kęsy, patrząc w talerz.

– Słyszałem, że z panną Katarzyną z Andruszkiewiczów, waszmość, się żenisz – powiedział Sobieski siedzący obok Konrada.

Widać było, że dziwi go, dlaczego namiestnika chorągwi husarskiej posadzono obok niego, nie zważając na to, że byli znamienitsi goście. Sobieski nie był jedyny. Wielu zerkało na Konrada, zastanawiając się, dlaczego król pozwala mu siedzieć przy hetmanach. Towarzystwo było na razie zbyt trzeźwe, by to osądzać.

– Sam nie wiem, czy się żenię. Chyba przepadło – odparł Konrad ze smutkiem w głosie. – Wyjechałem z zaręczyn po dwóch awanturach i nie wiem, która gorsza.

– Bracie, przecież ty nie jesteś Tatarem, żeby się kłócić przed ożenkiem – zdumiał się Sobieski, mrużąc oczy. – Coś tam nawywijał?

– Na własnych zaręczynach odwiozłem nocą mieszczkę, która mi pomogła, a potem powiedziałem gościom i ojcu o powołaniu królewskim. Nie przyjęli wiadomości przychylnie.

Sobieski popatrzył na Konrada uważnie, po czym rubasznie się roześmiał, aż część gości zwróciła na niego uwagę.

– Przednia historia! Panna się obraziła?

– Na amen. A potem już nie miałem jak z nią pomówić, bo wszyscy zaczęli się bić, gdyż część jest za królem, a część za Lubomirskim. Andruszkiewiczowie i mój ojciec miłościwego króla nie znoszą, więc chyba zaręczyny zerwane.

Sobieski udawał, że je, a tak naprawdę zasłaniał usta, by nie urazić Konrada śmiechem. W końcu nie wytrzymał i roześmiał się pod nosem.

– Wybacz, bracie żołnierzu, że się tak śmieję, ale takiej historii jeszcze nie słyszałem, choć żyję już trochę na świecie i z wieloma osobistościami ucztowałem.

– Może to i zabawne – powiedział Konrad nieco urażony – ale nie mam żadnych informacji z domu i od waćpanny Katarzyny. Zerwałem się na koń i czym prędzej przybyłem do Warszawy.

– Znaczy uciekłeś? – poprawił Sobieski, dusząc się ze śmiechu.

Konrad poczuł niechęć do hetmana i nic już nie odpowiedział. Żałował, że zwierzył się Sobieskiemu, choć w jego gorzkim pytaniu kryła się prawda.

– Aj, dziewczki są jak śnieg w marcu – pojawiają się i znikają. Znajdziesz inną, bracie. Sławę zyskałeś już na całe życie – stwierdził Sobieski po chwili, chcąc jakoś naprawić nietaktowne zachowanie.

– Może i tak, ale innego ojca już nie znajdę.

Hetman pokiwał głową na zgodę, wzruszył ramionami i położył obgryzione kurze udko na srebrnym talerzu.

– Ot, prawda. Żonę sobie możesz wybrać, ale rodziny nie.

Tymi słowami Sobieski zostawił Konrada i zajął się rozmową z Janem Kazimierzem. Konrad spojrział jeszcze raz na Krystynę, ale jej spojrzenie świdrowało wszystkich poza nim.

– Do licha z tym – mruknął, po czym upił całą szklanicę miodu i polecił hajdukowi ją uzupełnić.

Tymczasem zdjęto pierwszy obrus i przyniesiono drugie danie. Na stole pojawiły się ryby w rodzynekach i mięsa z kapustą. Goście rozochocili się, rozmawiali, popijając piwo. Konrad spoglądał na Krystynę flirtującą z wojewodą ruskim i wychylał coraz więcej miodu. Naraz przypomniały mu się wszystkie przykrości, zaczął wspominać dzieciństwo, lata młodości, pannę Katarzynę i łodziankę.

Nawet z mieszczką mógłbym się ożenić, jeśli by nie flirtowała ze wszystkimi jak ta flądra Krystyna i nie obrażała się o wszystko jak Katarzyna – pomyślał śmiało. Był już pijany i złe myśli przychodziły mu do głowy.

Wszyscy bawili się świetnie, szybko wniesiono desery, zdejmując wcześniej kolejny obrus. Niektórzy nie mieli już sił, by kosztować serów, owoców i słodkich delicji, ale większość jadła dalej, mimo sytości. Konrad siedział smętny przy piwie, coraz mocniej popadając w melancholię. Przed toastem polecono damom opuścić salę. Krystyna wstała i przeszła wdzięcznie aż do pary królewskiej, by pokłonić się i podziękować za

bankiet. Gdy stała obok Jana Kazimierza razem z innymi kobietami, utkwiała wzrok w oczach Konrada i dyskretnym skinieniem palca zaprosiła go za drzwi. Następnie, jak gdyby nigdy nic, wyszła, uśmiechając się zalotnie. Jezierski spojrzął za nią gniewnie, ale płytki oddech i mętne spojrzenie zdradzały jego prawdziwe myśli.

Orkiestra królewska grała wesoło, ale głębokie dźwięki bandury i przenikliwe świsty lutni denerwowały Konrada. Poczuł, że nie wytrzyma dłużej i musi wyjść. Gdy tylko wniesiono węgryzyny i wypito toast na cześć pary królewskiej oraz gości, co trzeźwiejsi poczęli wstawać, by porozmawiać w większych grupach. W ogólnej wrzawie nikt nie zauważył Konrada, który wymknął się w ślad za Iłowiczową.

Krystyna stała na dole schodów.

– Myślałam, że nie przyjdiesz. Nie pokazałam jeszcze dolnego ogrodu – powiedziała, ale nie zdążyła dodać niczego, bo młody żołnierz złapał ją w pasie i pocałował.

Nie wiedział dokładnie, co robi, ale było mu wszystko jedno. Oderwał usta od warg Krystyny i popatrzył na jej zdumioną twarz, dysząc ciężko.

– Chodź – szepnął i ujął Iłowiczową za nadgarstek.

Szybko przeszli schodami do królewskich sypialni. Konrad czuł, że kręci mu się w głowie. Nie kontrolował pożądania. Oddychał płytko i szybko, a przed oczami stawały mu czarne pulsujące plamy. Gdy zamknął drzwi sypialni, Krystyna rzuciła się na niego, wpijając wargi w jego usta. Całowali się namiętnie, jakby bali się, że ta chwila prędko minie.

Konrad próbował rozplątać wiązany gorset Krystyny, ale ręce drżały mu tak mocno, że nie mógł tego zrobić. Ścisnął więc sznur i przerwał. Rozległ

się cichy dźwięk rozdzieranego materiału, a Krystyna westchnęła z podniecenia.

– Nie masz zasad – parsknęła żartobliwie i zrzuciła z siebie gorset.

Konrad nie odpowiedział. Zdjął ubranie i rzucił Krystynę na łożo. Hłowiczowa zaczęła wyciągać wstążki, pozwalając rudym włosom spłynąć na poduszkę. Namiestnik przytrzymał ręką brodę Krystyny, odchylił ją stanowczo i wgryzł się w łabędzią szyję.

Pieszczoty sprawiały jej przyjemność. Jęknęła cicho i lekko uniosła się na łożu, chwytając dłońmi pierzynę. Konrad całował dalej, schodząc coraz niżej, docierając do piersi i brzucha. Skóra Krystyny pachniała kobieco i ponętnie. Westchnienia podkanclerzowej dodawały Konradowi animuszu. Rytm obu ciał zgrał się i oboje zażywali rozkoszy w namiętym uścisku.

XVI



Ciało Paczoskowej dyndało na sznurze. Łodzianie zauważyli je następnego dnia poszukiwań. Nieszczęsna kobieta powiesiła się przy trakcie prowadzącym do Zgierza. Był to widok upiorny i smutny. Błada postać zlewała się z jasną poplamioną koszulą, a wiatr kołysał wychudzonym ciałem niby piórkiem. Paczoskową znalazł Staszko, który szukał dobrego miejsca do rysowania. Najbardziej lubił gryzmolić przy głównych traktach, bo piasek był tam mocno ubity. Twardszy był tylko na rynku, ale Staszek rzadko tam chodził.

Paczoskowa wisiała na grubej gałęzi rozłożystego drzewa. Poplamione ubranie i cienkie tłuście blond włosy nie pozostawiały złudzeń – to była ona, najbiedniejsza pośród biedoty.

– A żeby ją psy zjadły! – krzyczał Paczosek, spoglądając ze wstrętem na wiszącą żonę. – Co to za dziewczka, która własne dzieci w obliczu nędzy zostawia?!

– Wiesz, że trzeba będzie ją zagrzebać poza miastem? Kto sam siebie zabija, popełnia morderstwo i nie zasługuje na godny spoczynek – powiedział cicho ksiądz, nachylając się dyskretnie do ucha Paczoska.

– Bardzo dobrze – odparł teatralnie Paczosek, zwracając się do tłumu.

Jednocześnie obleciał go strach, by zmarła żona nie pojawiała się nocą w miasteczku.

Kazano łodzianom rozejść się i nie gapić. Chodziło o kobietę, która popełniła niewybaczalny grzech. Część mieszkańców nie dziwiła się jednak jej śmierci. Nikt nie mógł tego głośno powiedzieć, by nie zostać posądzonym o obrazę Boga. Skrycie żałowano nieszczęsnej Paczoskowej, ale głośno rozmawiano z oburzeniem o samobójczej śmierci. Dopiero w samotności przychodziła łodzianom chwila refleksji.

Myślała o tym także Wanda. Potrzebowała kogoś mądrego, bo była coraz mniej pewna swego i zagubiona. Z jednej strony życie łodzian, a z drugiej rady dziaduszki Jerzego Sobótki.

Dziaduszko na pewno żałowałby Paczoskowej i nie rozpowiadał głośno o tym, że za samobójstwo należy jej się największa kara – pomyślała dziewczyna, układając się do snu. Słyszała, że przez miasteczko przechodzą ławnicy i wójt. Zapewne obmyślali, kiedy zdjąć ciało z drzewa i jak zakopać je, by nikt nie zauważył.

Paczoskową faktycznie załadowano nocą na wóz i wywieziono poza Łódź. Tam wykopano dół i strącono do niego jej ciało kopniakiem, żegnając się co chwile. Strach ponurych grabarzy był tak wielki, że chowali Paczoskową po kwarcie wódki i modlili się głośno.

– Trzeba jej odciąć głowę, bo pojawi się w mieście i będzie nas straszyć – wybełkotał nędzarz, którego wójt najął do tej przykrej roboty.

– Co racja, to racja – odparł Gliniewicz, wychylając się nieco z kozła, by oświetlić drogę pochodnią.

– A dostanę za to jeszcze porcję mięsa i kosz sera? – upewnił się nędzarz, spoglądając nieufnie w stronę wójta.

Blask pochodni oświetlił jego twarz. Wyglądała jak pomarszczona maska pełna brodawek i bruzd. Na policzku biedaka widniały dwie

zabliźnione proste szramy. Oczy nędzarza były mętne, postura przygarbiona, a wyraz twarzy dziki. Miał na sobie szmaty, które zakrywały go od łydek aż po głowę, tworząc u góry ciepły kaptur.

– A niech cię, łachudro – machnął niedbale Gliniewicz.

Chciał jak najszybciej uciec z tego miejsca. Oświetlił więc dół pochodnią, dając ławnikom znak, by też się zbliżyli. Ogniste światło padło na dół. Nędzarz wziął tępą, katowską siekierę i z całej siły zamachnął się, odcinając Paczoskowej głowę. Następnie chwycił za włosy i przeniósł ociekającą krwią głowę między nogi kobiety, by nie mogła wstać z grobu pod postacią upiora. Ciało zakopano i nie wracano do tej sprawy już nigdy więcej.

Paczosek nie żałował żony, ale szybko zaczął odczuwać jej brak. Zwykle to ona opiekowała się dziećmi. Dawała im jeść, przytulała i układała do snu. Pilnowała, by łątać co większe dziury i wyprawiać pociechy na niedzielne nabożeństwo. Zawsze była wycofana, choć obecna, małomówna i skryta, ale odważna i sumienna.

Mężczyzna zaczął więc budować na zgliszczach nowy dom, pomieszkując z dzieciarnią na plebanii. Oglądał się przy tym za nową żoną, ale żadna łodzianka nawet nie spojrzała w jego stronę, choćby była starą panną bez szans na zamążpójście. Taka była jego jedyna kara.

Dni lipca mijały spokojnie. Wanda niezmiernie pracowała w polu, ocierała pot z czoła i rozmyślała o Konradzie. Czy to nosiła wodę, czy karmiła bydło, w jej głowie było miejsce tylko dla jednej osoby. Każdorazowy powrót do rzeczywistości mierzył ją jak gwałtowny podmuch zimowego wiatru. Chciała, by zostawiono ją w spokoju i pozwolono na całodzienne marzenia.

Gdy Wanda zamyślała się za bardzo, Zofia brutalnie wytrącała ją z marzeń.

– Wanda, słyszysz mnie w ogóle?! Nawet nie wiesz, co do ciebie gadam.

– Widać, że jest zbyt zajęta myślami o szlachcicu – wtrącił zjadliwie Wiesio kręcący się z motyką obok pola Sobótków.

Wanda aż syknęła z oburzenia, ale najgorsze było to, że Wiesio mówił prawdę, choć nikt w miasteczku nie dowierzał już podobnym plotkom. Żelichowski wiedział jednak swoje. Jak przystało na baczego obserwatora, wychwytywał nostalgiczne spojrzenia sąsiadki i przypisywał je skrytej miłości. Nie wiedział jednak, że uczucie Wandy jest tak silne, że żadne żarty i złośliwości nie sprowadzą jej na ziemię.

– A może masz już nowy afekt? – zapytał jeszcze Wiesio, zbliżając się do Wandy.

Dziewczyna wyprostowała się i stanęła naprzeciwko Wiesia, pokazując mu, że się nie boi. Jej groźne spojrzenie prześwidrowało go na wskroś, zdumiewając zarówno Zofię, jak i Żelichowskiego. Niebieskie oczy Wandy pałały nienawiścią, aż zaniepokojony sąsiad cofnął się i stulił gębę.

Codzienna praca w polu byłaby zapewne dla Wandy nie do wytrzymania, ale myśli o Konradzie wypełniały całą głowę. Żar lał się z nieba i nie oszczędzał ani hektara ziemi. Przesuszona trawa kołysała się przy leniwych podmuchach, a bydło leżało na ugorze i było tak umęczone upałem, że nie chciało nawet wracać wieczorami do zagród. Tak wyglądała Łódź w tym dziwnie spokojnym lipcu. Wyczuwało się w powietrzu coś dziwnego, niby złośliwą zawiesinę rozlewającą się nad miastem. Nikt jednak nie przypuszczał, że Wiesio planuje obrzydzić Wandzie resztę życia.

Toteż niezwykle zdziwiono się, gdy Wiesio ogłosił, że Stachu Grosik za namową Wandy Sobótkówny kradnie jabłka księdza. Gliniewicz zmrużył

oczy i popatrzył na Żelichowskiego z niechęcią.

– Prawda to, czy znowu oszczerstwo z twoich ust wychodzi?

– Prawda! Widziałem za wzgórzem – odparł Wiesio, bijąc się w pierś na znak tego, że mówi prawdę.

– Co żeś robił za Górkami?

– Chciałem pójść na cmentarz do świętej pamięci babuszki, by się pomodlić za jej duszę – skłamał gładko chłopak.

W rzeczywistości podążał za Wandą, gdziekolwiek ją zobaczył.

– Dlaczego Wanda Sobótkówna miałaby namawiać biedotę na kradzież jabłek księdza?

– Myślę, że niecne procedery ma w głowie panna, choć się do tego nie przyznaje.

– Mścisz się, bo cię odrzuciła, przecież Wanda to dobra dziewczka – stwierdził Gliniewicz, ale szczerze zachowanie Wiesia kazało mu się zastanowić nad jego słowami.

– Dobra dziewczka nie zrywa jabłek parafialnych i nie oddaje ich biedocie. Dobra dziewczka pracuje w polu i żeni się z kim obiecano – podkreślił Wiesio, ale naraz zmieszał się, bo Gliniewicz wyczuł prywatę.

– Dowiem się, czy Grosik zerwał jabłko. Jeśli tak jest, jak mówisz, to Grosiki zapłacą surową karę.

– A Sobótkówna bez kary zostanie?! – wykrzyknął Wiesio, podchodząc groźnie do wójta.

Gliniewicz aż parsknął z oburzenia. Stał tuż przy Żelichowskim, chwycił go za koszulinę i przyciągnął jego twarz do swojej.

– Uważaj, bo mam kozacki samopał.

Odepchnął Wiesia i ze wstrętem wskazał mu drzwi.

Żelichowski wyszedł od wójta w poczuciu krzywdy i niesprawiedliwości. Trząsł się cały z wściekłości. Zagryzł zęby i jak niepyszny poszedł do domu. Po drodze nie witał się z nikim, tylko rozmyślał, jak przekonać łodzian o tym, że Wanda źle się prowadzi. Nie mógł już wymyślić kolejnej plotki, bo nikt by w nią nie uwierzył.

Gdy Wiesio doszedł do domu, zobaczył, że Wanda wiesza na płocie upraną koszulę. Podeszedł więc do niej.

– To jeszcze nie koniec, znajdę na ciebie sposób – warknął.

Sobótkówna udała, że słowa sąsiada nie robią na niej wrażenia. Jednak w rzeczywistości zmartwiła się, bo pojęła, że Wiesio kolejny raz próbuje uknuć jakąś intrygę. Poczwała w sercu ukłucie niepokoju.

Ulicą szła Szczygłówna. Wywodziła się z bogatej rodziny, ale po wojnie nie wiodło jej się najlepiej.

– Co tam, Szczygłówna? – zapytała Wanda przez płot.

Miała nadzieję, że dowie się czegoś na temat nowej intrygi Wiesia.

– Stara bida – odparła dziewczyna.

Była to ładna szatynka o jasnych oczach i ciemnych włosach, które zaplatała w warkocze. Chłopcy szaleli za nią i zapowiadali gotowość do ożenku, choć Szczygłówna była jeszcze na to za młoda. Jej rodzice konsekwentnie odrzucali adoratorów, mając nadzieję, że w konkury przyjdą synowie bogatego Drewnowskiego, który naprawdę nazywał się Drewno.

– Jest w mieście jakieś poruszenie? – zapytała Wanda, patrząc dziewczynie głęboko w oczy.

Maryś zamyśliła się.

– Podobno wójt wywalił na zbity pysk Wiesia Żelichowskiego i groził mu samopałem – powiedziała.

Wanda aż wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Co ty mówisz, Maryś! Za co pan wójt się pogniewał?

Marysia tylko spuściła wzrok, a policzki zaczerwieniły jej się ze wstydu.

– Ja tam nie wiem... – szepnęła wstydliwie.

– Nieładnie kłamać, Marysiu. Powiedz, czy to poszło o mnie?

– O Stacha Grosika i o ciebie, Wandziu. Ale pan Gliniewicz się za tobą wstawił.

– Jabłka... – szepnęła Wanda, patrząc z przerażeniem w szczerze oczy Szczygłówny.

W lot pojęła, czego mogła dotyczyć sprawa. Pożegnała się z Marysią i wybiegła na ulicę, kierując się w stronę ratusza.

Był to niewielki, obskurny dom z drewna, ale wyróżniał się na tle miejskich chat. Stał na rynku niczym spokojna prostokątna bryła. Z dołu widoczne były okna, z których zwykle wyglądał Gliniewicz obserwujący panoramę.

Zdyszana Wanda wbiegła do ratusza, wpadając prosto na pisarza Piekarczyka.

– Uważaj, jak chodzisz! – krzyknął Piekarczyk, przytrzymując Wandę za koszulę. – Gdzie się tak spieszysz?

– Muszę do wójta – odpowiedziała zdyszana dziewczyna.

Nie miała żadnego planu, ale czuła, że nie może zostawić Stacha na pastwę losu. Jerzy Sobótko by nie uciekł, tylko walczył. Ta myśl paliła Wandzine wnętrze i nie pozwalała przejść obojętnie obok krzywdy Grosików. Serce biło jej niespokojnie i już myślała, że Piekarczyk wygoni ją z ratusza, ale tylko spojrzął na nią uważnie.

– Wójt jest u siebie, ale teraz nie można tam wchodzić – powiedział niechętnie. – Wezwano Grosików na przesłuchanie.

– Ja właśnie też mam coś do powiedzenia.

Piekarczyk zmrużył oczy i puścił zmiętą koszulę Wandy.

– Ty oczyszczona jesteś z zarzutów przez wójta. Czego jeszcze chcesz?

– A pies cię drapał – warknęła zniecierpliwiona Wanda, po czym zerwała się do ucieczki i pobiegła schodami na piętro.

– Zaczekaj! Tam nie można! – krzyknął Piekarczyk i pobiegł za Wandą.

Zatrzymał ją na schodach i już chciał zrzucić z nich za zniewagę, ale dziewczyna krzyknęła i przytrzymała się drewnianej poręczy.

– Ja muszę do wójta!

– Ty licha dziewczko! – warknął Piekarczyk, starając się odciągnąć Wandę od poręczy.

Wtem drzwi u góry otworzyły się z głośnym piskiem i na ciemny korytarz wyszedł Gliniewicz.

– Co to za hałasy?! Co to za jarmark?! Janie, co ty wyprawiasz z tą panną?

Wójt aż wytrzeszczył oczy, widząc zaciętą minę Piekarczyka.

– Chciała przeszkodzić w przesłuchaniu.

– Ładnie to traktują ludzi w ratuszu – syknęła Wanda. – To jest także moja sprawa.

Wójt poczerwieniał i gestem zaprosił Wandę na górę, przy czym spojrzał na Piekarczyka z niezadowoleniem.

– Ty też chodź, jesteś mi potrzebny.

Sobótkówna weszła na korytarz i znalazła się w niewielkim, ale długim pomieszczeniu, z którego prowadziło kilka par drzwi. Weszli do skromnej izby przy końcu korytarza. Stało tam biurko, krzesło i niewielki regał z książkami, przy którym zasiadł Piekarczyk.

W kącie stali Stachu Grosik i jego matka. Oboje spuścili głowy, jakby od razu poddali się i czekali na karę. Łzy ciekły Staszкови po policzkach i kapały na drewnianą podłogę. Oboje wyglądali żałośnie i tak też patrzył na nich Piekarczyk. Po chwili wziął papier i pióro.

– Zapisz, że pojawiła się na przesłuchaniu również Wanda Sobótko – polecił wójt i zasiadł do biurka. Przyglądał siwiejące wąsy, dosunął krzesło i odchrząknął, wlepiając w dziewczynę wzrok.

– Pewnie jesteś zaniepokojona sprawą, w którą niesłusznie wmieszał cię Wielisław – powiedział. – Nie musisz się jednak bać, bo poręczyłem za ciebie. Wiem, żeś dobre dziewczę i do kradzieży jabłek nie namawiałaś.

Wójt patrzył na Wandę dobrotliwie, ale zauważył, że nadal jest niepewna i spogląda na Grosików, jakby chciała coś powiedzieć. Nic jednak nie przechodziło jej przez gardło.

– No dobrze – powiedział wójt niedbale – co wiesz o kradzieży jabłka z Górek Plebańskich?

– Czy Grosiki dostaną karę? – zapytała Wanda.

– O tak, Stanisław już się przyznał. Zeznał, że poszedł na Górki, by pomodlić się za zmarłych, a szczególnie za naszego wspaniałego rolnika Jerzego. Powiedział, że wziął ze sobą kijek, bo lubi gryzmolić w piachu niedaleko tego miejsca. Gdy się modlił, zauważył jabłoń. Rozejrzał się, czy nikt nie idzie, i zerwał jabłko.

– Musiał być bardzo głodny – wtrąciła Wanda.

– Od kiedy to panienka ujmuje się za biedakami? – zapytał wójt, sądząc, że przez Wandę przemawia zwykła dziewczęca dobroć.

– Sławetny panie wójcie – odparła uprzejmie Wanda i skłoniła się lekko – co z nimi będzie dalej?

Grosikówna spojrzała na dziewczynę z wrogością i już miała spytać, dlaczego Wanda wstawia się za jej rodziną, ale ubiegł ją wójt.

– Co cię to obchodzi? Mały Stanisław Grosik winny jest kradzieży jabłka, które było własnością księdza. Gdyby do niego przyszedł i poprosił, zapewne ksiądz dałby mu jabłko. Tyle mogę powiedzieć, a wyrok – powiedział i zamyślił się na chwilę – wyrok musi być surowy. Rodzina Stanisława Grosika dostaje grzywnę dwudziestu groszy.

Grosikówna z impetem trzepnęła syna w głowę, po czym rozpląkała się i skłoniła nisko, prawie do samej ziemi.

– Łaskawy panie, przecie to zbyt surowa kara. Dzieciak nigdy nie kradł, ja pilnowałam! A tu raz nie patrzyłam i pobiegł po jabłko, bo my w nędzy żyjemy, że strach. Nas nie stać nawet na opłacenie podatków, a co dopiero taka grzywna! Ja się głowię całymi dniami, jak tu pogłównie opłacić, a ten hultaj jabłka kradnie i to księdza!

To mówiąc, Grosikówna kopnęła Staszka i jeszcze raz skłoniła się do ziemi, przyciskając dziecko, by zrobiło to samo.

– Nie będzie procesu? – zapytała Wanda.

– Po co proces robić i ławników wołać, skoro sprawa jest oczywista?

Wanda aż zadrżała na myśl o tym, co Grosikówna zrobi ze Stachem, gdy wróca do domu. Rozczuliło ją też to, że dziecko jej nie wydało.

– Staszek nie zerwał jabłka – powiedziała Wanda z mocą. – Ja to zrobiłam.

Gliniewicz aż wstał. Piekarczyk podskoczył i czym prędzej zapisał rewelację.

– Co też opowiadasz?! To Wielisław miał rację?

– Nie, ja sam! – krzyknął Stachu w obronie Wandy.

– Staszko jest zbyt niski, by zerwać jabłko. Ja to zrobiłam, choć wiem, że to straszny czyn. Ale to mówię i to ma zostać zapisane – powiedziała Wanda, patrząc znacząco na Piekarczyka. – Mnie najdroższy dziadunio nauczył ważnej rzeczy. Jak ktoś nie pomoże biedniejszemu od siebie, to nie

ma prawa nazywać się człowiekiem. A tu nikt nie pomaga i oczy wszystkich odwróciły się nie tylko od biednych, ale od wszystkich. Odwróciliśmy się od siebie, czego kiedyś nie było, jak opowiadał mi dziaduszek. Wszyscyście go szanowali i uważaliście, że jest mądrym człowiekiem, choć upartym i śmiesznym. Ale mój dziadunio, świętej pamięci Jerzy Sobótko, nie pozwoliłby na to, żeby się innym działa krzywda. Grosiki nie mają czego jeść, a występki ukarać trzeba. Ale dwadzieścia groszy to by nawet w Warszawie nie zapłacili za karę – mówiła Wanda. – Jeśli Grosiki mają zapłacić dwadzieścia groszy, to proszę pokornie, sławetny panie wójcie, żeby rozłożyć im karę i mnie dać połowę.

Zrobiło się cicho. Wójt zasępił się i spojrzął z niechęcią na przesłuchiwaną trójkę. Zobaczył więc Stacha i jego zasmarkany od płaczu nos. Przeniósł wzrok na chudą Grosikównę bijącą pokłony prawie do ziemi. Wreszcie spojrzął na Wandę.

– Dlaczego wspomniałaś Warszawę? – zapytał nieoczekiwanie.

– Bo to stolica i wyroki tam wyższe mogą zapadać.

– No tak, no tak... – mrucał wójt, patrząc nieufnie na dziewczynę – a nie dlatego, że tam właśnie przebywa jaśnie pan Konrad Jezierski?

Wanda poczuła, że słabnie i krew napływa jej do twarzy. Przypomniała sobie jednak obietnicę złożoną Konradowi i wytrzymała podejrzliwe spojrzenie wójta.

– Dlaczego miałby mnie obchodzić jaśnie pan Jezierski? – zapytała cicho.

– Nie wiem, ale może Wielisław się nie pomylił, tylko nikt go nie chciał słuchać? – zapytał wójt, pochylając się i patrząc wyczekująco na Wandę.

– Plotka była nieprawdziwa i nigdy nie miałam samotnej chwili z panem Jezierskim. Czym innym jest występki, a czym innym pomoc dziecku – odparła dziewczyna dość pewnie.

Gliniewicz westchnął i popatrzył na Wandę poirytowany.

– Nie nazywaj kradzieży pomocą, panienko. Na twoim miejscu szukałbym dla siebie partii, bo miesiące lecą, a ty wciąż samotna – mówił wójt, podkreślając ostatnie zdanie.

Dziewczyna skinęła głową i dygnęła z gracją, choć miała raczej ochotę rzucić się na wójta z pięściami. Przyszła jednak po to, by ponieść część kary.

– I co, mam teraz ławników zbierać na proces? – zapytał wściekle wójt.

Nie uśmiechało mu się to.

– Nie trzeba, wystarczy, jeśli zapłacimy po połowie – rzekła Wanda, wiedząc, że dziesięć groszy grzywny to i tak wystarczająca kara dla Grosików.

Nie była to mała suma, ale Grosikowa po raz pierwszy popatrzyła na Wandę z wdzięcznością.

– A niech tak będzie! – machnął ręką Gliniewicz i wyprosił całą trójkę z izby.

Po Łodzi zaczęto opowiadać nową rewelację. Sobótkowie byli źli na Wandę, ale głęboko w sercu czuli dumę. Jako jedyni znali Jerzego Sobótkę na tyle, by wiedzieć, że postąpiłby tak samo. Wiesio chodził zaś po mieście i – korzystając z sytuacji – podjudzał nienawiść do sąsiadów. Każde jego słowo traktowano ostrożnie, ale nie wierzono już Wandzie bez solennego zapewnienia. Na razie jednak dziewczyna zbytnio się tym nie przejmowała, niezmiennie uciekając w marzenia. Codziennie wieczorem zachodziła na Górki, by w myślach opowiedzieć dziaduszkowi o kolejnym dniu, miejscowych sensacjach i swoich myślach. Tylko przed starym Sobótką nie miała żadnych tajemnic.

Tymczasem łodzianką zainteresował się brat Marysi Szczygłówny podziwiający upór i hardość Wandy.

Co to byłaby za radość, mieć żonę silną i surową! Taką, która nie zgadzała się na wszystko. Inne łodzianki mogą jej stopy całować. Wzięła na siebie część grzywny, ha! Co za dziewczę. I sama się przyznała do kradzieży – wzdychał Andrzej Szczygieł.

– Nie wiem, co cię w niej tak zachwyca. Bezczelna panna – mówiła matka.

Marysia słuchała rozmowy i łuskała groch w kącie izby. Uśmiechała się pod nosem, bo Andrzej miał ognisty temperament i zakochiwał się w pannach uchodzących za skandalistki. Takich dziewczek było wówczas niewiele, więc Andrzeja fascynowało nawet najmniejsze odstępstwo od zwyczajności.

Andrzej miał okrągłą twarz i niewyraźne rysy. Nie był piękną, ale było w nim coś ujmującego. Prosty, nieco perkaty nos, uroczo komponował się z pełnymi policzkami. Ciemne brwi, niczym skrzydła, górowały nad głęboko osadzonymi oczami. Andrzej miał spojrzenie jasne i pełne energii. Broda młodego Szczygła kończyła się zgrabnie, lecz nagle, jakby bez namysłu. Czy to sympatyczny uśmiech, czy szczere spojrzenie? Dość że panny oglądały się za nim.

Kawaler starannie przyglądał się łodziankom podczas nabożeństw. Najbardziej jednak zajmowała go Wanda z blond warkoczem i chabrowym zamyślnym spojrzeniem.

– Ona tak patrzy, jakby całą miłość miała w sobie – mówił matce.

– Chyba do Jezierskiego – mruzczała cicho pani Szczygłowa znad talerza mącznych klusek.

Andrzej udawał, że nie słyszy matczynych uwag i uśmiechał się ciepło do młodszej siostry.

Rodzina Szczygłów była niegdyś jedną z bogatszych łódzkich rodzin. Kiedy kwitnął handel, ojciec Andrzeja otwierał przydomową kramnicę i sprzedawał ludziom to, co zwiózł. Było tego dużo: drewniane dzieże i fasy, talerze, a także materiały – najczęściej len i sukno. Oprócz tego pan Szczygieł przywoził od rzeźnika z Radogoszczy najlepsze mięso, a od Żydów z okolicznych wiosek ozdoby i barwne skrzynie. Żona dostarczała świeże owoce i warzywa, a gdy kury niosły lepiej niż zwykle, można też było kupić u nich jajka. Jan Szczygieł miał opinię najlepszego handlarza, a łodzianie podziwiali jego zręczność i miłe usposobienie. Chętnie odwiedzali kramnicę i wychodzili z niej zawsze z czymś nowym.

Szwedzi złupili dom Szczygłów, zabrali towar, wybili kury. Szczęśliwie dom nie spłonął, więc rodzina szybko odrobiła straty. Łodzi los jednak nie sprzyjał. A to najazdy, a to zaraza w rok po skończonej wojnie i śmierć najmłodszego syna. Małżeństwo Szczygłów przetrwało, ale skończyły się czasy świetności. Teraz Jan zajmował się tylko handlem obwoźnym, pożyczając konia od Moranowicza i oddając mu w zamian dużą część zarobionych pieniędzy. Nadal jednak Szczygłowie mieszkali tuż przy rynku i szczylicili się nieposzlakowaną opinią. Do małżeństwa z Andrzejem i Marysią nie brakowało chętnych.

– Wanda nie jest biedna. Nie jest też brzydka. A charakter ma, jak mała która! – śmiał się Andrzej, ale tak naprawdę próbował przekonać rodziców do wysłania swata.

– A skąd ty wiesz, że ona ciebie zechce? Żelichowskiego odrzuciła, a też był dobrą partią i w dodatku obiecaną – mówiła matka.

– Żelichowski potraktował ją jak ostatni łotr – oburzył się Andrzej. – A ja bym dla niej kwiaty zbierał i bym z nią rozmawiał po mojemu.

– Po twojemu? – zdziwiła się Marysia.

– Łuskaj groch. Za mała jeszcze jesteś, żeby słuchać, o czym rozmawiają dorośli – odparł wymownie Andrzej, a pani Szczygłowa stłumiła śmiech.

Rozmowy w domu Szczygłów trwały jeszcze kilka dni. Na koniec rodzice poddali się i zaprosili do domu Rocha.

– Żeby ci panna kłopotów nie przyniosła – powiedział swat na wstępie.

– Czemu miałyby przynieść?

– Żelichowski się na nią wziął i siłą chce ją mieć za żonę. A Wanda jak się uparła, tak nie zmieniła zdania. Wiesiek po mieście szaleje i rozpowiada jakieś rewelacje, więc reputację panny już zepsuł. Teraz przychodzę w swatę do wszystkich, tylko nie do Sobótków, bo nikt im nie ufa.

Szczygłowa się zasepiła.

– Co ci tak spieszno do ożenku? Poczekałbyś, może by się jakaś inna panna pojawiła, a nie ta Sobótkówna – pytała.

– Rochu, pójdz do Sobótków – poprosił niezrażony Andrzej. – Najwyżej podadzą czarną polewkę.

XVII



Konrad unikał Iłowiczowej jak ognia. Cały pałac szykował się do wyjazdu, więc na szczęście nie było czasu na schadzki. Krystynie to nie przeszkadzało i nachodziła Jezierskiego w najmniej spodziewanych chwilach. Odwiedzała stajnie, ogrody i kościół akurat wtedy, gdy był tam namiestnik. Starał się z nią nie rozmawiać, choć poczucie winy odzywało się często w jego sercu.

Krystyna chciała, by znajomość trwała do wyjazdu.

– I tak zostało mało czasu. Nikt ci nie obieca, że wrócisz z bitwy – mówiła. – Czemu więc nie spędzić miło jeszcze kilku chwil?

– Jak Bóg da, z wojny wrócę. A jak nie, to umrę z honorem.

Krystyna tylko parsknęła śmiechem, słysząc te słowa. Nie była jednak niegrzeczna i wiedziała, kiedy może pozwolić sobie na złośliwe uwagi.

– List z Chojen nie przyszedł? – pytała ironicznie.

Konrad tylko zaciskał zęby i za wszelką cenę starał się pokazać, że nie wzrusza go ta ironia. W rzeczywistości szczerze martwił się o rodzinę, bowiem list zwrotny nie przyszedł, a po królewskim posłańcu wszelki ślad zginął. Jezierski codziennie pytał o niego króla, ale Jan Kazimierz nie umiał mu powiedzieć, gdzie przepadł sługa.

– Wyślę drugiego, by go szukał – powiedział i wyprawił następnego posłańca.

Jednak i ten zniknął jak kamfora, gdzieś w lasach pomiędzy Warszawą a Chojnami. Konrad stracił dobry humor. Krystyna przekonywała go, by po wojnie z Lubomirskim przyjechał na stałe do Warszawy.

– Możemy poczekać na posłańca jeszcze kilka dni, ale niedługo trzeba będzie jechać – mówił Jan Kazimierz, przechadzając się z Konradem po górnym ogrodzie.

– Nie wiem nawet, czy wszyscy żyją. Ojciec w szale rzucał się na gości. Król spuścił wzrok.

– Nie chciałbyś zostać w Warszawie po skończonej wojnie z Lubomirskim? – zapytał z niepokojem. – Spodziewam się, że pobijemy go tym razem. Co zamierzasz robić potem? Czy wrócisz do Chojen? Ojciec wygna cię z domu.

Konrad zasepił się. Przypomniawszy sobie spokojny folwark na wsi, okoliczne bory sosnowe, wśród których się wychował, i pobliskie miejscowości odwiedzane przy okazji targów i jarmarków.

Jak ja miałbym opuścić na zawsze Chojny? Nie zobaczyć już nigdy Łodzi, Piotrkowa, Rzgowa? – myślał, a refleksje te były gorzkie jak popiół.

Przez głowę przemykały mu różne obrazy. Jakże były inne od tych, które widział w stolicy! Warszawa słynęła z przepychu i Konrad wkrótce mógłby postawić sobie dworek niegorszy niż Radziwiłłowy, ale wiedział, że tęskniłby za wsią i klimatem wschodniej Wielkopolski.

– Nie wiem, co się wydarzy, najmiłościwszy panie. Niczego więc obiecać nie mogę. Decyzja zależy od rodziny, Andruszkiewiczów i dalszych wypadków. Po wojnie będę musiał odwiedzić Chojny – odpowiedział królowi.

– Wiesz, że za kilka lat mógłbym cię obsadzić na stanowisku hetmana?

Konrad zatrzymał się i z niedowierzaniem spoglądał na monarchę.

– Hetmana?

– Chyba nie sądzisz, że Sobieski będzie nim dożywotnio? Już szykuję zmiany. Wakatów będzie kilka. Nic wielkiego, ot, *proconsul Antiquae Varsaviae* i kilka starostw. Proś o jakikolwiek urząd, a dostaniesz go. Warunkiem jest pokonanie Lubomirskiego. Tymczasem zostaniesz moim porucznikiem. W bitwie z Lubomirskim przejmiesz dowództwo nad oddziałem jazdy – rzekł król.

Nie przekonało to Konrada, a przeciwnie – zdziwił się i zaniepokoił. Dobroć królewska musiała zawierać ukryty podstęp, ale Jezierski nie śmiał o to pytać. Co prawda ucieszył się z nowego tytułu, który miał uroczyście otrzymać następnego dnia, ale jednocześnie był niespokojny. Wzmianka o buławie hetmańskiej oznaczała, że Jan Kazimierz planuje nowe rozdanie kart przeciw Sobieskiemu, ku uciesze zbuntowanej szlachty i magnaterii.

Tymczasem na dziedziniec zajechał wytworny siwek z litewskim posłańcem. Odźwierny otworzył mu, ale wzgarda malowała się na jego twarzy, gdy chudy sługa, skłoniwszy się w siodle, oznajmił, że przysyła go panna Katarzyna Andruszkiewiczówna.

– Prosto do jaśnie wielmożnego pana namiestnika Konrada Jezierskiego – powiedział.

– Jaśnie wielmożny pan prowadzi rozmowę z naszym umiłowanym królem – powiedziała Krystyna, która kręciła się przy bramie, oczekując nowin i listów.

– Nie szkodzi – odparł grzecznie posłaniec, mówiący ze wschodnim akcentem. – Zaczekam.

– Co przywozisz dla wielmożnego pana Jezierskiego?

– List od panny Katarzyny.

Krystyna lekko pobladła, ale nie straciła rezonu. Stłumiła wściekłość, która w niej narosła, i uprzejmie skłoniła się, chwytając poły sukni.

– Czy nie mogłabym przekazać listu jaśnie wielmożnemu panu namiestnikowi? Jest bardzo zajęty.

– Do rąk własnych list mam dostarczyć, jaśnie wielmożna pani – odparł posłaniec, odkłaniając się lekko.

– Proszę zatem do pokojów. Połóżże list w sypialni królewskiej pana Jezierskiego. Gdy wróci z rozmów, zastanie wiadomość na biurku.

Posłaniec zgodził się z początku dość niechętnie, ale zsiadł z konia, pozwalając, by odprowadzono go do stajni. Zalotny uśmiech Krystyny rozchmurzył Litwina. Uśmiechnął się, podkreślił wąsa i poszedł za Hłowiczową na piętro do sypialni Konrada.

Gdy posłaniec zostawiał list, nie wiedział, że Krystyna zamierza go przeczytać. Odjechał zadowolony, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Jeszcze w drodze na Litwę wspominał uśmiech Krystyny i jej walory, wdzięcznie uwydatnione dzięki zaciśniętemu gorsetowi. Przeliczał też boratynki, którymi hojnie obdarowała go Hłowiczowa.

Krystyna natychmiast podążyła do królewskiej sypialni i wykradła list od Katarzyny. Wsunęła go w bieliznę i przeszła spokojnie aż do krużganka prowadzącego do izby królowej Ludwiki Marii. Rozejrzała się dyskretnie, czy nikt nie idzie, po czym zdecydowanie przełamała Andruszkiewiczowską pieczęć. List nie był długi, więc Krystyna skryła się za arkadą i zaczęła czytać.

Najdroższy Konradzie,

piszę do Ciebie, bowiem wielka zawierucha przetoczyła się nad Chojnami po Twoim wyjeździe. Twój ojciec pochorował się ze złości i kazał wszystkim gościom wyjeżdżać. Mojego ojca doleczono w izbie, więc

zostaliśmy w Chojnach jeszcze dwa dni. Nikomu nie stała się krzywda, nikt nie dostał szabłą pod bok, więc awantura zakończyła się równie szybko, co zaczęła.

Chciałam być na ciebie zła i mój ojciec powiedział, że nigdy nie pozwoli na ożenek, ale szybko wycofał się z tej decyzji, bo Twój ojciec chorujący na gorączkę i majaki przez dwa dni, wstał w końcu z łoża i powiedział, że zamierza iść z Lubomirskim przeciwko królowi. Wszyscy uznaliśmy, że szalony. Ojciec przekonywał go, by nie popierał strony buntownika, bo to szlachcie nie przystoi. On jednak uparł się i już wyjechał szukać Lubomirskiego. Ojciec powiedział, że pan Jeziński jest chory z nienawiści i Tobie będzie chciał zrobić krzywdę, gdy tylko wojska staną naprzeciwko.

Gniewałam się na ciebie o tę mieszczkę z Łodzi, ale w obliczu wydarzeń, których wraz z ojcem byliśmy świadkami, postanowiliśmy cię ostrzec. Chciałabym, żebyś wrócił z wojny cało. Ojciec już nie gniewa się za ten pojedynek i przyznał, że sam Cię wyzwiał do szabli. Gdy jednak ma wybierać, woli poprzeć króla niż buntowników.

Proszę, nie splam swojego nazwiska, oczyść je z ojcowskich win i wróć zdrowy. Wszyscy Cię oczekują w Andruszowie. Jeśli nadal nie zapomniałeś, jak tańczyliśmy w noc zrękowin, proszę, byś przyjął nasze zaproszenie i po wojnie z Lubomirskim przyjechał od razu do nas.

Z miłością i tęsknotą

Katarzyna Andruszkiewiczówna

Krystyna zmięła list w drżących dłoniach. Było w nim tyle powściągliwej miłości, że poczuła w sercu ukłucie zazdrości. Oparła się o arkadę i gniewnie westchnęła, odgarniając z czoła włosy. Następnie starannie schowała list pod suknią i poszła do komnaty, by go spalić.

XVIII



Rocha wysłano do Sobótków w złej chwili. Całe miasto obiegła wiadomość o konsekwencjach chojeńskiego konfliktu. Tu i ówdzie rozmawiano, że ojciec idzie z szablą na syna. Nie było wątpliwości, że rodzina Jezierskich znalazła się w niebezpieczeństwie.

Próżno więc szukać godziny, w której serce Wandy biło spokojnie na myśl o Konradzie. Dziewczyna walczyła z myślami. Jednocześnie chciała porzucić swoje życie, biec do Warszawy, by bić się z królewskimi siłami, i iść do Chojen, by przekonać starego Jezierskiego o tym, że walka z synem jest bezcelowa. Oba przedsięwzięcia były jednak niemożliwe. Konrad wyruszał z Warszawy lada dzień, a pan Karol już opuścił Chojny, by przedostać się do szeregów Lubomirskiego. Nic więc dziwnego, że gdy do domu zawitał Roch Sadowy, Wanda poczuła się bezradna. Sobótkowie nie spodziewali się tej wizyty. Był to dzień pełny ciepłego letniego deszczu. Kłębowisko jasnych stratusów spowiło niebo i można było odnieść wrażenie, że Łódź otula biała kołdra odcinająca miasto od klęsk i tragedii. Wewnątrz żyli ludzie podobni do innych, ale może bardziej bezradni, czekający na ukojenie i spokój. W oddali słychać było porykiwania krów i wołów spędzanych do zagród. Powoli ściemniało się, ale wciąż było jasno. Spoza chmur wyłonił się nagle promień słońca i padł na Górki

Plebańskie. Łodzianie wiedzieli, co to znaczy. Jedni mówili, że jest to błysk chwały zmarłych, inni zaczęli schodzić się na rynek, by pomodlić się za dusze spoczywających ludzi. Każdy wskazywał palcem na złotawą łunę, która błyskała wśród zalanych deszczem traw.

– Płanetnicy dmuchają na pogodę – mówiono.

– To dusze zmarłych wołają o modlitwę – odzywali się inni.

Roch też zauważył łunę i wchodząc do domu Sobótków, nie omieszkał o niej wspomnieć. Był przy tym grzeczny, ale mniej wesoły niż zawsze, bo nie wiedział, czego się spodziewać po Wandzie. Był zakłopotany, widząc pannę w izbie.

– Idź do komórki i zważ mąkę – poleciła Zofia.

Wanda wyszła pospiesznie, ale jej serce zabiło niespokojnie, jakby przeczuwając nadchodzące zdarzenia. Dziewczyna usiadła przy drzwiach od szafiarni, oparła się o nie plecami i nasłuchiwała lękliwie.

– Wybaczcie, że przychodzę w gościnę niespodzianie. Mam jednak sprawę, która czekać nie może – powiedział Roch, kiedy już wszyscy w domu wymienili uprzejmości.

– Co za sprawa, Rochu? – spytał Ryszard, nalewając swatowi gorzałki.

Roch opowiedział o uczuciu Andrzeja Szczygła, a w miarę jak mówił, rodzice Wandy wytrzeszczali oczy ze zdumienia i dziwili się, bo wcześniej chłopak nie interesował się Sobótkówną. Stali więc nieco zakłopotani i w izbie zapadła cisza.

Wanda, która siedziała w komórcie, także się dziwiła. Jej serce biło szybko i niespokojnie. Powzięła jednak postanowienie, że wyjdzie za Andrzeja. Pomyślała o tym tak mocno, że aż zakręciło jej się w głowie. Wydobyła adamaszkową chustę, którą dostała od Konrada. Była już nieco przybrudzona, ale wciąż pachniała chojeńskim świeżym powietrzem, sosnowym lasem i okazałym drewnianym dworem. Przed wszystkim

jednak Wanda czuła zapach Konrada. Wygładziła kosztowny materiał i zamknęła oczy, przenosząc się myślami do Chojen.

Nie miała wyjścia. Rozsądek podpowiadał jej, że ożenek jest konieczny. Inaczej byłaby skazana na pogardę łodzian i staropanieństwo.

Pan Konrad już pewnie nigdy nie wróci do Chojen. Nie zobaczę go już – myślała z żalem. Woląca się nie oszukiwać. Ożenek ze Szczygłem utarłby nosa Żelichowskiemu, na co Wanda bardzo teraz liczyła. Postanowiła nie sprzeciwiać się losowi i docenić starania Andrzeja. Było jej żal, ale nie płakała.

Roch pił dużo, by pokonać tremę. Teraz skończył mówić i głęboko odetchnął, wbijając wzrok w Sobótków. Zofia skubała rękaw sukni, a Ryszard rozglądał się bezradnie.

– My byśmy bardzo chcieli – powiedział w końcu – ale Wanda jest oporna i boimy się, że znowu odrzuci zaloty. Po historii z Wiesiem Żelichowskim nikt się o Wandę już nie starał.

– To będzie głupia – odparł podchmielony swat. – Szczygłowie to jedna z najbogatszych rodzin. Znaczą więcej niż Żelichowscy. To dla Wandy ostatnia szansa. Jeśli odrzuci Andrzeja, nikt się nią już nie zainteresuje, chyba że biedota. Kto takie buntownicze panny lubi? Próżno szukać. A Wanda dobrze zrobiła, że Wiesia odrzuciła, skoro teraz się taka szansa nadarza. Jak się zgodzi, to będzie cała Łódź ją szanować, bo to dziewczka sprytna.

– My się zgadzamy – powiedział Ryszard.

– Jeśli nie chcecie, to nie musicie Wandy pytać. Sami ją do ożenku przymuście – powiedział Roch.

– Żeby nam potem wstydu narobiła i uciekła od męża? Kto będzie po niej grzywnę płacił? Wystarczy heca z parafialnymi jabłkami – zachnęła się Zofia, wyraźnie wściekła.

Roch wzruszył ramionami i spojrzał na Sobótków. Miny mieli nietęgę i widać było, że boją się zajrzeć do komórki. Zofia zacisnęła jednak pięści, spojrzała na męża z pewną miną i otworzyła drzwi.

Wanda weszła do izby wyprostowana, a duma odbijała się w jej żrenicach.

– Jeśli taka jest twoja wola, to Andrzej Szczygieł będzie twoim mężem – powiedziała Zofia, którą zdumiała nagła odmiana w zachowaniu córki.

– Zgadzam się z wolą rodziców – natychmiast odparła Wanda.

Spodziewali się innej odpowiedzi, dlatego w izbie najpierw zapanowała cisza, a dopiero po chwili wszyscy poczuli ulgę i radość. Roch aż zaklaskał w dłonie i wstał, lekko się chwiejąc.

– Żelichowscy posinieją z zazdrości! Co za dziewczka, co za tupet! Będzie miał Andrzej sprytną żonę – rzekł najgłośniej, jak mu pozwalały płuca zniszczone przez zarazę.

Wanda uśmiechnęła się smutno, po czym niespodziewanie wpadła w objęcia rodziców i swata. Uskrzydłony Roch zamasyście wyszedł od Sobótków i poszedł prosto do Szczygłów, by przekazać nowinę. Po drodze zaś kręcił głową z niedowierzaniem i myślał o tym, że Wanda Sobótkówna to najsprytniejsza dziewczka w całej Łodzi, a może i w całej wschodniej Wielkopolsce.

Dziewczyna siedziała zaś w stodole, dorzucając wołom słomy. Gładziła zwierzęta po pyskach i było jej tak smutno, jakby wszystkie nieszczęścia świata zebrały się w jedno i wypełniły ją do głębi. Serce Wandy przepelniała rozpacz, ilekroć uświadamiała sobie, że pewnie już nigdy nie spotka szlachcica o kędzierzawych włosach i lisim, długim nosie. Gdyby jednak kiedyś go ujrzała, i tak mogłaby się mu najwyżej ukłonić.

XIX



Dni mijały, a żaden z posłów nie wrócił do Warszawy. Król był coraz bardziej niezadowolony. Trzeba było ruszać. Konrad prawie nie sypiał i z niepokoju zagryzał wargi, oczekując wiadomości z Chojen. Nie wiedział nic ani o pannie Katarzynie, ani o rannym oficerze, ani o rodzinie. W tej sytuacji awans na porucznika był dla niego słabą pociechą.

Krystyna zalotnie spoglądała na Jezierskiego i coraz śmielej odzywała się do niego przy damach dworu. Austriaczki chichotały, przechadzając się z Iłowiczową po ogrodach. Konrad starał się tego nie zauważać i nie słuchać plotek rozsiewanych przez Krystynę. Przygotowywał się do drogi, wciąż tęsknie patrząc za bramę w oczekiwaniu na wieści.

Odczuł jednocześnie zawód i ulgę, gdy zatrąbiono na odjazd. Król nie mógł czekać dłużej, a przedłużał pobyt w pałacu tylko ze względu na Konrada. W końcu wezwał go do siebie.

– Żaden z posłów nie przyjechał. Musisz okazać męstwo, choć wiem, że ciężko ci na sercu. Jednak sprawy ojczyzny wzywają i nie mogę dłużej czekać. Mówią mi, że niedaleko Lubomirski zaszył się z wojskiem i tylko czeka na jatkę – ogłosił smutną nowinę.

Konrad zwiesił głowę, ale po chwili ukłonił się zdecydowanie i wyszedł, zapewniając o swojej gotowości. Nie miał rzecz jasna pojęcia

o tym, że wśród rokoszan kryje się osoba o tym samym nazwisku mianująca się tą samą pieczęcią – jego ojciec.

Zatrąbiono na odjazd. Dzień był pochmurny, ale gdzieś tam niebo przejaśniało się i zza obłoków prześwitywały słoneczne promienie. Konrad dosiadł kasztana i podążył w ślad za wojskami litewsko-koronnymi. Król zebrał duży oddział. Jechała z nim dumna jazda litewska, nieustępliwi dragoni i doświadczona jazda koronna. Z tyłu żołnierze ciągnęli działa. Starano się przejeżdżać głównymi traktami i unikać uroczysk. Chłopi stawali przy drodze, bo każdy chciał pokłonić się żołnierzom i wykrzyzczyć swoją krzywdę. Lubomirski palił wszystko, co napotkał, więc wiwatowano i cieszą się na przemarsz wojsk koronnych.

Pogoda zrobiła się kapryśna. Siąpił lekki deszcz, ale czasem dawał żołnierzom wytchnienie i chmury rozstępowały się, tworząc na niebie błękitne tunele. Te chwile Konrad przeżywał szczególnie i starał się wystawiać twarz ku słońcu, zachłannie łapiąc promienie. Przymykał oczy i oddychał czystym powietrzem, w którym unosił się zapach kwiatów.

Gdy wracały chmury, znów pojawiał się zły nastrój. Wtedy młody porucznik myślał o Chojnach. Zastanawiał się, co robi ojciec, czy żyje. Myślał też o pannie Katarzynie. Przypominał sobie wspólne tańce i ciemne warkocze Andruszkiewiczówny, a żal chwycił go za serce tak mocno, że miał ochotę wyć.

Siedział jednak w siodle spokojnie, a jego twarz przypominała kamienną maskę. Żaden żołnierz nie miał pojęcia o tym, że Konradem targa tyle emocji. Dragoni pokazywali go sobie dyskretnie i dziwili się, że młody Jezierski idzie na bitwę z takim spokojem, a na jego twarzy nie widać ani niepokoju, ani zawzięcia.

Maszerowali tak przez trzy dni, odpoczywając po to, by dać koronnym szpiegom czas na działanie. Wreszcie prawie dotarli do Noteci. Było już

ciemno i księżyc wyszedł, oświetlając drogę. Wtedy Jan Kazimierz zwołał dowódców.

– Za rzeką czekają wojska rokoszan. Bród trudno będzie przekroczyć, bo jest błotnisty i szpiedzy szukają w pobliżu mostu, byśmy się mogli przeprawić. Ale na razie niczego nie znaleźli. Tu spędzimy noc. Nie grozi nam niespodziewany atak, bo najpierw Lubomirski musiałby przekroczyć z wojskiem rzekę. Przekażcie swoim oddziałom, że trzeba czekać – powiedział.

Tej nocy Konrad prawie zasnął w siodle. Chciał czuwać, ale głowa wciąż spadała mu na piersi. Poprosił więc o zmianę, przywiązał konia do drzewa i zasnął oparty o pień. Śniły mu się rzeczy dziwne i niepokojące. Przez głowę przelatywały strzępy myśli.

Następnego dnia obudził się z bólem. Przypomniawszy sobie niewygodę, które musiał znieść podczas szwedzkiego najazdu i szybko wstał, nie skarżąc się na promieniujący ucisk mięśni.

Zewsząd dobiegało rżenie koni i żołnierskie rozmowy. Uskarżano się na niewygodę, ale wskazywano też drugą stronę rzeki, dyskutując o wrogich siłach. Nie była to łatwa noc, a dzień zapowiadał się równie ciężko. Oddziały wciąż stały przygotowane do nadejścia wojsk Lubomirskiego. Jednak rokoszan nie było widać.

– Zapewne kryją się za wzgórzem – powiedział Sobieski.

– Za wzgórzem jest jeszcze jeden bród do pokonania. Jeśli istotnie cała armia tkwi między błotami, to łatwiej będzie zaatakować – odparł stanowczo Jan Kazimierz.

Nikt jednak nie miał pewności, co kryje się za wzgórzem. Było milę oddalone od królewskich wojsk, więc – choć wyteżano wzrok – niczego więcej nie można było dojrzeć. Tam gdzie kończył się błotnisty bród, połyskiwała zroszona trawa.

– Nie ma rady, trzeba wysłać kogoś za wzgórze – powiedział król i zwrócił się do Majorskiego: – Mam dla ciebie listy. Nie ma w nich niczego ważnego i nie musisz ich nigdzie dostarczać. Przedostaniesz się przez rzekę i sprawdzisz, co jest za wzgórzem. Jeśli cię złapią, powiedz, że jesteś posłem królewskim, a na dowód pokaż listy.

Dobry to był żołnierz i doświadczony, a w ostatniej wojnie służył pod Czarnieckim. Wziął listy, skłonił się i wsiadł na konia. Żołnierze obserwowali jego przeprawę, wiedząc, że miejsce do bitwy jest niefortunne. Bród ciągnął się co najmniej pół mili, a były odcinki, gdzie koń żołnierski pływał, parskał żałośnie i młócił kopytami bagniste dno. Zapadał się, to znów unosił desperacko łeb, potrząsając ubłoconą grzywą, a jego ruchy przypominały drgawki.

Żołnierz zsiadł z konia, bo zwierzę stanęło w miejscu i nie mogło się ruszyć, i popłynął do przodu, z mozołem ciągnąc konia za lejce. Koń szarpnął, ale nogi nie drgnęły. Po chwili mężczyzna szarpnął jeszcze raz, mocniej niż poprzednio. Stracił przy tym grunt pod nogami i jego głowa utonęła na chwilę w rozmiękłym bagnie.

Niektórzy żołnierze cicho westchnęli, inni, bardziej doświadczeni, stali nieruchomo, patrząc na trudną przeprawę.

– Tak złego terenu nie widziałem jeszcze nigdy – mruknął Sobieski, a w oczach oficerów pojawił się strach.

– Janie, jeśli ty nie widziałeś jeszcze równie trudnej przeprawy, to czy walka ma sens? Nie przejdziemy na drugą stronę – powiedział jeden z jeźdźców koronnych.

Sobieski spojrział na niego z wyższością.

– Jeśli ktoś się lęka błota, niech nie idzie w bój – powiedział krótko.

Teraz widać było, że koń z trudem ruszył naprzód, a głowa żołnierza wychyliła się z bagna. Kolejny odcinek pokonał, płynąc razem z koniem.

Dalej widać już było niewiele, ale ostatecznie poseł wytoczył się na brzeg, a za nim umęczone zwierzę.

Jednak po tej stronie Noteci nie cieszą się przedwcześnie. Król cisnął kilka przekleństw po włosku i zawrócił konia, by porozmawiać z doradcami. Tak trudna przeprawa mogła skończyć się dla wojska klęską i oddziały potopiłyby się w bagnie.

– Łatwiej nam będzie przeprowić się grupą niż samotnie – powiedział Konrad na pocieszenie.

– Tak, ten, który się będzie topił, chwyci uzdę innego konia i zatopi następnego żołnierza – odpowiedział z goryczą Sieniawski, kierujący oddziałem jazdy.

Konrad nie odpowiedział, bo taki obrót spraw był wielce prawdopodobny.

Wszyscy czekali, wypatrując posła. Wreszcie w oddali coś zamajaczyło i żołnierz rozpoczął morderczą przeprawę przez bród. Tym razem poszło mu lepiej i po godzinie trudu padł na brzeg, robiąc znak krzyża. Za nim wynurzył się koń. Nogi trzęsły mu się z wycieńczenia. Koniuszy zaraz obmył je wodą i uwiązał zwierzę, by mogło się napić i poskubać trawy.

Umęczonego Majorskiego ułożono na trawie i podano mu wodę. Szybko odzyskał siły, ale nie wstawał, skarżąc się na mdłości.

– Gorszej przeprawy nie widziałem nigdzie. Byłem pewien, że niechybnie zginę – wysapał, leżąc na wznak.

– Są wojska Lubomirskiego za wzgórzem? – zapytał Jan Kazimierz.

– Są.

– Dużo?

– Mnóstwo.

Król zacisnął zęby.

– Jest tam druga przeprawa?

– Nie ma – szepnął Majorski, zaciskając powieki. – Jest wzgórze, a za wzgórzem wielkie łąki. A za łąkami bór.

Choć rozmowa sprawiała żołnierzowi trudność, król nie przestawał pytać.

– Zauważyli cię?

– Nie. Podszedłem najbliżej, jak się dało. Za tym wzgórzem jest jeszcze jedno, mniejsze. Tam się ukryłem, a konia uwiązałem wcześniej.

– Ile wojska ma Lubomirski?

– Będzie kilkanaście tysięcy. Są chorągwie konfederackie i jest pospolite ruszenie.

– To Lubomirski zebrał tak dużo pospolitego ruszenia?! – huknął król, chodząc wokół Majorskiego coraz bardziej nerwowo. – Co to za obyczaje?! Oni przy mnie powinni ruszać do walki!

Nikt się nie odezwał. Po chwili monarcha stanął i zamyślił się.

– Napoić go, niech odpoczywa. Na razie nie przeprowimy się przez rzekę – powiedział do kilku żołnierzy.

Czas czekania dłużył się okropnie. Konrad miał wrażenie, jakby od wymarszu z Warszawy minęło kilka tygodni. Tymczasem król wciąż rozmawiał z doradcami. Wśród nich byli też hetmani Sobieski i Pac. Wszyscy żywo gestykulowali. Hetmani spoglądali na siebie spode łba i chyba tylko obecność monarchy powodowała, że nie skoczyli sobie do gardeł. Wymieniali jednak coraz agresywniejsze uwagi i raz po raz zaciskali zęby.

W końcu zapadła decyzja. Szpieg wrócił z wieściami spod wsi Tupadły. Nieopodal oddział rokoszan, na czele z Polanowskim, strzeże przeprawy przez Noteć.

– Żołnierzy jest niewielu. Można by wysłać nasz oddział, by... – zaczął szpieg, ale król przerwał mu natychmiast.

– To ja decyduję.

Zastanowił się chwilę i zawołał dowódcę oddziału litewskiej jazdy Jerzego Muńskiego.

– Odbijesz w lewo na trzy mile i przepawisz się z oddziałem na drugą stronę Noteci. Pojedziesz w naszą stronę. Za milę powinien ci się ukazać mały oddział Polanowskiego. Jest ich niewielu, może uda się rozgromić choć część sił Lubomirskiego.

– Brać jeńców? – zapytał znany z narowistości Muński.

– Wyrznać wszystkich, których zdołacie – odpowiedział król. – Niech wam Bóg dopomoże.

Oddział litewskiej armii królewskiej popędził konie wzdłuż Noteci i wkrótce ustał tętent, a żołnierze zniknęli Konradowi z pola widzenia. Jezierski podszedł do króla.

– Jakie są dalsze zamiary, najmiłościwszy panie – zapytał?

Jan Kazimierz odciągnął go na bok.

– Nie ma żadnych zamiarów. Przepawa jest niebezpieczna, a reszta wojsk nadjedzie najwcześniej jutro. Jeśli do bitwy nie dojdzie teraz, nie dojdzie do niej nigdy – powiedział dyskretnie.

Konrad popatrzył na królewskie oblicze. W oczach Jana Kazimierza dostrzegł rezygnację. Twarz monarchy jeszcze nigdy nie była tak posępna i pełna żalu. Naraz król postarzał się o dziesięć lat; jego woskowa skóra stała się bledsza i przezroczysta, a wzrok bardziej mętny.

Wojska czekały na zachód słońca. W końcu z oddali żołnierze usłyszeli stukot kopyt pędzących koni, ale wprawniejsze uszy wyłapywały, że wierzchowców jest mniej.

– Nie udało im się – powiedział stanowczo Sobieski, nim oddział nadjechał.

Rzeczywiście. Litwinów było mniej, wszyscy umazani błotem i ledwie żywi.

– Nie udało się, najjaśniejszy panie – oznajmił srogo Muński. – Straciłem wielu dobrych żołnierzy. Rokoszanie są ze stali. Dobrze się biją.

– Przestań chwalić wrogów, tylko opowiedz, co się działo – zachnął się Jan Kazimierz i gestem zaprosił Muńskiego do swojego powozu.

Muński wszedł do królewskiej karety z kwaśną miną. Konrad przysłuchiwał się rozmowom żołnierzy i dziwił go ich pesymizm. Zewsząd słyszał szepty pełne rezygnacji. Nawet jego oddział komentował siłę pospolitego ruszenia. Głosy cichły co prawda, gdy tylko porucznik pojawiał się w pobliżu, ale niepokój został. Dla niektórych, zwłaszcza dragonów, była to pierwsza poważniejsza bitwa. Obok starszyny widać było młodzików na siłę starających się przybrać pogodną twarz. Jezierski wiedział jednak, że w głębi duszy są przerażeni, jak on sam, gdy brał udział w pierwszych potyczkach.

A wrogów miał potężnych, bo Szwedzi obchodzili się z polskimi żołnierzami okrutnie i niejednokrotnie mordowali jeńców. Lubomirskiego, choć był Polakiem, nikt nie lekceważył, a może właśnie tym większego gniewu należało się po nim spodziewać. Choć Konrad wiedział, że rokoszanie mogliby roznieść na widłach każdego wroga, to nie wierzył w bratobójcze przelewanie krwi. W oddziałach pospolitego ruszenia byli żołnierze, którzy walczyli razem z nim, gdy Szwedzi atakowali kolejne twierdze i obracali miasta w popiół.

Konrad czyścił końską grzywę, gdy podszedł do niego młody dragon. Mógł mieć kilkanaście lat. Bujna blond czupryna otaczała pyzate policzki, na których wykwitł rumieniec. Chłopak stał przez chwilę i nic nie mówił

onieśmielony Jezierskim. Konrad rzucił na niego okiem, ale zobaczywszy, że nie ma do czynienia ze szlachcicem, zignorował chłopacynę i zaczął sprawdzać, czy podkowy na końskich kopytach nadal dobrze leżą.

Chłopiec odchrząknął niespodziewanie.

– Jaśnie wielmożny pan porucznik Jezierski? – zagadnął.

Konrad wyprostował się i spojrzał na chłopaka z góry.

– Tak. A ty kto?

– Wincenty Kalenty, do usług jaśnie pana.

Konrad najpierw zmarszczył się, ale po chwili z tłumionym chichotem powtórzył nazwisko chłopca. Wincenty zarumienił się jeszcze bardziej, widocznie zażenowany własnym rymującym się nazwiskiem.

– Jesteś chłopem? – zapytał.

– Nie, pochodzę ze Rzgowa, jaśnie wielmożny panie.

– To pewnie znasz Chojny? – zastanowił się Konrad.

– Pewno, że znam, jaśnie wielmożny panie – odpowiedział Kalenty, kłaniając się kilkakrotnie w pas. – Ja z tego samego regionu pochodzę.

– Proszę, proszę... – mruknął Konrad, już całkiem zainteresowany. – Słyszałeś, co nowego w Chojnach?

– Słyszałem, panie – powiedział Kalenty. – Podobno awantura była w pańskim folwarku.

Konrad już chciał unieść się dumą i zagrozić, by chłopak nie interesował się cudzymi sprawami, ale zależało mu na nowych wiadomościach.

– Jak się skończyła awantura?

– To jaśnie pan nie wie? – zapytał Kalenty, ale widząc groźne spojrzenie Konrada, ukłonił się jeszcze raz. – Pański jaśnie wielmożny ojciec kilka dni

majaczył w gorączce, a oficer Andruszkiewicz, niech mu Pan wszelkich łask szlacheckich dochowa, dochodził do zdrowia w chojeńskim folwarku.

– Co było potem? – zapytał Konrad z przestraczem.

– Nie wiem, bo zbierano oddziały i zaciągnąłem się do dragonów.

Mimo że Konrad nie dowiedział się zbyt wiele, wyjął z sakwy boratynkę i dał chłopcu za wiadomość. Ten jednak stał dalej, przestępując z nogi na nogę.

– Ja to ze Rzgowa pochodzę, mówiłem. To bardzo blisko Chojen.

– Kim jest twój ojciec? – zapytał Konrad bez cienia zainteresowania.

– Kupcem, jaśnie panie. Ostatnio źle się czuje, więc matka próbuje się trochę w handlu, ale to nie przystoi, więc ojciec się pieni. Matka moja z Łodzi pochodzi i się Jadwiga nazywa, a panięskie to Sobótko. Może jaśnie wielmożny pan zna rodzinę?

Jeziński, który sprawdzał tylną podkowę, znieruchomiał nagle.

– Tak się składa, że znam – odpowiedział spokojnie.

– Tam w Łodzi to jeszcze większa bida niż u nas we Rzgowie – mówił chłopak, a czuł się przy Konradzie coraz śmielej. – Rzadko się ta rodzina odwiedza. Tego lata właśnie zmarł stary Sobótko, łodzianin najstarszy i rolnik, któremu nikt nie dorównywał. Pod jego ręką zawsze były najlepsze plony i najdorodniejsze warzywa. Uparty był straszliwie, ale chronił rodzinę od wszystkiego złego, a teraz jak zmarł, w chacie oczy wypłakują. Bo to był dobry człowiek.

– Słyszałem i ja o Jerzym Sobótkce. Powiadasz, że w Łodzi teraz smutniej? – zapytał Konrad, zręcznie ciągnąc Wincentego za język.

– Ależ, jaśnie wielmożny panie! – machnął ręką blondynek. – Babka tam pozostała, mój dziad i ich córka, co jest siostrą mojej mamy, a na imię jej Wanda. Oni tam z Wandą mają ciągle problemy, bo nie chciała wyjść za mąż za Wielisława Żelicha, a była obiecana od piętnastu lat. Ot, zaparła się

i nie wyjdzie za niego. I koniec, przecież jej nie zmuszą, bo jeszcze mężowi ucieknie i wstydu rodzinie napędzi. Ona taka temperamentna, że nic z nią nie wiadomo.

– A czemu to nie chce wyjść za sąsiada?

– Powiadali, że albo innego kocha aż po grób, albo charakter Żelichowskiego jej nie odpowiada, bo podobno on jakieś plotki o niej rozpuszczał, by tylko się zgodziła wyjść za niego. A dziewczynie to reputację psuje, no i kto by ją zechciał po pomówieniach?

– Czyli panna Wanda wybrała samotność, by użerać się z tym światem?

– zapytał Konrad bez ogródek.

Zrobiło mu się jednocześnie żal i miło. Bo przecież poznał owej nocy, gdy odwoził łodziankę, że to jego kocha bezgranicznie. Choć nie powiedziała nic, mówiły jej oczy. Przyjęła chustkę z inicjałami i dla niego wybrała się po ciemku do folwarku.

– Miało tak zostać, ale dostałem list od matki. Napisała, że Wanda to sprytna dziewczka i odczekała, by sobie zgarnąć lepszą partię, choć i Żelichowscy do złej nie należą.

– Cóż za wyrachowanie – mruknął Konrad i ze złości poczuł ukłucie w sercu.

– Wyrachowanie, jaśnie wielmożny panie, ale jakie sprytne! Matka pisała, że nigdy w życiu by się takiej zwinności nie spodziewała po niej. I teraz z jednym z najbogatszych łodzian jest po słowie. Żelichowskim podobno aż para z uszu leci na samą myśl o tej zniewadze. Ale kto się będzie śmiał ostatni? Pewnie, że Wanda!

– Zapewne – mruknął Konrad i stracił ochotę do dalszej rozmowy.

Wincenty wyraźnie czekał na kolejnego szeląga, ale Konrad przestał zwracać na niego uwagę. Chłopak skłonił się więc kilkakrotnie i wycofał z wyrazem zawodu.

Noc minęła niespokojnie. Nie spali ani żołnierze, ani ich dowódcy. Król odjechał dalej, by zdrzemnąć się na chwilę, ale zaraz wyszedł rozdrażniony z powozu i począł chodzić tam i z powrotem. Towarzyszył mu Sobieski, który próbował coś perswadować. Na nic się to jednak zdało, bo Jan Kazimierz wyraźnie zachnął się, a nad ranem przyjechał znowu pod wieś Mątwy i ogłosił swoją wolę.

– Pora rozpocząć atak.

– Najjaśniejszy panie, przecież w ten sposób złamiemy rozejm, który ustaliliśmy w nocy z podkasztelanem Warszuckim – ośmielił się jeden z oficerów.

– Niczego nie ustalałem z podkasztelanem krakowskim. Poza tym już utracił stanowisko, którym wszędzie się tak chętnie chwali – warknął niebezpiecznie król.

Część dowódców spojrziała na siebie porozumiewawczo. Zaraz spuścili jednak głowy, a na ich twarzach widać było niepewność.

– Wkrótce przybędzie więcej sił koronnych. Powinny pojawić się dzisiaj. Do tego czasu poradzimy sobie sami. Jeszcze przed wschodem słońca przeprowi się przez rzekę awangarda litewska. Dotrzeć trzeba za Noteć, nim mgła opadnie. Dalej przeprowiać się będą kolejne oddziały, każdy na hetmańską komendę. Tobie, Janie, powierzam to zadanie – rzekł król, wskazując na Sobieskiego.

Litwini zaczęli wchodzić w bagnistą rzekę. Konie rżały przeraźliwie, ale żaden nie przestawał młócić nogami w grząskim błocie. Miejscami trzeba było płynąć, to znowu brodzić. Ubłoceni żołnierze zeskakiwali z koni i prowadzili je odcinkami. Wsiąść już potem było nie sposób, więc każdy walczył z oporem konia, zmęczeniem i błotem wlewającym się do uszu i nosa. Nikogo jednak na szczęście rzeka nie wciągnęła i po godzinie było widać, jak pierwsi królewscy żołnierze docierają na brzeg.

Sobieski obserwował to uważnie. Na razie wstrzymał przejście, dając Litwinom szansę na przeprawę. Kilkuset ludzi wyszło na przeciwległy brzeg Noteci i podążyło w stronę wzgórza. Gdy już wszyscy zniknęli za pagórkiem, słychać było straszne odgłosy, które zachęciły do walki wojska królewskie. Litwini tłukli się z rokoszanami. Wrzawę słychać było na milę, więc Sobieski zdecydował się przeprowadzić dalsze oddziały. W błoto poszła dragonia. Miała ułatwione zadanie, bo nie ciągnęła koni. Ostatni weszli do Noteci, kiedy hetman rozkazał przeprowadzić litewską rajtarię. Teraz cała rzeka była pełna ludzi. Szli w milczeniu, odcinkami łapiąc dech i płynąc. Daleko na wzgórzu stanęli zwycięscy Litwini, którzy widocznie pobili mniejszy oddział rokoszan.

Sobieski popatrzył na to z dumą i dał znak oddziałowi Modrzejewskiego. W ślad za nim podążyła jazda Jezierskiego. Przeprawa okazała się niezwykle wyczerpująca. Konrad prowadził konia za lejce, a gdy zwierzę potrzasało brudną głową i stawało z uporem w miejscu, chwycił uzdę i ciągnął z całej siły, by pokonać błoto i chimery konia. Bagno kilka razy prawie wciągnęło Jezierskiego, ale wspierał się na łbie kasztana i szedł naprzód, dziękując Bogu za każdy pokonany odcinek. Płynął, choć nie miał już siły. Oddychał z trudem, ale wysiłek opłacił się, bo w końcu ujrzał, że brzeg jest niedaleko. Przed oczami majaczyły mu czarne plamy, ale oddychał głęboko i wkrótce dobił do brzegu.

Mozolnie pokonał ostatnie metry i wydostał się na brzeg, ledwo żyjąc. Odczekał chwilę i wstał, by dać oddziałowi przykład męstwa. Dosiadł brudnego kasztana i odsunął się, czekając, aż cały oddział przeprowadzi się przez rzekę.

Panował coraz większy chaos. Dwa konie utopiły się, a oddział Modrzejewskiego stracił w Noteci żołnierza. Gdy jednak Konrad przeliczył

ludzi, okazało się, że nikt z jego pułku nie zginął. Ustawił ich w szyku i podążył za jazdą, robiąc miejsce dragonii wychodzącej z błota.

Dopiero na szczycie wzgórza Konrad ujrzał, jak potężne starcie czeka rokoszan i wojska koronne. W oddali, gdzie okiem sięgnąć, stały siły Lubomirskiego. Choć Jezierski wyteżał wzrok, nie zobaczył byłego hetmana wśród dowodzących. Było jednak wielu wybitnych żołnierzy i potężne pospolite ruszenie z Wielkopolski i spod Krakowa. Za polaną rozciągały się ciemne bory odsłaniające środek – rokoszan było wielu. Wyglądało jednak na to, że liczebnością nie przewyższają wojsk Jana Kazimierza. I choć dodawało to otuchy dowódcom, spoglądali na siebie z wyrazem niepewności.

Mgła opadła. Litwini królewscy rzeczywiście wygrali starcie z niewielkim oddziałem i puszyli się na szycie wzgórza.

- To będzie pestka – mówili.
- Zarudny musiał się wycofać.
- Prawie gacie pogubił ze strachu, jakeśmy go zmiotli!

Takie okrzyki słyhać było na lewym skrzydle. Awangarda litewska widocznie wpadła w świetny nastrój, bo śmiechom nie było końca. Wśród rokoszan widać było przednią straż Zarudnego, który stał spokojnie i obserwował wroga wojska. Minę miał nietęgą.

Kiedy przeprowił się Sieniawski, w Noteci walczył już tylko hetman Sobieski ze swoim oddziałem. Nie minęło pół godziny i jego pułk także stanął na przeciwległym brzegu.

– Jazda na prawo! – rozkazał Sobieski, patrząc na przeciwległy pagórek.

Ustawiła się na nim straż Zarudnego i obserwowała poczynania wojsk koronnych.

Konrad popędził oddział i znalazł się między jazdą a dragonami ustawionymi najbliżej rzeki. Słysząc było tylko rżenie koni i ciche rozmowy. Za żołnierzami delikatnie szumiała Noteć.

Po lewej stronie wzgórza ustawiła się litewska jazda.

– Wygląda na to, że Lubomirski ma dużo mniej wojska niż my – powiedział ktoś z oddziału.

Żołnierze w skupieniu czekali na dalsze rozkazy. Przez chwilę Jezierskiemu wydawało się, że nic się nie wydarzy. Zarudny stał ze strażą, a za wzgórzem gromadziły się wojska pospolitego ruszenia i chorągwie konfederackie.

– Zarudny tchórz! – krzyknął któryś z Litwinów.

Rzeczywiście, wrogie wojska stały w pełnym słońcu, jakby naradzając się, co zrobić. Wtem rozpoznano Józefa Borka – dowódcę chorągwi konfederackiej. Jego koń zrównał się z koniem Zarudnego i Borek wskazał na polanę, żywo gestykulując.

Nie minęła chwila, gdy zatrąbiono i straż przednia Zarudnego popędziła konie, jadąc wprost na oddziały koronne. W oddali słysząc było tętent koni i za Zarudnym popędziły kolejne oddziały. Zza wzgórza zaczęły wyłaniać się nowe pułki, a królewska jazda przeklinała spryt rokoszan. Kolejnych nieprzyjacielskich oddziałów wcześniej nie było widać. Stąd przypuszczenie, że Lubomirski nie zebrał aż tylu ludzi. Konrad obserwował to z przejęciem i rosnącym uczuciem niepokoju, bo spoza wzgórza wciąż wyłaniały się nowe oddziały pod dowództwem Polanowskiego, Grzymułtowskiego, Pisarskiego i Ostrzyckiego. Nadciągało więcej wojsk, trzeba było gotować szable i broń. Pędzące konie zbliżały się do przedniej jazdy.

Konrad zdążył zrobić znak krzyża, po czym usłyszał straszliwy huk. To regimenty strzelały z lewej strony, by powalić szlachtę z pospolitego

ruszenia walącą tłumnie w wojska koronne. Konradowi przez chwilę wydawało się, że rokoszanie wstrzymają się przed atakiem, ale po kilku sekundach ogłuszeni padli, a ci, którzy nie oberwali, znów pędzili naprzód, zmiatając litewską jazdę.

Na przedzie zapanował chaos i Konrad widział, jak wielkopolskie ruszenie uderzyło w przednią jazdę. Nie mógł pomóc żołnierzom, bo z prawej strony, wprost na niego, nacierały chorągwie konfederackie.

Pustą przestrzeń wypełniły krzyki i jęki, ale Konrad starał się ich nie słuchać. Podniósł rękę i dał znak swojemu oddziałowi. Ruszył do przodu. Ku niemu pędził rozwrzeszczany Borek z szablą przygotowaną do zadania ciosu. Koń Jezierskiego stanął dęba i zapewne ukochany kasztan porucznika straciłby łeb, ale Konrad w ostatniej chwili pochylił się w siodle i skrzyżował szablę z bronią Józefa Borka.

Zakurzyło się i pociemniało. Tumany pyłu i piasku wzbiły się spod końskich kopyt, ale Jezierski zauważył, że szabla przeciwnika błyszczy w słońcu tuż przy jego lewym boku. Natychmiast świsnął, odpierając wściekły atak. Równocześnie drugi rokoszanin z białą chustą przewiazaną przez ramię, skoczył w siodle do przodu, nacierając na Konrada. Jezierski poczuł, że nadciągają ku niemu kolejne pułki, ale wola walki rozgorzała w nim jak pochodnia. Zamachnął się, gdy nacierający przeciwnik obrócił się, rozchlastując żołnierza z pułku Modrzejowskiego, i z całej siły uderzył szablą w tył łysiejącej głowy, aż krew trysnęła na wszystkie strony. Ochlapała też Konrada, ale nie zważał na to, bo oto pędził ku niemu rozwrzeszczany oddział chorągwi konfederackiej.

Konrad wyczuł, że za nim broni się coraz mniej żołnierzy. Z atakujących królewscy powoli stawali się ofiarami. Próżno było wypatrywać posiłków Jana Kazimierza. Po drugiej stronie czekał też hetman Pac, by uderzyć z nową siłą.

Na razie jednak wojska koronne znalazły się w najgorszym położeniu. Nie ulegało wątpliwości, że jazda nie wytrzyma długo i zechce się wycofać. Brakowało jednak wyjścia dla konnicy. Za oddziałami stali przecież dragoni, których Sobieski kierował teraz naprzód. Ci jednak pozostawali w miejscu, walcząc z napływającymi rokoszanami. Opór sił koronnych słabł z każdą chwilą. Pospolite ruszenie Lubomirskiego docierało już do brzegu błotnistej przeprawy, zostawiając za sobą trupy i krew.

Jezierski poczuł, że trzeba się wycofać. Obok niego ginęli dobrzy żołnierze, ciała spadały z koni jak sople w odwilży. Konrad machnął szablą i skrzyżował ją z wrogiem o sumiastych wąsach i wielkim brzuchu. Ulubiony kasztan porucznika dostał szablą w ucho i bardzo krwawił. Walczył jednak dalej.

Z oddali wyłonił się jeszcze jeden pułk i zbiegał ze wzgórza prosto na oddział Jezierskiego, gdy ten poczuł, że z boku leci mu krew. Wymacał ranę palcami i dostrzegł, że nie jest zbyt głęboka, ale bolesne draśnięcie mogło stać się początkiem kłęski. Puścił lejce i złapał zakrwawioną szablą za oba końce. Puścił i rozplatał tego, który zadał mu cios.

Kolejny pułk rokoszan natarł wprost na jego oddział. Znow słyhać było straszne wycie. Konrad poznał, że sytuacja jest beznadziejna. Walczył już tylko z nieliczną jazdą. Zamachnął się i odciął głowę kolejnemu jeźdźcy w białej opasce na ramieniu. Na niewiele się to zdało, bo kilku rokoszan otoczyło go, poznawszy, że mają do czynienia z dowódcą oddziału. Żaden z nich nie zamachnął się jednak. Patrzyli tylko wrogo, jak sępy, ale też z szacunkiem.

Konrad nie wiedział, co to znaczy, i pomyślał, że rokoszanie najpewniej chcą go wziąć do niewoli. Już podnosił szablę, by rozplatać nią jak najwięcej brzuchów, gdy nagle tłumek rozstał się, wyraźnie na kogoś czekając.

Porucznik znieruchomiał, bo w środek wjechał spokojnie Karol Jezierski i spojrzał na syna z niekłamaną satysfakcją.

– Bijcie dalej, jego mnie zostawcie – warknął do pobratymców.

Tłumek posłusznie rozstał się. Niektórzy spojrzeli na starego Jezierskiego, a w ich oczach widać było bezbrzeżny szacunek, a nawet strach.

– Ojczy, co ty robisz? Czyżbyś oszalał?! – zapytał Konrad, zwieszając szablę.

– Jak śmiesz! Walcz, nędzny królewski łachmanie!

Konradowi aż pociemniało w oczach, ale nie z wściekłości, lecz ze zgryzoty. Zrozumiał, że padł ofiarą podłego losu, a złowrogi chichot rozbrzmiewał mu w uszach.

Spojrzał na ojca, ale wciąż nie podnosił szabli. Wtedy Karol zamachnął się swoją i jakby w zwolnionym tempie nacierał ostrzem nad głowę syna. Dopiero wtedy, w przyływie świadomości, Konrad uniósł szablę i skrzyżował ją z ojcowską, by nie paść trupem pod jego ciosem.

Dla niewprawnego oka mogło się wydawać, że ojciec i syn walczą jak równy z równym, przy czym każdy chce zwyciężyć. Jednak Jezierscy robili coś innego. Karol machał zręcznie, ale nie za szybko, by przypadkiem nie zranić syna zbyt mocno i dać mu czas na odparcie ataku. Konrad zaś bronił się zaciekle, ale nie atakował w ogóle. Czuł przy tym, że ojciec wcale nie chce go zabić, jedynie pojedykuje się z nim w siodle, jak uczeń z nauczycielem. Wpatrywali się w siebie natarczywie, ale z narastającym żalem. Obaj wiedzieli, że trudno będzie wyjść z bitwy żywym.

– Wiesz, że twój król postąpił najhaniebniej, jak mógł? – zapytał ojciec, przysuwając się bliżej i udając, że właśnie równają się szablami tuż przy

twarzach.

– Nie czas na rozmowy, ojczy – sapnął Konrad.

– Mnie tu nie o politykę chodzi, durniu – syknął Karol, obracając się w siodle i płatając szablą kolejnego żołnierza jazdy. – Król wysłał do Chojen dwóch posłów z listami, jednego po drugim. Ale powiedział im, żeby do Chojen nie zaszli, lecz ukryli się koło Piotrkowa i nie wracali do Warszawy, choćby im dusza miała wyjść. I żeby twoje listy podarli.

– Dlaczego? – zapytał Konrad, nagle nieruchomiejąc.

– Bo wiedział, co by ci matka odpisała, i wtedy nie chciałbyś walczyć przeciwko mnie. Król by stracił dobrego dowódcę i pułk musiałby kto inny poprowadzić. A przecież ty jesteś w wojnach wprawiony i królowi szczerze oddany.

Znów udali, że atakują, a rokoszanie nie przeszkadzali im w pojedynku. Konrad odpierał ataki coraz słabiej. Słyszał, że wojska koronne poczęły wycofywać się w popłochu, bo z lewej strony nadciągał nowy oddział.

– Chyba przegraliście – mruknął ojciec nie bez satysfakcji. – Powiem ci jeszcze jedno ważne, a potem popędź konia i walcz z rzeką, aby szybko, bo rana ci krwawi.

– Powiedz, ojczy.

– Król kazał niejakej Iłowiczowej, co jest taką murwą, co powinna w zamtuzie siedzieć, żeby cię uwiodła, byś w Warszawie pozostał.

Z wściekłości Konrad nie mógł złapać tchu. Tak mocno stracił rezon, że zapomniał zapytać ojca o Andruszkiewiczów. Siedział przez chwilę nieruchomo w siodle, a mijała go przerażona konnica rzucająca się do ucieczki. Wokół szaleli rokoszanie wymachujący szablami i wskazujący za kazimierczykami do błotnistej wody. Ból w boku dokuczał Konradowi coraz bardziej, ale nie zważał na to.

– A więc to wszystko intryga?

– Tak, ale teraz uciekaj przez bród, ratuj siebie – warknął Jezierski.

Konrad rzucił ostatnie spojrzenie na twarz ojca, po czym zawrócił konia. Jego oczom ukazał się przerażający widok. W krwi i kurzu miotała się dragonia, rozjeżdżana przez spanikowaną jazdę. Ścigali ich rokoszanie i dobijali nawet najzręczniejszych żołnierzy Jana Kazimierza. Popłoch zamienił się w panikę. Konrad szukał wzrokiem swojego oddziału, wołał, ale nieliczni, którzy przeżyli, uciekali, robiąc krwawą miazgę z dragonów, bo ci też rzucili się do brodu.

Ranni jęczeli, a rokoszanie dobijali ich okrutnie, płatając szablami głowy i rozpruwając brzuchy. Pozory spokoju zachowywał tylko Jan Sobieski, ale nawet na jego kamiennej twarzy widać było oznaki przerażenia. Hetman próbował wyprowadzić piechotę spod kopyt konnicy i ustawić ją po prawej stronie, ale nie miało to już sensu. Dragoni, którzy nie zostali wybici lub stratowani, biegli w popłochu do rzeki i rzucali się w bagnistą toń.

Konrad już nie walczył. Popędził kasztana do brodu i rzucił się w toń jak reszta.

– Wycofujemy się! – huknął wreszcie hetman.

Konrad dostrzegł, że Sobieski zgubił w tumultie karwasz i szablę. Nie miał też łuku. Misiurka zawadiacko przekrzywiła mu się na bok. Zeskoczył z konia i rzucił się do rzeki. Zewsząd dobiegały okrzyki przerażenia i głuchoe huk wystrzałów. Większość dragonów leżała martwa nad brzegiem Noteci. Bagnista rzeka zmieniła kolor i krew odznaczała się w mule zgniłym szkarłatem.

Jezierski spostrzegł, że obok niego brodzi Sobieski. Jego koń utonął w grząskiej mazi, ale hetman walczył jeszcze, choć coraz bardziej się zapadał. Konrad oparł jego ramię na łbie swojego kasztana i z mozołem

pociągnął konia za uzdę. Zwierzę szarpnęło i wyciągnęło Sobieskiego z bagna.

Za sobą usłyszał, że kolejni rokoszanie wskakują do Noteci i wybijają uciekających. Wściekłe ryki mieszały się z jękami umierających i wciąganych przez rzekę. Rozpoczęła się bratobójcza rzeź, jakiej nie pamiętał chyba nikt żyjący.

Konrad poczuł, że słabnie. Dał znak Sobieskiemu, by pociągnął konia i poszedł przodem. Sam zaś został z tyłu i młócił rękami w bagnie, tracąc czucie i siły. Niechybnie jego głowa utonęłaby w bagnie i Jezierski zginąłby tragicznie, ale w ostatniej chwili czyjeś ręce chwyciły go mocno i wyciągnęły na powierzchnię. Konrad ostatkiem sił naprężył mięśnie i stracił przytomność.

XX



Gdy się obudził, poznał, że nie znajduje się w królewskiej mocy. Chata była duża, drewniana i wyglądała jak niewielki szlachecki folwark. Spojrzał przez okno i zobaczył, że nastąpiła noc. Świerszcze grały, a księżyc wyszedł zza chmur i oświetlił izbę.

Było to niewielkie pomieszczenie, ale urządzone bogato i po szlachecku. Nad łóżem rozpościerał się skromny baldachim w pomarańczowe i fioletowe romby. W rogu stały dwie duże skrzynie. W świetle księżyca Jezierski dostrzegł, że ścianę pokrywa duży szkarłatny arras przetykany złotymi nićmi. Srebrna tarcza odsłoniła coś jeszcze. Konrad dźwignął się na łożu, podparł łokciami i na widok wielkiego portretu niemy krzyk zamarł mu na ustach. Obraz ukazywał Jerzego Sebastiana Lubomirskiego.

Już wiedział, że znajduje się w niewoli. Nie mógł jednak wstać, bo siły nie wróciły mu jeszcze i czuł, jak przy każdym ruchu kręci mu się w głowie, a skronie oblewa zimny pot. Był jednak na tyle przytomny, by wiedzieć, że niewola u rokoszan to tragedia. Poprzedniego dnia pod Mątwami z zimną krwią wybili oni prawie całe wojsko koronne.

Konrad ponownie opadł na łoże bez sił i zaczął rozmyślać o swoim położeniu. Wszak nie mogło być tak źle – nie dobito go jak pozostałych.

Leżał w przyzwoitym miejscu, o którym inni jeńcy mogliby pomarzyć. Zastanawiał się więc, co to wszystko znaczy.

Szybko przypomniał sobie szczegóły bitwy. Widział twarz ojca, słyszał jego ochryply od krzyku głos. I wtedy przypomniał sobie o intrydze Jana Kazimierza, który chciał wszelkim sposobem zatrzymać sługę w Warszawie. Poczł odrazę, nie tylko do króla, też lecz także do siebie samego – przecież na własne życzenie dał się wciągnąć w romans z Krystyną. Jednak na zniszczone listy i zawróconych posłańców nie mógł nic poradzić. Zawiódł się ogromnie na królu, a im dłużej przebywał na dworze, tym wyraźniej dostrzegał wszechobecny fałsz. Spiskowali wszyscy przeciwko wszystkim. Austriackie dwórki, pobożne siostry wizytki, służba. A jeśli ktoś miał szansę, by dostać urząd, zatrąwał powietrze w pałacu jeszcze bardziej niż inni.

Złość wypełniła umysł Konrada. Przypomniał sobie, że król faworyzował go ostatnimi czasy, obiecywał urząd hetmana i posadził blisko siebie podczas uczyty oraz uczynił porucznikiem.

A więc i Krystyna to sprawka Jana Kazimierza. Konradowi trudno było w to uwierzyć. Zatopił się w ponurych myślach. Cokolwiek robił w tym miejscu, musiał uciekać. Nie było jednak dokąd.

Wtem przy drzwiach usłyszał chrobot. Przeżegnał się, bo na nic innego nie starczyło mu sił, i czekał. Drzwi poczęły otwierać się delikatnie i powoli, jakby ktoś się skradał.

– Nie ma co mnie nieprzytomnego nożem dźgać. Nie śpię – powiedział kwaśno Konrad, ale zamiast rokoszan z szablami zobaczył jeden cień.

– Cicho bądź – syknął mężczyzna stojący w progu i wszedł do izby, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Był to Karol Jezierski. Poświata księżycy padła na jego blade oblicze.

– Musisz stąd natychmiast uciekać – powiedział.

Konrad dźwignął się na łożu, lecz miał niewiele sił. Rana już nie krwawiła, ale każdy wysiłek mógł otworzyć ją na nowo.

– Zmienię ci opatrunek, a potem wyjdiesz stąd, wsiądziesz na mojego konia i odjedziesz do Chojen. Albo do króla – dodał Karol po chwili wahania.

– Ojczy, co się właściwie stało i dlaczego tu trafiłem?

– Kiedy zacząłeś przeprawę, dopadło cię kilku rokoszan. Uznali, że zwiąłeś mi podczas pojedynku, więc będą chciał cię wykończyć później. Zrobili mi niespodziankę, która nie mogła mnie bardziej uszczęśliwić. Gdyby nie oni, utonąłbyś w bagnie.

Karol pomógł synowi usiąść i uklęknął przy jego boku. Zmienił mu opatrunek szybko i delikatnie. Konrad nigdy nie podejrzewałby ojca o taką łagodność.

– Dlaczego jestem na łożu w izbie? Powinienem raczej gnić gdzieś pod strażą.

– Lubomirski bardzo mnie szanuje – odparł Karol nieco chłodno. – Jesteś moim synem, więc zapewnił mnie, że będziesz mógł spać w jego opuszczonych letnich włościach. Poza tym miałeś być gotowy na pojedynki ze mną. Lubomirski chciał też wydrzeć z ciebie kilka tajnych informacji na temat wojsk koronnych. Ale to mu się nie udało, bo będziesz już daleko stąd, gdy przyjdzie.

– Nie ma tu żadnej straży?

– Jest dwóch rokoszan, ale się popili i śpią przy drzwiach do sieni. Wniosłem ich do środka. A dalej jest część pospolitego ruszenia. Niektórzy mają konie przywiązane do drzew i wciąż piją.

– Daleko stąd?

– Ot, niecałe pół mili będzie.

Karol wsunął głowę pod ramię syna i dźwignął go w górę. Konrad poczuł, że zwymiotuje, więc przez chwilę stał nieruchomo, aż mdłości zelżały. Szli powoli do drzwi, a młody porucznik, choć nie miał siły, próbował pewnie stać na nogach i iść jak najciszej.

– Dlaczego teraz mi pomagasz, skoro zaciągnąłeś się do wroga?

Choć pytanie Konrada było bezczelne, Karol westchnął, a w jego oczach pojawił się żal.

– Wiedziałem, gdzie zamierza stanąć wojsko Lubomirskiego. Król nie wygrałby z nami. Bałem się o twoje życie, więc powiedziałem, że gdy już cię dopadną, to mają nie zabijać, tylko zostawić mnie, bo chcę cię sam ukarać i za bratanie się z królem – zabić. Zaczęli traktować mnie z szacunkiem, bo bali się kogoś, kto może dla zemsty pochłastać szablą syna. Jerzemu to wystarczyło, uczynił mnie prawą ręką. Nie było go pod Mątwami, ale rozkazał mi nadzorować wszystkie ruchy wojsk.

– Ojczy, czy chcesz powiedzieć, że uratowałeś mi życie, pojedynkując się ze mną? – zapytał z niedowierzaniem Konrad, a lekki uśmiech zastygł mu na twarzy.

– Właśnie tak. Nic nie jest droższe od własnego dziecięcia, kiedy jest się rodzicem. Pozostałych jeńców rokoszanie wytlukli.

Karol lekko popchnął drzwi i ruszyli przez próg. W sieni rzeczywiście spało dwóch szlachciców. Opierali się o ścianę i wyglądali jak dwie kolumny leżące po obu stronach wejścia.

Konrad dał ojcu znak, że może poruszać się sam, więc stary Jezierski poszedł przodem i pchnął skrzypiące drzwi. Wyszli na podwórze. Powietrze było przyjemnie świeże. Znajdowali się na niewielkiej polanie. Przed nimi biegł trakt. Konrad poczuł się lepiej i łapczywie chwycił w nozdrza nocne

powietrze. Już miał żegnać się z ojcem i wsiadać na konia, gdy nagle przeciąg trzasnął drzwiami.

W sieni rozległy się hałasy. Karol pomógł synowi wsiąść na konia i odwiązał go od pnia. W tej samej chwili z sieni wypadło dwóch pijanych rokoszan.

– Haj! – krzyknął stary Jezierski i mocno klepnął w zad siwka.

– Uwalniasz go?! Zbieg! Zbieg! – wołali pijani rokoszanie, wyjmując samopały.

Jednak Konrad pędził już traktem na południe. Nagle coś huknęło, aż przestraszone ptaki zatrzepotały nerwowo skrzydłami, wzbijając się w niebo. Konrad obejrzał się przez ramię z bijącym sercem, choć czuł, że właśnie dzieje się coś strasznego i ostatecznego. Krzyk uwiązał mu w gardle, gdy spostrzegł, że rokoszanie wystrzelili z samopałów, a kula trafiła ojca. Stary Jezierski zachwiał się i niepewnie przeszedł jeszcze kilka kroków.

– Jedź i nie zatrzymuj się! – krzyknął ostatkiem sił, patrząc na oddalającego się syna. I padł martwy na ziemię.

XXI



Staszko Grosik majaczył w gorączce, wymieniając półprzytomnie nazwy miast leżących koło Łodzi. Matka załamywała ręce i znowu lamentowała, że jej syn do niczego się nie nadaje. Jednak tym razem ton jej głosu był inny niż zazwyczaj. Grosikówna z trudem powstrzymywała łzy, oglądając nabrzmiałe plamy na plecach syna. Jednocześnie złorzeczyła, jakby miało to pomóc cierpiącemu dziecku.

– Matkę wpędzisz do grobu, dzieciaku! Tyle z ciebie pożytku, co z dwunastoletniego wołu. A ja ci nowe spodenki zrobiłam. A ja ci chleb oddawałam z własnej gęby do ostatniego kęsa. I po co? Żebyś mi się pochorował i umarł? A ja cię własną piersią ogrzewałam, gdy cię dzicy chcieli wypędzić i do samego księdza po radę poszłam. Ostatnie mleko oddawałam! A ty się tak odpłacasz?

Staszko nie słyszał zawodzenia matki. Majaczył w gorączce od kilku godzin.

– Ja te plamy u matki widziałam. Te plamy tylko najgorsze zwiastują – wtrąciła stara Grosikowa i podniosła wzrok na córkę.

– Trzeba sprowadzić księdza – powiedziała dobitnie. – Pozostaje modlić się do świętej Barbary.

Córka nie chciała jednak iść po księdza.

– Przecież on wyzdrowieje, nasza ptaszyna, nasz Stasio. Plamy, też mi wielka rzecz – powiedziała, po czym wybuchła spazmatycznym płaczem.

Grosikowa spojrzała na roztrzęsioną córkę i gniew uderzył jej do głowy. Nie była przyzwyczajona, że ktokolwiek w domu wątpi w jej wiedzę na temat chorób.

– Przestań się mazać. Przynajmniej ci we wsi bękarta zapomną i przestaną patrzeć na ciebie, jak na murwę. Strawy też więcej do podziału zostanie. Bez dziecka szczęścia w służbie jakiejś możesz poszukać.

Córka rzeczywiście uspokoiła się, ale raczej pod wpływem szoku niż pociechy. Ubrała się szybko i wyszła po księdza.

W godzinę rozniosło się, że mały Grosik kona. Nie wiedzieć czemu, Wandę ogarnęło jeszcze większe przygnębienie. Czuła, że z beznadziei nie ma wyjścia i coś wchłania Łódź, wchłania całą Ziemię Łęczycką, całe Sieradzkie, wschodnią Wielkopolskę, a wreszcie Rzeczpospolitą. I nie ma z tej gardzieli ucieczki, bo supeł, który trzymał mocno, teraz całkiem zacisnął się na tchawicy mieszkańców i dusi okrutnie, aż do utraty świadomości.

Wanda nie pobiegła do Grosików, lecz na cmentarz. Uklękła przy grobie dziaduszki, jakby miało jej to przynieść ulgę. Po chwili rzeczywiście poczuła otuchę, ale zaraz zapłakała lekko i usiadła przy kopczyku z twarzą ukrytą w ramionach.

Siedziała tak przez dłuższą chwilę, kiedy nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Spojrzała za siebie i zarumieniła się lekko, bo stał za nią Andrzej Szczygieł.

Kolejny, który mnie śledzi? – pomyślała Wanda z lekką goryczą. Uśmiechnęła się jednak grzecznie.

– Dlaczego płaczesz, Wandziu? – zapytał Andrzej.

Wyglądał lepiej niż zwykle. Jego oczy błyszcząły, a uśmiech rozjaśniał pyzată twarz.

– To bardzo smutne, że Staszek umiera – powiedziała Wanda, nie wyjawiając całej prawdy.

Co by mu zresztą miała powiedzieć? Że kocha się w poruczniku, którego pewnie już nigdy nie zobaczy, i tylko z powodu presji i groźby staropanieństwa zgodziła się przyjąć swata? Że to miasto pochłania i wciąga ją w poczucie beznadziei? Nie, zdecydowanie nie mogła mu powiedzieć o niczym.

– Tęsknisz za kochanym dziaduniem Sobótką? – zapytał Andrzej, podchodząc.

Miał łagodne spojrzenie i wyglądał, jakby było mu jednocześnie żal i wesoło.

– Bardzo – odpowiedziała Wanda zgodnie z prawdą. – Dziadunio był bardzo mądry i zawsze umiał mnie pocieszyć.

– Myślę, że nie odszedł na marne – stwierdził Andrzej, siadając obok Wandy. – Łódź się zmieniła, odkąd umarł.

– Tylko na chwilę i tylko pozornie – odparła Wanda obcesowo.

Ta śmiała uwaga zdumiała Andrzeja. Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Młody Szczygieł wyczuwał, że Wanda tego potrzebuje.

Wieczornym powietrzem przyjemniej się oddychało, siedząc na Górkach Plebańskich niż w środku miasta. Choć Wanda czuła skrępowanie, nie uciekała i siedziała obok Andrzeja. Wątpiła jednak, że może powiedzieć jej coś pokrzepiającego.

– Wieczór nadchodzi – powiedziała.

– Słyszysz, jak ryczą woły? Spokojna ta nasza Łódź.

– Spokojna? – zapytała Wanda, a na jej twarzy po raz pierwszy od dłuższej chwili zagościł lekki uśmiech. – Ciągle coś się dzieje...

– Jak nie pożary, to plebańskie jabłka – wpadł jej w słowo Szczygieł.

Przez chwilę nawet ją to rozbawiło, ale przypomniała sobie o Staszku i znów spoważniała. Poczowała się jednak trochę lepiej i pomyślała, że życie z Andrzejem wcale nie musi być najgorsze. Wyglądał na poczciwego i starał się ją rozweselić. Za nic miał dobre obyczaje, samotne spotkanie nie byłoby dobrze widziane w miasteczku.

– Zastanawiałaś się kiedyś, kto jest ojcem Staszka Grosika? – zapytał po chwili, łypiąc na Wandę ciekawsko.

– Chyba cała Łódź się nad tym zastanawia i od siedmiu lat nikt nie może dojść prawdy.

– Musiał to być jakiś wielki romans, bo Grosikówna ani słowa nie pisnęła. Może nawet z jakimś paniskiem się zadawała.

Ale wiedzieli oboje, że ta wersja jest nieprawdopodobna. Przez chwilę rzucali więc różne pogłoski, ale żadnej nie mogli sprawdzić.

Wanda westchnęła i stwierdziła, że czas wracać do miasta. Choć rozmawiało jej się z Andrzejem dosyć miło, nie mogła ryzykować, żeby węszący Wiesio przyłapał ją z mężczyzną, w dodatku na cmentarzu.

Słońce schowało się już za lasem i całą Łódź spowił nadchodzący mrok, ale miasto aż gotowało się od rewelacji. Przypominało teraz wielki wulkan bliski erupcji, chociaż zazwyczaj podczas wybuchu miejskich skandali nie lało się wiele lawy.

Wandę minęła Marysia Szczygłówna. Jej twarz była czerwona od emocji. Wanda od razu poznała, że jakaś nowa sensacja zakończy gorący lipcowy dzień.

– Co tam, Maryś?

– Wandziu, co za zgryzota! Czy już słyszałaś najnowszy skandal?

Wandzine serce zabiło mocniej. Ostatnim razem, gdy rozmawiała z Marysią, dowiedziała się, że częściowo chodzi o nią samą. Jednak tym razem sprawa musiała być zupełnie inna, bo Marysia nie unikała wzroku Sobótkówny, a dodatkowo aż się zapowietrzała, tak bardzo chciała opowiedzieć o tym, co wrzało w spokojnej Łodzi.

– Co się znowu stało?

– Grosikówny dziecko umiera. Przyszedł ksiądz i zastanawiał się, jak tu pomóc. Uparł się, że musi wiedzieć, kim jest ojciec Staszka – mówiła pospiesznie Marysia.

Wandzie z każdym słowem stawało się bardziej przykro, ale słuchała dalej.

– Grosikówna nie chciała powiedzieć, tylko płakała nad dzieckiem, a ono podobno okropnie majaczyło. Ksiądz się uwziął za to jabłko i dalej pyta. Mówi, że inaczej sakramentów nie może zrobić. I wiesz, co się okazało? Że to szwedzkie dziecko!

– Jak to szwedzkie? – zapytała tępo Wanda, marszcząc brwi.

– Ot, gdy nas napadli Szwedzi, to rabowali, zabijali, popalili wszystko. Zresztą pamiętasz lepiej niż ja, bo jesteś starsza. Dziewki uciekały, bo je tratowano końmi. A ta głupia Grosikówna została w lepiance, z której nie dało się niczego ukraść, bo nic tam w izbie nie było prócz ławy i dwóch taboretów. I przybyli Szwedzi...

Maryś przerwała i chyba trochę się zmieszała, bo spuściła wzrok. Wanda zrozumiała, że Grosikówna, tak zhańbiona przez los, jeszcze większej podłości zaznała.

– Wiesz, Maryś? Ja już pójdę – powiedziała cicho i wyminęła Szczygłównę, ledwo powstrzymując napływające łzy.

Staszek zmarł miesiąc przed dniem świętego Rocha. W Łodzi zmieniło się niewiele, ale jakiś nieznośny nastrój nawiedził mieszczan. Zły humor

pojawiał się u łodzian zwłaszcza wtedy, gdy stawali przed faktem, który ich przerastał. Nie odzywali się do siebie wiele, tylko chodzili w pole i pracowali.

Wanda czuła się jeszcze podlej. Miasto zdawało się ją pochłaniać. Nie mogła znaleźć dla siebie miejsca i rozdrażnienie chwyciło ją za gardło jak zmora, gdy tylko ktoś ośmielił się poruszyć temat Staszka Grosika lub jego matki. Działo się to jednak rzadko, bo łodzianom zwyczajnie było głupio.

Pewnego razu, kiedy wracali wieczorem z pola, natknęli się na starego mężczyznę. Nikt w mieście go nie znał, więc na początku wszyscy przyglądali mu się podejrzliwie. Niechęć wzbudzał jego wygląd. Starzec opierał się o drewniany kij i wyglądał jak nędzarz. Szedł z trudem. Brudne łachmany wisiały na nim i przysłaniały nie tylko ciało, lecz także głowę, tworząc u góry coś podobnego do kaptura. Wystawała spod nich stara, zniszczona płócienna koszula. Lniane spodnie, całe w plamach, były dziurawe na kolanach. Bose nogi przypominały zwierzęce łapy, bo paznokcie miał starzec niczym szpony.

Na twarzy były widoczne blizny i świeże rany prawdopodobnie od pazurów. Nos włóczęgi wyglądał jak wielki kartofel, co kontrastowało z wąskimi ustami. Najgroźniejsze były jednak oczy – ogromne, elektryzująco błękitne, nieufnie rozglądające się wokół.

– Czego tu? A sio! – wołała biedota.

Starzec tylko łypał na łodzian spod kaptura i szedł niestrudzenie, jakby nie słyszał wrogich okrzyków. Mężczyźni zaczęli zbierać się w mniejsze grupy. Jeszcze nie podchodzili do nędzarza, ale już czaili się na niego jak sępy.

Biedak przechodził przez zwykle spokojną Łódź. Wyglądał na zadowolonego z siebie, choć zauważał nieprzychylnie spojrzenia. Nieco przyspieszył. Był jednak bardzo zmęczony. Zauważył, że w obejściach

krzątają się ludzie. Łodzianie zaganiali bydło, dolewali wołom świeżej wody i zapędzali kury do sieni.

Nędzarz minął dom Sobótków i przystanął przy płocie Żelichowskich. Gospodyni karmiła kury. Odwróciła się, wyraźnie czując na sobie baczną wzrok. Gdy zobaczyła nieznaną postać w kapturze, krzyknęła ze strachu, ale zaraz opanowała się i spojrzała na żebraka z wyższością. Starzec wykrzywił wargi w ironicznym uśmiechu, jakby był przyzwyczajony do tego, że wzbudza strach.

– Cicho, moja pani dobrodziejko – powiedział chrapliwie i położył palec na ustach. – Proszę się nie bać.

Z sieni wyszedł Wiesio. Wyprostował się z godnością i popatrzył zaczepnie na nieznanomego.

– Idę cały Boży dzień, a jeszcze niczego w ustach nie miałem. Ochłapem rzućcie, dobra rodzino – poprosił i nieco odsunął kaptur, by lepiej widzieć.

Żelichowska z niechęcią spojrzała na nędzarza, ale obyczaj nakazywał biednego nakarmić.

– Ale w gościnę na wieczerzę nie przyjmę – powiedziała chłodno i zamierzała wejść do domu, by wziąć trochę chleba i mięsa.

– Chyba że za przepowiednię – rzekł starzec, wykrzywiając usta w grymasie.

Gospodyni pomyślała chwilę, po czym kazała włóczędze zaczekać przed płotem i poszła naradzić się z mężem. Stary Żelichowski utykał ostatnio mocniej, więc tylko stanął w progu sieni i dał znak żonie, by wpuściła starca.

– Chodź, dziadu. Dostaniesz mięsa za przepowiednię.

W izbie panował przyjemny chłód. Żelichowska postawiła przed gościem michę wieprzowiny z kapustą i dołożyła suchy chleb. Nędzarz jadł

łapczywie, ale co chwilę spoglądał na Żelichowskich spod kaptura.

– Skąd idziesz, dziadu? – zagadnął Wiesio.

– Trudno powiedzieć – zarechotał starzec, przeżuwając kolejny kęs chleba.

– Okrutnie gorąco tego lata – wtrącił ojciec Wiesia, patrząc ciekawsko na kaptur przybysza.

– Plony pewno marnieją?

– Ot, nie nowina. Marnieją od lat – westchnęła Żelichowska i dołożyła starcowi kapusty.

Gdy skończył jeść, popatrzył na nich przenikliwie błękitnymi oczami i odchrząknął.

– Jakem zapowiedział, tako i trzeba zrobić. Dobrzy z was ludzie, bo mnie nakarmiliście i pierwszy raz od dawna głodny nie jestem. Za to należy się przepowiednia dla każdego. Prawa dłoń mi będzie potrzebna.

Stary Żelichowski wystawił rękę pierwszy. Nędzarz ujął ją wierzchem do dołu i popatrzył na linie. Przez chwilę kołysał się w przód i w tył, przymykał oczy i wydawał z siebie na przemian wyższe i niższe dźwięki. W końcu rozpromienił się, jakby przypomniał sobie odpowiedź na wyjątkowo trudne pytanie i zaczął mówić.

– Widzę zamęt. Pan się nadzieje na jakiś trudny problem i nie będzie wiedział, którą stronę wesprzeć. A w którą stronę nie pójdzie, to będzie źle. Widzę rozdarcie i wyrzuty sumienia.

Stary Żelichowski wyswobodził dłoń z uścisku. Następną przepowiednię rozpoczął ochryply jęk.

– Bardzo długie życie – mówił starzec, trzymając dłoń Wiesia – ale szykuje się jakiś zawód, rozgoryczenie. Okaże się, że... – tu starzec zawiesił na chwilę głos, jakby szukał potwierdzenia swoich przypuszczeń – okaże się, że nadejdzie przykra niespodzianka. Jakiś zawód, a za zawodem

cierpienie. Tak, najpierw zadowolenie, a nawet wesołość, a potem rozczarowanie i cierpienie.

Następna była Żelichowska. Starzec ujął jej rękę delikatnie, ale zaraz znów pogrążył się w dziwnym transie i ścisnął nagle dłoń mocno, aż kobiecie wyrwał się z piersi jęk bólu.

– Śmierć wroga – powiedział krótko i szybko puścił dłoń.

– Wrogów jest wielu, więc mam nadzieję, że się spełni – zaśmiał się wesoło Wiesio.

Nędzarcz nie podzielał jednak wesołości. Szybko dopił ostatnie łyki gorzałki, po czym wstał, wylewnie podziękował za gościnę i wyszedł, kręcąc głową z ledwie skrywanym lękiem.

Łódź pogrążyła się w mroku. Wanda ułożyła się na zapiecku, ale nie mogła zasnąć. Za oknem świszczął wiatr i szalała potężna wichura. Drzewa szumiały smagane podmuchami. Poza tym było cicho. Z podwórza nie dobiegało ani ryczenie wołów, ani muzykowanie świerszczy. Wicher groźnie pędził chmury, więc księżyc pojawiał się i znikał. Jego blade światło czasem wpadało do izby, w której leżała Wanda.

Rozmyślała o dziaduniu Sobótce i jego mądrości. Gdyby żył, wszystkie sprawy mogłaby zrozumieć. Może nie powiedziałyby mu o głębokim afekcie do Konrada, ale zapytałyby, czy poczucie beznadziei, które odczuwa, jest zwyczajną przypadłością, czy lepiej sięgnąć po zioła. Nie pomógłby jej jednak ani szalej, ani mniszek czy bagniak. Nieszczęśliwą miłość trudno było uleczyć, a okoliczne znachorki, choć zwykle obiecywały, że podejmą się tego zadania, zawsze opuszczały dziewczęta w poczuciu ostatecznej beznadziei i jeszcze większego niezrozumienia. Zresztą nie odczuwała smutku tylko z powodu Konrada. Miasto coraz

bardziej ją przytłaczało, jakby chciało wydrzeć z niej trochę miłości dla siebie. Bo Łodzi nikt już nie kochał.

Wanda wstała i podeszła do okna. Przez chwilę patrzyła, jak chmury suną po niebie, zasłaniają i odsłaniają gwiazdy, muskają lekko tarczę księżyca i podążają na południe, jakby miały do wypełnienia podniebną misję.

Wtem jej wzrok padł na drogę, a księżyc triumfalnie wynurzył się cały, oświetlając ją srebrzystą poświatą. Wandzie aż krzyk zamarł w gardle, bo przed płotem Sobótków zobaczyła leżącą postać. Nie ruszała się i widać było, że albo to ktoś nieżywy, albo bliski śmierci.

Choć czuła się niepewnie, przeszła do sieni i otworzyła drzwi, by zobaczyć, kto to. Wiatr natychmiast wdarł się do środka, a kury wybudzone ze snu zaczęły otwierać oczy, wzdrygać się od wiatru i napuszać. Podniosło się lekkie gdakanie, ale Wanda nie zwracała na to uwagi. Najciszej jak mogła, zamknęła drzwi i zaczęła skradać się w stronę płotu. Postać leżała twarzą do ziemi i Wanda nie poznała, czy żyje. Wiedziała jednak, że nie jest to łodzianin, bo miał na sobie strój szlachecki i szablę przy boku. Jej serce zaczęło tłuc się w piersiach jak oszalałe i przez chwilę stała przy płocie, nie mogąc oprzeć się nadziei, że przed chatą leży młody Jezierski. Kędzierzawe włosy nieznanego rozwiewał wiatr i nie było wątpliwości, że jeśli nie jest to Konrad we własnej osobie, to albo ktoś bardzo do niego podobny, albo zjawa.

Wanda nie czekała dłużej. Targana emocjami wyszła na drogę i delikatnie dotknęła ręką leżącego. Był ciepły, więc poznała, że żyje. Starła się obrócić ciało na wznak, ale nie miała tyle siły. Poznała, że istotnie ma do czynienia z kimś łudząco podobnym do Konrada. Światło księżyca schowało się jednak za chmurami, więc Wanda doszła do wniosku, że najlepiej zrobi, budząc ojca.

Sobótkowie już nie spali. Obudziło ich gdakanie kur i wiatr, który wdarł się do izby przez sień. Stali na przyzbie i patrzyli, jak córka bezskutecznie próbuje przewrócić ciało.

– Zostaw, bo mu zrobisz jeszcze większą krzywdę – powiedział Ryszard.

Podszedł i delikatnie obrócił mężczyznę. Księżyc wyszedł zza chmur i oświetlił jego twarz tak wyraźnie, jakby użył do tego całej mocy świecącej tarczy. Wandzie serce poczęło tłuc się w piersi jak oszalałe, bo poznała te zgrabne karminowe usta i oczy, które – choć zamknięte – nie mogły należeć do nikogo innego.

– Ależ to jaśnie pan Jezierski! – westchnął zdumiony Ryszard.

Wyczuł, że serce szlachcica bije mocno i wyraźnie, jakby chciało zaznaczyć, że organizm dopadła tylko chwilowa słabość.

– Czy żyje? – zapytała Wanda, starając się nadać pełnemu rozpaczycy głosowi nieco obojętności.

– Żyje, ale trzeba go zabrać. Nie może tu leżeć nieprzytomny całą noc.

Ryszard nie był mocarzem, ale udało mu się zaciągnąć Jezierskiego do izby. Zmęczył się, bo ciało Konrada było bezwładne.

– Omdlał ciężko, bo nawet jęku z siebie nie wydał – powiedział Ryszard, oglądając opatrunek. – Ranny jest w bok. Chyba od szabli.

Sobótkowie stali nad ławą, na której spoczął Konrad, i zastanawiali się, co z nim zrobić. Nie znali się na leczeniu, ale wiedzieli, że przy wszystkich chorobach trzeba upuścić krew. Nie śmieli jednak nastawać na szlachecką godność, więc tylko wzięli kubek wody i próbowali wlać trochę do ust szlachcica. Wanda stała za nimi i podziwiała piękną twarz Jezierskiego, który wyglądał, jakby spał i śnił o czymś niepokojącym. W rzeczywistości był to grymas bólu.

– Wanda, teraz ty spróbuj – poleciła Zofia, podając córce kubełek z wodą.

Wanda wzięła go drżącą ręką i nachyliła się nad szlacheckim obliczem, rozlewając nieco wody na koszulę porucznika. Ręce trzęsły jej się, a serce waliło jak oszalałe. Była pewna, że rodzice zaraz odkryją jej sekret, ale na szczęście się myliła. W mroku nie widzieli bowiem jej bladej twarzy i przerażonego, lecz pełnego miłości spojrzenia. Łagodnie ujęła głowę Konrada, jakby była zrobiona z drogiego kruszcu i nieco ją podniosła. Pod palcami poczuła delikatne loki i z roztargnienia wylała jeszcze trochę wody, tym razem na twarz Jezierskiego.

Nieoczekiwanie odniosło to skutek. Jezierski szarpnął się i wymruczał coś niewyraźnie.

– Gorączka mu czoło rozpala – powiedziała Zofia. – Trzeba zmienić opatrunek, bo krew rozlała się po całej chuście.

Sobótkowie nie mieli jednak kawałka materiału, który nadawałby się na taką ranę. Zofia wyjęła niezbyt obszerną belę płótna konopnego, pousuwała zeń liście piołunu chroniące materiał przed molami i odmierzyła kawałek. Natomiast Wanda wciąż stała nad głową Konrada i próbowała wlać mu choć trochę wody do ust. Na niewiele się to zdało, bo Jezierski znów wpadł w ciężkie omdlenie, a na skroniach błyszczały kropelki potu.

Ranek nadszedł szybko i niespodziewanie. Wanda siedziała przy ławie, a po drugiej stronie, na krześle, drzemał Ryszard. Aż do rana Sobótkówna bacznie przypatrywała się Konradowi i czekała, kiedy się obudzi. Tak jednak się nie stało. Gorączka wciąż trawiła ciało szlachcica, choć nad ranem zaczęła nieco odpuszczać.

– Wanda, zajmiesz się jaśnie panem Jezierskim – poleciła Zofia.

Powierzyła córce to zadanie, bo była całkiem spokojna o jej uczucia. Według Zofii Wanda nie była kochliwa, co potwierdzać miała niechęć do

Wiesia i stanowczy wybór Andrzeja Szczygła. Gdyby tylko wiedziała, co dzieje się w głowie córki, pewnie nie zostawiłaby jej z Konradem sam na sam nawet na minutę.

Jednak nie mogła tego wiedzieć. Wanda siedziała przy ławie blada i senna, ale nie spuszczała wzroku z Jezierskiego. Czuła jednocześnie niepokój i radość, jakby coś wreszcie rozwiązało złe przeczucia i dodało jej sił, wypełniając serce ulgą i szczęściem.

Konrad otworzył oczy dopiero w porze obiadu. Przez chwilę wodził nimi po suficie, jakby myślał, że budzi się z długiego snu w chojeńskim łożu. Było mu jednak dość twardo i poczuł, że leży na mieszczańskiej ławie, a pod głową ma tylko kłębek słomy. Omiótł wzrokiem pustą izbę i poczuł zapach jedzenia.

Wtem do izby weszła Wanda. Stała w progu zaskoczona, że oczy Konrada patrzą wprost na nią. Przez chwilę stała niezdecydowana i nic nie mówiła.

– Czy jaśnie wielmożny pan lepiej się czuje? – zebrała się w końcu w sobie i zapytała.

– Czy to widmo, czy istotnie zaszedłem do Łodzi? – zapytał Konrad, a jego wargi ledwo się poruszały i suchość paliła go w usta, jakby wypełniał je popiół.

Wanda poznała, że porucznik potrzebuje wody, więc nalała trochę do kubelka i nachyliła się nad mężczyzną. Czuła niepokój, jakby Konrad miał zaraz wstać, podziękować za pomoc i odjechać do Chojen. Tak się nie stało, bo szlachcic ledwo miał siłę, by podnieść głowę.

– Naprawdę jestem w Łodzi – mruknął z niedowierzaniem, gdy tylko skończył pić.

– Znalazłam jaśnie wielmożnego pana na drodze przed domem – powiedziała Wanda i dygnęła z wdziękiem.

– Niech sobie przypomnę wszystkie wydarzenia – szepnął Konrad, opadając z powrotem na ławę.

Przez chwilę leżał, patrząc w sufit. Wyraz twarzy zmieniał mu się kilkakrotnie, aż w końcu przybrał grymas cierpienia.

– Trzeba by zawiadomić pańskiego ojca, prawda? – zapytała Wanda.

– Mój ojciec nie żyje – odparł Konrad krótko.

Nie spojrzał na nią, tylko wciąż patrzył w sufit, jakby skupiał się na czymś ważnym.

Wanda poczuła się niepotrzebna. Ukłoniła się więc dość sztywno i wyszła z izby nieco urażona. Nie przypuszczała przy tym, że Karol Jezierski naprawdę umarł. Odpowiedź Konrada uznała za bunt synowski przeciwko ojcu, który zdradził króla, przystępując do szeregów Lubomirskiego.

– Wanda, obiad! – krzyknęła Zofia.

Jedną ławę przeniesiono do sieni i tam Sobótkowie zasiedli do posiłku.

– Jaśnie pan Jezierski się obudził – powiedziała Wanda.

– Wielkie nieba! To przyprowadź go tutaj, pewnie jest głodny – poleciła Zofia i sama wstała od stołu, by powitać porucznika.

Konrad siedział na ławie. Wyglądał żałośnie. Jego wąsy oklapły i nadawały twarzy wyraz przygnębienia. Szlachcic był zgarbiony. W niczym nie przypominał walecznego porucznika spod Mątew. Jednak najsmutniejsze były oczy utkwione martwo gdzieś w ścianie.

– Jaśnie pan zechce zjeść obiad – poprosiła Zofia, kłaniając się w pas. – Możemy też podać tutaj.

Konrad spojrzał na kobiety żałośnie.

– Dziękuję wam za opiekę – powiedział. – Mam jednak tyle zmartwień, że najlepiej będzie, jak szybko wrócę do Chojen.

Wanda poruszyła się niespokojnie i utkwiała stanowczy wzrok w nieszczęśliwych oczach. Zrozumiała, że Konrad mówił prawdę o śmierci ojca.

– Nalegamy – powiedziała ostrzej, niż zamierzała, aż Zofia spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Dziękuję za opiekę – powtórzył Konrad i dźwignął się z ławy.

Wanda mogłaby przysiąc, że jest na nią zły, ale nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać. Konrad nagle zachwiał się i prawie runął jak długi, lecz Zofia przytrzymała go w ostatniej chwili.

– Jaśnie wielmożny panie, przecież to nierozsądne! Jeszcze się rana od szabli nie zagoiła.

Sobótkowie znów ułożyli Konrada na ławie i podali posiłek, choć wzbraniał się i chciał iść do Chojen.

– Przecież to bardzo blisko – mówił. – Wstydu nie będę rodowi przynosił i pójdę. Rana wcale już tak nie piecze.

Nie dali mu jednak odejść.

Pod wieczór było już lepiej, choć gorączka znowu zaczęła trawić ciało Konrada. Posilił się jednak porządnie, a w domu Sobótków każdy dbał o niego nawet przesadnie. Wanda po kryjomu wyjęła spod szafiarni adamszkową chustę i ocierała nią pot ze skroni i szyi gościa.

– Czy to moja chusta? – zapytał Konrad, a słysząc ciche potwierdzenie, uśmiechnął się po raz pierwszy.

Wandzie zdawało się, że nikły uśmiech rozświetlił całą izbę i od razu Łódź stała się dla niej piękniejsza.

– A ty nie powinnaś zająć się ukochanym? – zapytał Konrad, zanim zdążył się powstrzymać.

– Ukochanym? – zapytała Wanda głucho.

– Słyszałem, że za mąż wychodzisz, łodzianko. Za dobrą partię.

Wanda milczała, ale poczuła, że Konradowi zależy na odpowiedzi. Wydawało jej się, że w jego głosie dosłyszała ledwie skrywaną gorycz. Zwinnie podniosła się z krzesła.

– Jaśnie wielmożny pan musi odpocząć – powiedziała nieco wyniośle, stając w progu. Po czym wyszła, rumieniąc się z emocji.

Łodzianie szybko dowiedzieli się, że u Sobótków jest Konrad Jezierski. Kolejne dni przyniosły poprawę na tyle, że z pomocą Ryszarda wychodził z domu i siadał na przyzbie, wzbudzając powszechną sensację. Mieszkańcy przechodzili uliczką specjalnie, by go zobaczyć i nisko się pokłonić. Konrad odwzajemniał pozdrowienia i ledwo powstrzymywał śmiech, gdy któraś łodzianka przechodziła drogą dziesiąty raz, wciąż gapiąc się na niego niby od niechcenia.

Było bardzo gorąco. Na niebie nie było ani jednego obłoczka, a słońce grzało tak mocno, że obawiano się kolejnego pożaru. Zieleń uschła i za dnia, gdy większość łodzian pracowała w polu, miasto wyglądało na opuszczone. Nawet biedne dzieciaki nie wałęsały się, lecz wyjątkowo spokojnie pilnowały bydła na ugorze.

O Sobótkach gadano bez przerwy. Nagle zaczęli schodzić się do nich ważni łódzcy goście. Byli wśród nich burmistrz Marko i wójt Gliniewicz. Przybyli też Moranowicze, Drewnowie i Szczygłowie, przy czym Andrzej wolał rozmawiać z panną Wandą niż z porucznikiem.

Okazało się jednak, że w obecności Konrada Wanda jest dla Andrzeja wyjątkowo oschła. Szczygieł miotał się po izbie, próbował żartować i choć trochę rozchmurzyć dziewczynę, ale marnie mu to szło. Zrazu głowił się, co może być przyczyną takiego zachowania. W końcu doszedł do wniosku, że Wanda zmieniła zdanie i za niego nie wyjdzie. Jednak w miarę, jak obserwował zachowanie Sobótkówny, zauważał szczegóły, których inni nie

dostrzegali. Wanda patrzyła na Konrada często, ale ukradkiem, i zaraz potem czerwieniła się niczym dojrzałe jabłko.

Andrzej zrozumiał, że Konrad robi na Wandzie duże wrażenie. Tym bardziej starał się skierować rozmowy na temat ożenku, ale nie mógł, bo zapewnienie Wandy było wstępne. Roch pojawił się w domu Sobótków tylko raz. Widać było jednak, że Sobótkowie przyjęli Szczygłów najlepiej ze wszystkich i przygotowali skromny, ale smaczny poczęstunek. Andrzej miał nadzieję, że Konrad zauważy różnicę, ale jego życzenie się nie spełniło.

– Czyli król przegrał? – zapytał Andrzej, gdy siedzieli przy ławie.

Nie była to zaczepka, ale pytanie tak zabrzmiało.

– Nie zawsze Bóg daje zwycięstwo – odparł sucho Konrad.

– Nikt tu jaśnie wielmożnego pana nie będzie szukał?

– Jak będzie, to się natknie na moją szablę.

Rozmowa była zdawkowa i niezbyt przyjemna, choć Konrad zdawał się tym nie przejmować. Jak każdy łodzianin, Andrzej niewiele znał się na polityce, więc nie mógł zapytać o więcej szczegółów. Patrzył na porucznika znad talerza tatarczuchów i przenosił wzrok na Wandę. Dziewczyna prawie się nie odzywała, a jej oczy wędrowały po ławie. Nie spojrzała na Andrzeja ani razu, co utwierdziło go w przekonaniu, że między nią a Jezierskim jest nic porozumienia.

Mimo wszystko ucztą się udała i Sobótkowie odetchnęli z ulgą. Andrzej musiał się jednak przekonać, czy Wiesio Żelichowski nie miał racji, roznosząc dziwną plotkę. Podejrzenie spadło na serce Szczygła jak przykry cień. Usiadł obok Konrada na przyzbie. Zostali sami.

– Jaśnie pan pewnie już wie, że staram się o rękę Wandy – rzekł.

Konrad znieruchomiał na chwilę.

– Nie wiedziałem – odpowiedział spokojnie. – Myślę, że będziecie szczęśliwi.

Andrzej wpatrywał się teraz w Konrada nieustępliwie, ale nie zapytał o jego uczucia, wiedząc, że w ten sposób mógłby obrazić godność szlachcica, a nawet dostać szablą pod żebra.

– Spokojna Łódź, biedna Łódź – mruknął Konrad, rozglądając się wokół.

Żelichowscy kręcili się po obejściu i uważnie obserwowali dom sąsiadów. Żelichowska była czerwona z wściekłości, a ręce drżały jej, gdy przenosiła chrust pod drzwi komórki. W końcu to sąsiedzi znów zgarniają splendor. To do nich przychodzą najważniejsi goście: ksiądz, wójt, burmistrz i ławnicy. Przyszli też Szczygłowie, którzy byli po słowie z Sobótkami.

Podobne emocje targały sercem Wiesia. Wnosił właśnie do sieni dużą fasę i spoglądał na przyzbę Sobótków z takim wstrętem, jakby widział tam wielkiego karalucha. Najbardziej jednak zazdrościł sąsiadom tego, że jest u nich Jezierski, który przecież bardziej pasowałby do ich, Żelichowskich, domu.

Przecież my bogatsi od Sobótków. A to akurat przed ich domem musiał zemdleć i teraz schodzi się kupa ważnych łodzian – myślał gorzko.

Nie wiedział przy tym, kogo nienawidzić bardziej – Konrada czy Andrzeja. Obaj rozmawiali, siedząc przed domem i zdawali się w ogóle nie zauważać, że tak szacowna rodzina ma dla miasta większe zasługi. Najbardziej chodziło mu jednak o Wandę. Kiedy wniósł fasę do sieni, zacisnął zbielełe pięści aż do bólu, wspominając zniewagę.

Matka weszła za nim. Jej twarz jaśniała szkarłatem.

– Zabawiają się koło naszego nosa w najlepsze. Taka ujma na honorze!
– sapła, z trudem łapiąc oddech. – Ta dziewczucha nie ma wstydu. Pod jednym dachem z Jezierskim!

– Matko, w moją plotkę nikt w Łodzi już nie wierzy – powiedział bezwiednie Wiesio.

– W twoją plotkę? To ty nagadałeś na Wandę?

Wiesio zorientował się, że właśnie wydał swój sekret. Stał więc przez chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Jednak matka nie była na niego zła.

– Postaraj się, żeby następna była lepsza – fuknęła na odchodne, dumnie unosząc głowę.

Sprawy w rodzinie Sobótków jeszcze bardziej się skomplikowały. Żelichowscy pałali żądzą zemsty i nawet nie przychodziło im na myśl, że mogą odpuścić. Denerwował ich spokój sąsiadów, a obecność Konrada doprowadzała do szału. Na dodatek zdechła im druga krowa.

XXII



Nadeszła niedziela. Konrad wstał o świcie i zapowiedział, że wraca do Chojen. Na nic zdały się lamenty Zofii i prośby Ryszarda.

– Długo tu zabawiłem. Dziękuję, żeście mnie do zdrowia przywrócili. Gorączka ustąpiła i muszę wracać do matki, by opowiedzieć jej wszystko o sprawach rodzinnych i utulić w smutku. Gdyby pojawili się tu popiecznicy Lubomirskiego, mówcie im, że mnie tu nie było.

– Jak sobie jaśnie pan życzy – odparła kwaśno Zofia.

Wanda poszła do komórki pod pretekstem zważenia ziaren słonecznika. W rzeczywistości wcale nie chciała niczego odmierzać. Usiadła, jak zwykle opierając się o drzwi szafiarni, i próbowała uspokoić nerwy. Trzeba przyznać, że wychodziło jej to marnie, a Łódź znów otwierała się przed nią jak ciemna przepaść bez dna.

A więc niczym były te ukradkowe spojrzenia – myślała gorączkowo. Wraca jaśnie pan porucznik do swojej szlachcianki Katarzyny.

Wtem usłyszała, że Konrad szykuje się do drogi. Żegnał się z Sobótkami, którzy poczęli wołać Wandę, by także się ukloniła. Dziewczyna otarła łzy i wyszła z komórki. Minę miała poważną, nawet butną, choć najbardziej na świecie chciała się rozplakać. Dygnęła jednak skromnie, wbijając wzrok w podłogę.

I to było wszystko. Konrad złożył na jej ręce sakwę z szelągami w podziękowaniu za opiekę i uratowanie życia.

– Nad Ostrogą będzie czekał na mnie Gliniewicz. Zabierze mnie wozem aż do Chojen, gdzie zabawi na obiedzie – powiedział, choć sam nie wiedział, w jakim celu.

Skłonił się w progu po szlachecku, podkreślił wąsa i wyszedł na ulicę nieco zaskoczony tym, że Wanda ani razu na niego nie spojrzała.

Wandę też zdziwiła własna zawziętość, ale zaraz, gdy usłyszała, że Gliniewicz będzie czekał dopiero przy młynie, zrodził się w jej głowie nowy pomysł. Choć wydawał się nieprzyzwoity, sercu Wandy bardzo się spodobał. Odłożyła na ławę sakwę z pieniędzmi i powiedziała rodzicom, że poukłada zapasy w komórcie, bo panuje tam nieład.

Rzeczywiście weszła do komórki, ale ani myślała o porządkowaniu. Serce waliło jej w piersi szybko, prawie boleśnie. Wyjęła spod szafiarni brudną adamaszkową chustę z inicjałami porucznika i odczekała chwilę, zastanawiając się, co właściwie chciałyby osiągnąć. Wanda zamierzała pójść za Konradem, oddać mu chustę i choć przez chwilę porozmawiać. Wahala się jeszcze, ale ostatecznie uczucie zwyciężyło. Sobótkówna wymknęła się tylnym wyjściem i już gnała dłuższą drogą aż nad Ostrogę. Nie wybrała ścieżki wiodącej przez miasto, bo nie chciała, by ktoś ją zobaczył.

Letni wietrzyk grał w jasnych włosach i Wanda wyglądała przepięknie. Od biegu zaróżowiły się jej policzki, a oczy błyszczały na myśl o spotkaniu ze szlachcicem. Nie wiedziała, czego może się po nim spodziewać, nie miała też pojęcia, czy wyczuł nić porozumienia, która ich połączyła. Równie dobrze mógłby ją przegonić jak zwykłego wiejskiego pastucha, bo miał nie tylko szablę przy boku, ale też własne szlacheckie sprawy do załatwienia.

Wanda biegła przez łąkę, to znów skradała się po cichu, gdy mijała pojedyncze domy na obrzeżach miasteczka. Nikt za nią nie gonił i przez chwilę dziewczyna poczuła, że opuszcza Łódź, ucieka od niej tak zawzięcie, jakby w mieście czaiło się wszelkie zło. Już nie słyszała rozmów i ryczących krów. Już nie czuła miejskiego zapachu. Teraz słyszała podniebne trele ptasząt przesiadujących na żerdziach i wdychała czyste powietrze pełne woni kwiatów.

Skręciła i zobaczyła, że Konrad idzie traktem. Z daleka widać było młyn Grobelny, więc Gliniewicz musiał czekać niedaleko. Dziewczyna zacisnęła chustę jeszcze mocniej i z całych sił wbiegła na drogę.

– Jaśnie panie poruczniku! – zawołała, próbując go dogonić.

Konrad zatrzymał się, odwrócił zdumiony i poczekał, aż Wanda dobiegnie.

Zatrzymała się nieoczekiwanie, stając przed nim jak niesforna uczennica przed bakałarzem. Nie przemyślała tego, co powie, więc tylko stała naprzeciwko, łowiąc ciekawskie spojrzenia porucznika.

– Jaśnie pan zapomniiał swojej chusty – wydyszała.

Konrad wciąż patrzył na Wandę, chłonąc jej urodę. Twarz miała rozpaloną od emocji i biegu, złote włosy rozwiane w nieładzie, a usta nieco rozchylone. Najpiękniejsze były jednak oczy, których blask zdumiał Konrada. Stał jak urzeczony, zastanawiając się, dlaczego wcześniej nie zauważył, że Wanda Sobótkówna jest tak piękna.

– Nie chcę mojej chusty. Zatrzymaj ją – powiedział w końcu, lustrując jej twarz.

Usta Wandy wykrzywiły się w lekkim grymasie. Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Jednocześnie zalała ją fala emocji, aż blade plamy wystąpiły na rozpaloną twarz. Nie zastanawiała się nad tym, co robi,

tylko spojrzała w bystre oczy Jezierskiego i nachyliła się do ku niemu blisko.

– Ja... – wyszeptała drżącymi wargami.

– Wiem – odparł cicho Konrad i delikatnie ujął jej brodę, jak wtedy, gdy jechali wozem do Łodzi.

Pocałował ją czule, lecz stanowczo. Przez chwilę nie liczyło się nic innego. Łzy spływały po policzkach Wandy, która czuła, że jej głowa jest jednocześnie pełna i pusta, twarz zimna i gorąca, a ciało drżące i nieustępliwe. Przede wszystkim jednak była wreszcie spokojna, choć burza uczuć prowadziła ją prawie do omdlenia.

Pocałunek trwał dłuższą chwilę, ale obojgu wydawało się, że zbyt krótko. Wanda stała sztywno, jak dotknięta urokiem i nie dbała o nic, tylko oddychała szybko, zastanawiając się, czy nie śni. Konrad obejrzał się niespokojnie, ale nie zauważywszy nikogo, nachylił się znowu i ich wargi zetknęły się w ponownym pocałunku. To było pożegnanie.

– Wracaj do domu – polecił Konrad.

Choć pokręciła głową i łzy potoczyły się po jej gorących policzkach, nie było wyjścia. Wiedziała przecież, że nie pasuje do światka pełnego splendoru i chwały, a Jezierski powinien raczej całować pannę Katarzynę. Ukłoniła się więc, powstrzymując łzy i zerwała się do ucieczki, by już nie patrzeć w ukochaną twarz i zakończyć spotkanie raz na zawsze.

Konrad patrzył za nią, aż zniknęła z pola widzenia. Nie wiedział dlaczego, ale czuł w sercu gorycz, jakby nagle w żyłach zaczął mu płynąć czarny atrament. Wystarczyło, że przez kilka dni mieszkał w tym osobliwym miasteczku i Łódź zaczęła osaczać go tak jak Wandę. Wbiła zęby w szlachecką szyję i piła. Piła żarliwe uczucia i spojrzenia. Była zachłanna i żałosna w swojej chciwości. Pozbawiała nadziei, wysysała pragnienia, pozostawiając w umyśle pustą wyrwę.

Wanda biegła przez łąki, a wiatr osuszał splakane oczy. Gdy zrobiło jej się nieco lżej na sercu, zaczęła wracać myślami do pocałunku, choć teraz nie była pewna, czy wydarzył się naprawdę. Nie było jednak wątpliwości. Dziewczyna dotykała spierzchłych ust i czuła na nich smak zupełnie inny niż zawsze. Był to smak słodki, a jednocześnie rzeński.

Skręciła w uliczkę i szła teraz prosto do domu, a w jej głowie piętrzyły się myśli i emocje wzbierały jak rzeka, aż trudno było je wszystkie pomieścić. Radość mieszała się ze strachem, smutek z dojmującą tęsknotą. Nie zauważyła nawet, że zgubiła przed domem adamaszkową chustę od Konrada. Przypomniał jej o tym dopiero złowieszczy rechot Wiesia. Stał przy płocie. Jedną rękę opierał na szczebelkach, a w drugiej trzymał jabłko.

– Coś ci wypadło – powiedział jadowicie. – Ciekawe, skąd masz taką piękną szlachecką chustę z inicjałami. Szczygieł ci kupił na targu w Widzewie?

Wanda ocknęła się z otępienia i czym prędzej sięgnęła po chustę.

– Jaśnie pan Jezierski zostawił ją u nas. Biegłam, by mu ją oddać, ale już go nie dogoniłam – skłamała gładko.

Jednocześnie przeraziła się, czy Wiesio nie poszedł jej śladami. Minę miał jednak gniewną, co najpewniej oznaczało, że znów nie ma przeciw Wandzie żadnych dowodów. Przeciągnął się jedynie i nadgryzł jabłko.

– Pewnie teraz ślub szykują w Chojnach – rzucił.

– Pewnie tak – odpowiedziała Wanda, starając się, by ton jej głosu był najobojętniejszy.

Chyba jej się udało, bo Wiesio spojrział na nią gniewnie, rzucił ogryzek na drogę, splunął pod nogi ze złości i poszedł do domu.

Wanda ulokowała cały gniew w Żelichowskim i myślała tylko o tym, jak bardzo go nienawidzi. Po chwili zdała sobie jednak sprawę z tego, że tak naprawdę obraża się, ponieważ Wiesio powiedział prawdę, a była ona

zbyt bolesna, by przejść obok niej obojętnie. Konrad przecież wróci do Chojen, ożeni się z Katarzyną i wyjedzie gdzieś daleko, może nawet wyniesie się z Wielkopolski. A wtedy próżno będzie go szukać.

XXIII



Konrad rzeczywiście wracał do Chojen, ale nadal nie mógł wymazać z pamięci chabrowych oczu pełnych beznadziejnej miłości i smutku. Siedział w wozie, ale jego myśli wędrowały do przygnębiającego miasteczka łaknącego pocieszenia. Gliniewicz rozochocił się podczas podróży, więc mówił wiele, nie oczekując odpowiedzi.

Powoli mijali sosnowy zagajnik, a wójt wesoło gawędził o pstrągach, które w tym roku bardzo się rozmnożyły w łódzkim stawie i pływały wśród oczeretów.

– Głupie stworzenia te ryby – mówił. – Podpływają do brzegu, czasem nawet ławicą. Łatwo je chwycić, człowiek nawet specjalnie nie musi się moczyć. Ryby są głupsze niż psy. Pies to zwierzę pomocne, choć mamy czasem problemy, kiedy jakiś dzikus z borów podejdzie i rozszarpie kury. W biały dzień potrafią się podkraść, w biały dzień! Czasem nawet na człowieka się rzuca, co najniebezpieczniejsze dla dzieciarni, która pilnuje bydła. Bywa, że pies jest tak dziki, że chyba tylko po sierści odróżnisz go od wilka.

Konrad nie słuchał. Zbliżali się do Chojen, ale w sosnowym zagajniku nie słychać było nawet ptasiego świergotania. Złowroga cisza ciągnęła się leniwie jeszcze kilkaset metrów, zanim młody porucznik otrząsnął się

z myśli o Wandzie. Poczuł, że we wsi dzieje się coś niedobrego. Próżno wyteżał słuch – ani rżenia koni, ani gwaru wieśniaków. Myśli o łodziance uleciały mu natychmiast z głowy.

– Lasek się przeredza. Zaraz będziemy – powiedział wesoło Gliniewicz.

Wyjechali z sosnowego zagajnika. Konrad objął wzrokiem pola, kościół i chłopskie chaty, a potem spojrzął na drogę prowadzącą do folwarku. Cisza zastygła w Chojnach jak zdławiony krzyk. We wsi nie było widać żywej duszy. Gliniewicz przestał mówić, poznając, że w folwarku coś się wydarzyło. Popędził konia w stronę dworku Jezierskich.

Oczom przyjezdnych ukazał się straszny widok. Folwark Jezierskich był doszczętnie spalony. Wyglądał jak okazała ruina, na której dogasały ostatnie płomienie pożogi. Pożar nie oszczędził żadnej części folwarku. Panowała zupełna cisza i nawet ptaki zdawały się rozumieć katastrofę, bo pochowały się w koronach drzew i umilkły.

– Co się stało z końmi?! – zawołał przerażony wójt, wskazując na spaloną stajnię.

Odpowiedź przyszła, gdy tylko wjechali na główny trakt prowadzący do folwarku. Ze stajni niósł się odór krwi i spalenizny. Próg był naznaczony szkarłatem, który wylewał się ze środka i płynął powoli, niczym stary ruczaj.

– Krew jeszcze nie zaschła – szepnął Konrad.

Twarz miał białą jak papier. Wodził oczami po zniszczonym folwarku, spalonych wiejskich lepiankach i lepkiej czerwonej mazi znaczącej każdy fragment podwórza. Gdy podjechali bliżej, zauważyli, że przed chojeńskim dworkiem leżą ciała parobków, najpewniej brutalnie powyrzynanych. Oprawcy wyciągnęli całą służbę przed folwark i zadbali, by trupy zasłały podwórze niczym potworny dywan.

– Kto mógł coś takiego...? – wydusił Gliniewicz, ale głos zamarł mu w gardle.

Konrad wyskoczył w wozu i zaczął biec w stronę dworu. Wyglądał jak szalenciec i poczuł, że wraca mu gorączka. Wściekle ryknął w przestrzeń i wydobył szablę. Pędził, wymachując nią w powietrzu, gotów bić każdego, kogo napotka. Jego spojrzenie chwyciło najmniejszy skrawek nielitościwej ziemi wchłaniającej krew ludzką i końską. Biegł jak szalony, aż padł na kolana obok trupów służby i szukał kogoś, kto być może jeszcze konał. Drżącymi rękami chwycił chłopów za koszule i potrząsał nimi z obłędem. Nie znalazłszy żadnego żywego wieśniaka, wbiegł do zniszczonego folwarku.

– Matko?! Matko! – wołał jak oszalały.

Gliniewicz wbiegł za nim. Nie wiedział, czy powinien wyciągnąć porucznika z domu, czy pozwolić mu na szaleńcze poszukiwania. W każdej chwili zgliszcza mogły runąć i Konrad niechybnie zginąłby pod nimi. Jednak gdy tylko wójt przekroczył próg, zdębiał, oglądając rozmiar zniszczeń. To, co nie spaliło się na popiół, leżało zwęglone, a w niektórych miejscach wciąż tlił się ogień. Nic nie ocalało. Jednak zniszczenia nie były największym zmartwieniem Konrada. Bardziej bał się o matkę, której nigdzie nie mógł znaleźć. Błądził między izbami, natykając się na ciała dziewczek służebnych, ale pani Jezierskiej wśród nich nie było. Usiadł więc na zniszczonych fundamentach i ukrył twarz w dłoniach, ogarniając bezmiar tragedii. Nie było wątpliwości, że napaści dokonali rokoszanie.

– Niech jaśnie pan stąd ucieka... – zaczął niepewnie Gliniewicz, ale urwał w pół zdania, bo z podwórza dobiegł głuchy huk.

Zawalila się stajnia.

– Wszystko zniszczone. Konie dobite, dworek spalony, parobcy wyrżnięci. Ale gdzie jest moja matka?

– Nie wiem, jaśnie panie namiestniku – odpowiedział głucho wójt.

Podszedł do Konrada, choć bał się wchodzić dalej do domu, który w każdej chwili mógł runąć. Złapał Jezierskiego za ramiona i spojrzał mu w oczy.

– To na pewno buntownicy od Lubomirskiego – stwierdził stanowczo. – Nie mogą darować, że jaśnie pan uciekł. Trzeba stąd natychmiast ruszać.

– Mam folwark niedaleko Piotrkowa. Albo miałem... W każdym razie muszę tam pojechać. Ale nie mam nawet konia.

– Moranowicz pożyczycy na pewno – uspokoił Gliniewicz, po czym wyprowadził otępiałego Konrada.

Konrad zaczął odczuwać dziwny spokój, jakby minął mu pierwszy szok i nadchodziła fala rezygnacji. Zajrzał do izb kuchennych, by poszukać kogoś żywego. Rozpłatanе ciała dziewczek kuchennych i parobków były w kilku pomieszczeniach. Krew lała się jeszcze z ich ciał. W rogu jednej z izb przytulały się do siebie dwa zasztyletowane ciała – było to małżeństwo Owczaków.

Być może Konrad wzruszyłby się losem zabitej pary, ale nie zdążył. Ze stanu odrętwienia wyrwało go ciche chrząknięcie dobiegające z komórki na narzędzia. Szlachcic ujął szablę, ścisnął rękojeść aż do bólu i ze zbielełą twarzą podążył w tamtą stronę.

Drzwi otworzył kopnięciem. Rozejrzał się w mroku, ale ciemność spowijała wszystkie kąty. Nie było widać żywej duszy.

– Tutaj – rozległ się ochrypły głos.

Ochoj siedział oparty o ścianę. Oczy Konrada przywykły już do ciemności, więc szlachcic zauważył, że woźnica jest ranny. Z jego szyi ciekła krew i barwiła szkarłatem białą fantazyjną kryzę. Ochoj oddychał ciężko i Konrad pojął, że nie można mu pomóc.

– Krew uchodzi ze mnie – powiedział zbielełymi wargami.

Twarz miał bardziej pociągłą niż zwykle, a jego wodniste oczy odpływały w dal. Ciało sztywniało wstrząsane paroksyzmami.

– Gdzie jest moja matka? – zapytał Konrad, podtrzymując brodę chłopca.

– Ludzie Lubomirskiego tu byli.

– Wiem. Powiedz, co z matką.

Konrad poczuł, że głowa Ochoja niebezpiecznie ciąży mu w rękach. Potrząsnął nią z wściekłością.

– Powiedz mi tylko to. Zabrali ją? – zapytał.

– Tak – szepnął Ochoj i wydał ostatnie tchnienie.

Konrad wstał powoli, jakby nad czymś rozmyślał. Po chwili krzyknął, drżąc z gniewu. Z rezygnacją wyszedł na podwórze i rozejrzał się, szukając Gliniewicza. Ludzka krew ponownie załśniła w słońcu, przypominając o makabrycznej zbrodni rokoszan. W oddali stał powóz wójta, ale obok niego pojawił się drugi, bardziej okazały.

– A to co? – warknął Konrad, spoglądając na delikatny, ale masywny wóz zasłonięty subtelnym jedwabnym baldachimem.

Wtem rozpoznał zaprzężone siwki i serce zamarło mu w piersiach – były to niewątpliwie konie Andruszkiewiczowskie. Widocznie bały się podjechać bliżej folwarku, bo rozpaczliwie dreptały w miejscu i rzucały łbami, parskając. Woźnica nie mógł ich uspokoić.

– To dlatego, że czują krew końską! – krzyknął Jeziński, podchodząc.

Woźnica okiełznał siwki i ze zgrozą rozejrzał się po podwórzu.

– Kiedy tu byłem ostatnim razem, folwark wyglądał inaczej – powiedział cicho, robiąc znak krzyża.

– Oczywiście, ośle, że wyglądał inaczej. Może dlatego, że nikt go nie podpalił – warknął Konrad i zajrzał w okno powozu.

Zobaczył twarz oficera Andruszkiewicza, który natychmiast rozpoznał porucznika, uśmiechnął się niepewnie i wyszedł.

I on zobaczył pogorzelisko, a poblady Konrad wzmacniał obraz tragedii. Stał mizerny, ze skrzyżowanymi rękami, pełny rozpaczy.

– Co...? – zapytał krótko, oglądając resztki chojeńskiego dworku.

Konrad zaczął opowiadać o tym, co zaszło. Na początku głos wiązał mu w gardle, ale potem porucznik opanował się i ze ściśniętym sercem mówił, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach. Szczegółowo opowiedział o ojcu, Warszawie, bitwie i niewoli. Oficer słuchał tego z pobladłą twarzą, która oblała się rumieńcem tylko raz – gdy Konrad opowiedział o pojedynku z ojcem. Potem milczał aż do końca historii, nie odzywał się nawet do Gliniewicza, którego przywitał chłodno, poznając, że nie ma do czynienia ze szlachcicem.

Konrad potrzebował, by ktoś go wysłuchał. Rozwiązał mu się język i czuł, że wreszcie znalazł odpowiednią osobę do zwierzeń. Pominął tylko przelotny romans z Iłowiczową, bo nie potrafił opowiedzieć o nim ojcu Katarzyny.

– Trzeba odbić twoją matkę – powiedział oficer.

– Jeśli pilnuje jej więcej buntowników, nie mam szans w pojedynkę. Muszę napisać list do króla, być może przyśle mi więcej wojska.

Andruszkiewicz spojrział na niego ze szczerym zdumieniem.

– Jan Kazimierz przyśle ci wojsko, byś mógł uratować matkę? – zapytał z drwiną. – Przecież on choruje ze zgryzoty po bitwie.

– Jak to? – zapytał Konrad i zdał sobie sprawę, że dopiero teraz może usłyszeć nowe wieści z Warszawy.

– Lubomirski was zmiotł! – krzyknął oficer ze złością. – Tylu dobrych żołnierzy zginęło! Tylu żołnierzy – jęknął, a głos załamał mu się kilka razy. – Cała dragonia, żołnierze Czarnieckiego, dowódcy... Król się opamiętał.

Lubomirski też chyba się uspokoił. Nie będą teraz wysyłać nowych wojsk, tylko dlatego, że żołnierz, który został jeńcem, chce uratować matkę.

Konrada te słowa dotknęły do żywego. Staął twarzą w twarz z Andruszkiewiczem i z odrazą spojrział mu w oczy.

– Właśnie widzę, jak Lubomirski się uspokoił – wycedził, wskazując na zniszczony folwark i zabitych chłopów.

Dziki wzrok młodego porucznika nieco ostudził oficera.

– Dlaczego nie odpisałeś Katarzynie na list? – zapytał wymijająco.

– Nie dostałem żadnego listu – zaperzył się Konrad.

– Jak to? Przecież mój poseł wrócił z Warszawy i oznajmił, że dostarczył list na twoje biurko w sypialni królewskiej. Pokierowała go tam przemiła... podkanclerzyna? Podczaszyna? Ach, nie pamiętam, ale miała na imię Krystyna.

– To już wiem, dlaczego nie dostałem listu – szepnął Konrad i cały świat ukazał mu się nagle jako kłamliwe węzowisko, w którym nie ma miejsca ani na życzliwość, ani na dobro. Przez głowę Konrada przemknęła myśl, że cała Rzeczpospolita jest jak maleńka Łódź. Jeśli ktoś ją kocha, to tylko dla interesu. Jeśli ktoś ją szanuje, to ze strachu. Jeśli ktoś uważa, że nie jest jej nic winien, to kłamie.

Szli dalej w milczeniu. Myśli Konrada błędziły daleko od panny Katarzyny.

– Co było w liście? – zapytał mimowolnie.

– Moja córka przebaczyła ci i ostrzegała, że twój ojciec wybiera się na bitwę, by walczyć przeciwko tobie. Ona ciebie miłuje naprawdę.

Choć Konrad nie myślał w gniewie zbyt trzeźwo, ostatnie słowa oficera nieco go podbudowały. Milczał przez chwilę, znów uświadamiając sobie, jak wielkim okrucieństwem wykazał się monarcha. I potem pomyślał, że

taka właśnie jest polityka, a w konflikcie żadna ze stron nie miała racji – ani Jerzy Sebastian Lubomirski, ani Jan Kazimierz. Uśmiechnął się smętnie.

– Co teraz? Wrócisz do Warszawy? – zapytał oficer.

Konrad spojrział na Andruszkiewicza, jakby ten oszalał.

– Nigdy! Muszę ratować matkę. Potem ożenię się z waćpanną Katarzyną i zamieszkamy w którymś z dworców Jezierskich. Chojen już nie ma i nie będzie. Nic nie powstanie tam, gdzie tyle krwi przelano. Niech Chojny trawą zarosną.

Takie było życzenie Konrada. Wsiadł do powozu Andruszkiewicza i nie obejrzał się więcej.

Zatrzymali się w Stokach, gdzie Andruszkiewicz miał niewielki letni folwark. Była to skromna wieś, mniej liczna niż Chojny, ale chłopcy żyli w wygodniejszych chatkach. Za wsią rozciągały się pola. Przy rezydencji krzątała się służba. Było dostatniej niż w Łodzi. Nawet uprawy zdawały się rosnać szybciej, a słońce nie paliło jak na otwartej przestrzeni. Folwark i inne budynki zasłaniały wielkie klony, które rozkładały liście niczym wachlarze.

– Chojny znane są z sosen, a Stoki z klonów – zaśmiał się oficer, ale wspomnienie Chojen wcale nie poprawiło Konradowi nastroju.

Rozglądał się jednak z zaciekawieniem po wsi. Chłopcy w Stokach pracowali gorliwiej niż w większości folwarków.

– Co za spokojna wieś – bąknął pod nosem z zazdrością. – Czy waćpanna Katarzyna też tu bawi?

– Nie. Katarzyna została z matką na Litwie. Przyjechałem do Chojen sam, bo dziwiło mnie, żeś nie odpowiedział na list. A poza tym chciałem się dowiedzieć, co z twoim ojcem i czy walczyliście przeciwko sobie. Kiedy odnajdziesz matkę, przyjedź z nią natychmiast. Tu nikt nie będzie cię szukał, bo Lubomirski nie zaatakuje Andruszkiewiczów. Nie wie o tym, że

się spotkaliśmy. Poza tym wątpię, by sam Lubomirski zlecił napaść na Chojny. Myślę, że jakiś brutalny oddział się wyłamał i w zemście spalił folwark.

– Dalej masz waść słabość do Lubomirskiego – zauważył sucho Konrad.

Andruszkiewicz nie odpowiedział od razu. Przez chwilę siedział w powozie, jakby się namyślał.

– A on ma słabość do mnie – powiedział wolno, unosząc palec.

XXIV



Obmyślali plan przez pół wieczora. Spierali się przy tym nierządco, ale było oczywiste, że nie ma sensu, by Konrad sam szukał rokoszan i matki. To oznaczałoby pewną śmierć, bo przecież uciekł im, gdy trzymali go u siebie, upokorzył wszystkich i okrył hańbą – nie sam, ale z ojcem.

– Chcą cię zwabić? – rzekł Andruszkiewicz. – Dobrze, pojedziemy tam razem. Te matoly z pospolitego ruszenia mają mózgi mniejsze niż pestka jabłka, więc powinniśmy ich przekonać do swoich racji. Jeśli ciebie nie uszanują, będą musieli uszanować mnie. Coś mi się widzi, że Lubomirski też chce skończyć rzeź, do której doprowadzili razem z królem.

Nietrudno było trafić na ślad rokoszan. Przed zmrokiem Konrad i Andruszkiewicz wyruszyli do okolicznych wsi i popytali wieśniaków. Okazało się, że przez Mileszki przejeżdżał niewielki oddział z Lubomirskim na czele. Chłopi nie wiedzieli, że ten nadąsany gruby szlachcic to naczelny buntownik Rzeczypospolitej, ale opisywali go gorliwie. Mówili przy tym, że nawet na nich nie patrzył, tylko przejechał, a za nim może dwudziestu ludzi, w każdym razie niewielu.

W Lutomiersku dowiedzieli się nieco więcej. Gdy przejeżdżali przez miasto, Żydzi wylegli z domów i z zaciekawieniem patrzyli za szlachcicami.

– Dobry Żydzie – powiedział oficer, zatrzymując konia. – Powiedz nam, czy przejeżdżał tędy mały oddział z grubym szlachcicem na przedzie?

Żyd stał i łypał podejrzliwie na nieznajomych, a obok niego zatrzymywali się kolejni. Obejrząwszy przyjezdnych, uznał, że nic mu nie grozi, więc ukłonił się.

– Tak jest, wielmożny panie. Przejeżdżał oddział – odpowiedział zdawkowo.

Kiedy inni Żydzi spostrzegli, że nie ma się czego bać, zaczęli przekrzykiwać jeden drugiego.

– Przejeżdżali, panie!

– Jechał wąsaty szlachcic!

– A jak! Jechał! I niewielka kolasa z tyłu.

– A w tej kolasie siedziała jaśnie wielmożna pani. Widać było, że płakała.

– Ranna była? – zapytał od razu Konrad, ale Żydzi znów zaczęli przekrzykiwać się w odpowiedziach, choć kręcili też przecząco głowami.

– Jaśnie wielmożny panie, ja radzę do naszego kahała iść. On więcej powie – rzekł Żyd, którego zagadnęli jako pierwszego.

Wskazał palcem karcznię i począł zapraszać, więc Konrad pospiesznie się wycofał.

– Nie, odjedziemy stąd zaraz. Powiedz tylko, Żydzie, którą drogą pojechał oddział.

Znów jazgot przebiegł po całej ulicy, aż zaczęli zbiegać się kolejni Żydzi. Wszyscy mieli coś do powiedzenia. Wśród krzyków dało się usłyszeć, że oddział krąży po okolicy i nie oddala się, ponieważ czeka na szlachcica, który za nimi podąży.

– Oni już dwa razy mijali Lutomiersk – powiedział jeden Żydek, który dorastał siwkowi oficera do brzucha.

– Koło Łodzi mogą być – stwierdził inny chłopak.

Konrad podziękował i wyjął z sakwy garść boratynek. Wyrzucił je w powietrze i spojrzał, jak Żydzi zbierają zapłatę. Koń oficera spłoszył się lekko i szlachcice wycofali się w pośpiechu.

– Nie chciałbym żyć w Lutomiersku. Za dużo niewiernych – mruknął oficer, a Konrad parsknął śmiechem.

Tymczasem nad Łodzią zachodziło słońce. Ryszard zapędzał bydło, a Wanda wybrała się z kubłem po wodę. Myśli wirowały w jej głowie, jakby umysł zaatakowały wielkie latawce i obwieściły huragan. Wieczór był spokojny i właśnie ten kontrast działał na dziewczynę najgorzej. Woląła, żeby rozszalała się wichura i lunął deszcz. Tymczasem po niebie, które różowiało, sunęły leniwe obłoki. Zachodzące słońce wciąż delikatnie muskało dachy domów, choć nieuchronnie sunęło w dół.

Wanda rozmyślała gorączkowo o tym, co się stało. Gliniewicz wrócił niedawno z Chojen i wieść o spalonym folwarku obiegła miasto w niecałą godzinę. Wójt przyjechał zaszępiony i widać było, że widok, który zastał, wstrząsnął nim do głębi. Jego zmarszczone czoło nie wygładziło się ani na chwilę, a w oczach płonęła iskra lęku. Mieszkańcy zrozumieli, że spopielony dworek przypominał Gliniewiczowi okrucieństwa wojny. Dostojniejsze rodziny zebrały się w domu wójta i słuchały opowieści z Chojen, a w oczach zebranych tliły się iskry oburzenia i strachu.

– To ten sam Lubomirski, który na naszą Łódź napadł przed rokiem? – zapytał Andrzej Szczygieł.

Walek Gliniewicz skinął nieznacznie głową, a twarz miał wciąż zasepioną.

– Słyszałem, że chcesz się żenić z Sobótkówną? – zapytał.

Zebrani popatrzyli na Szczygła, ale ich spojrzenia były różne. Część wyrażała pogardę, część litość. Tylko oczy Gliniewicza zastygły na twarzy Andrzeja z nieodgadnionym wyrazem.

– Chcę.

– Wysyłaj więc znów Rocha, bo krążą plotki, że Żelichowscy chcą się zemścić na Sobótkach. Wanda nie obroni się sama. Jerzego Sobótki już nie ma.

– Niech mu ziemia lekką będzie – mruknął potwierdzająco stary Drewno.

Zaległa taka cisza, że było słychać muchę latającą pod sufitem. Andrzej, który dotychczas nie przejmował się gniewem Żelichowskich, aż posiniał z wściekłości, choć był z natury łagodny.

– To Wiesiek nie dał sobie spokoju z Wandą? – zapytał, chrząkając nieznacznie.

– Nie dał. Wyraża się o niej jak najgorzej i lepiej będzie, jeśli Wanda szybko znajdzie ochronę. Nie rozmyśliła się, prawda?

– Nie – odparł Andrzej stanowczo, choć dużo by dał, żeby naprawdę w to wierzyć.

Postanowił jak najprędzej wysłać swata i ponaglić go, by Sobótkowie dali ostateczną odpowiedź.

Ściemniło się i atrament rozlał się po niebie. Zaczęły pojawiać się nieliczne gwiazdy. Było już późno. Roch Sadowski nie miał ochoty wychodzić o tej porze z domu, ale lubił Andrzeja. Szedł więc ulicą, a pod stopami skrzypiał mu piach. Tylko szelest zakłócał ciszę miasteczka.

W drzwiach stanął Ryszard. Zdziwienie odbiło się na jego twarzy, ale ucieszył się, aż w ciemności błysnęły mu zęby.

– Rochu, co cię sprowadza do nas o tej porze?

– Mam delikatną sprawę od Andrzeja Szczygła. Czy mogę wejść? – zapytał Roch, zaglądając do sieni Sobótków.

Ryszard zdumiał się jeszcze bardziej, a powaga widoczna na twarzy swata zaniepokoiła Sobótkę. Jednak odsunął się w geście zaproszenia, nieprzyzwyczajony do tego, że Roch może przybrać surową minę.

– Żelichowscy was pomawiają – powiedział cicho. – Czas, żebyście zdecydowali się na ożenek. Mówić można bez przerwy, ale odkładać nie ma po co. Wiem, że chcieliście przeżyć godnie żałobę po naszym nieodżałowanym Jerzym – niech spoczywa w pokoju – ale czas nagli. Wanda będzie bezpieczna.

Jego chrapliwy głos był teraz tak cichy, że Wanda, która siedziała w komorze, niczego nie słyszała.

– To prawda, już czas – powiedział łagodnie Ryszard. – Żelichowska nie ma sumienia, że takie rzeczy wygaduje o Wandzie. A gdy był pożar, Wiesio popchnął Wandę prosto w zgliszcza.

Zofia spojrzała na męża niezbyt przytomnie i aż jęknęła ze zgryzoty.

– W takim razie nie mamy wyboru. Wandę te pomówienia zamęczą. Już się rozniosło, że jaśnie pan Jezierski dał jej chustę z wyszytymi inicjałami. Wcześniej była sprawa o jabłko parafialne. Nie możemy dłużej zwlekać.

– Ja też się zgadzam – odpowiedziała Wanda, wychodząc z komórki.

Zofia chciała zbesztać ją za to, że podsłuchiwała, ale gdy tylko spojrzała na córkę, zaniemówiła z wrażenia. Wanda wyszła bowiem jak dama. Podniosła łabędzią szyję i uniosła dumnie głowę, błyskając groźnie oczami. Była w tej chwili pewna ponad wszelką miarę i nic nie mogło wpłynąć na jej decyzję.

– Chciałabym tylko poczekać jeszcze tydzień, by godnie przeżyć żałobę po nieodżałowanym dziaduniu – powiedziała cicho.

W rzeczywistości zwłoka była pretekstem, bo Wanda za wszelką cenę chciała kupić jeszcze kilka dni panieństwa. Zmusiła się do uśmiechu, który wyszedł tak naturalnie, że Roch spojrzał na nią z podziwem.

– Przekażę Andrzejowi twoją wiadomość – wychrypiał cicho charakterystycznym głosem.

– Niech lipiec minie. Sierpień to dobra pora na ożenek – dodała, ale tym razem trudniej przyszło jej zachować stanowczość.

Jej głos lekko zadrżał, więc tylko dygnęła lekko i wróciła do komórki, łagodnie zamykając drzwi.

XXV



Jezierski bardzo chciał znaleźć rokoszan, ale tej nocy musiał zrezygnować z poszukiwań. Z ojcem Katarzyny ponownie trafili do Lutomierska i przenocowali w żydowskiej karczmie. Był to duży budynek, większy niż łódzki ratusz. Na piętrze mieściły się cztery wolne pokoje. Goście wybrali ten, z którego było widać ulicę, by w razie najazdu, móc szybciej działać. Trakt był jednak spokojny, choć w Lutomiersku wszystko przypominało Konradowi Warszawę. Miasto było bowiem większe niż Łódź i żyło także nocą.

Piętro niżej kilku szlachciców piło na umór, więc należało spodziewać się wrzasków i bójek. Jezierski zagroził wejście skoblem, by nikt nie wdarł się nocą do pokoju. Andruszkiewicz zdjął buty i ułożył się na nędznym łóżku ledwie przypominającym mebel. Był jednak tak zmęczony, że po chwili powieki przestały mu drgać i zasnął.

Konrad myślał o wielu rzeczach, ale najbardziej martwił się tym, że z oddziałem pospolitego ruszenia jedzie Jerzy Sebastian Lubomirski. Choć powiadano, że bratobójcza walka przerwała jego upór i buntownik rozważa pojednanie z królem, to na pewno nie pojawił się we wschodniej Wielkopolsce z dobrymi intencjami. Najbardziej jednak dręczył Konrada lęk o matkę, która jechała w jakiejś kolasie, być może ranna lub chora.

Porucznik długo nie mógł zasnąć. Czasem chciał wstawać i jechać dalej, choć nocą tereny sieradzko-łęczyckie były niebezpieczne. Kiedy wstawał i odsuwał skobel, przed oczami stawały mu obrazy mrocznych drzew i włóczęgów. Zamykał więc drzwi i osuwał się na łóżko, czując bezradny gniew. Nie byłoby to jednak mądre, by szukać rokoszan nocą. Konrad to wiedział. Nocą był słabszy. Rana jeszcze mu dokuczała i gorączka trawiła ciało głównie po zmroku. Wtedy przychodziły do głowy niebezpieczne pomysły. Czasem stawały mu przed oczami złowrogie widziadła i porucznik nie był pewny, czy to wyobraźnia, czy gorączka podpowiada straszne obrazy.

Noc była chłodna i przyjemna. Choć łóżko składało się tylko z kilku niedbale złożonych desek przytwierdzonych do podłogi, a do okrycia służyła słoma, Konrad w końcu poddał się i gorączka zelżała. Chwytała go rzadziej i ustępowała nagle, jakby przyjemny okład łagodził ból. Nic jednak nie umiało ulżyć sercu tak, jak sprawne ręce pewnej łodzianki, o której Konrad myślał coraz częściej. Chciał, ale nie mógł wyrzucić z głowy jej poważnego, nieco rozmarzonego spojrzenia. Chabrowe oczy spoglądały na niego spod jasnych rzęs i za każdym razem było to spojrzenie nowe, nieco inne od poprzedniego. Tej nocy Konrad nie tylko myślał o Wandzie, ale też śnił o niej, a rano obudził się w podłym nastroju, przypominając sobie, że prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy dziewczyny, której spojrzenie zdradzało najskrytsze pragnienia i porywy serca.

Dzień rozpoczął się słotnie. Konrad z ulgą powitał chłód. Nawet ptaki zdawały się weselsze i ćwierkały radośnie, siedząc w koronie rozłożystego klonu. Konrad widział je przez niewielkie okno i z przyjemnością słuchał świergotu. Leżał przez chwilę z zamkniętymi powiekami, starając się przywołać sen. Po chwili uznał jednak, że nie wróci, więc zaczął

nasłuchiwać ćwierkania wróbli. Ptaki przysiadły na żerdzi tuż przy oknie. Słysząc było trzepot ich niewielkich skrzydeł.

– Niepokoi mnie, że Lubomirski jest w tym oddziale – powiedział nagle Andruszkiewicz. Leżał w kącie, a minę miał posępną.

– Chce mnie zabić. Jezierscy to chyba jego przekleństwo – mruknął Konrad.

– Ale przecież wszyscy mówią, że Lubomirski chce się ukorzyć przed królem i błagać o wybaczenie. Powinien więc być w drodze do Warszawy.

– Mój ojciec go okłamał i przechytrył. Chyba tego nie może darować.

– Znam go. To człowiek w gorącej wodzie kąpany, ale zbyt długo krzywd nie pamięta. Zawziął się na ciebie, Konradzie. Pewnie zdrada twojego ojca bardzo go zaboląła.

Konrad wstał i stanowczo odsunął skobel.

– To nie jest mój problem, kochany panie oficerze.

Rokoszan szukali jeszcze pół dnia. Konrad tracił cierpliwość i podejrzewał, że Lubomirski bawi się z nim, celowo wyprowadzając na manowce. Andruszkiewicz też przygasł. Siedział w siodle zgarbiony, niepodobny do wyborowego strzelca, za którego miała go cała Litwa. Przybywali do kolejnych wsi, ale wciąż słyszeli, że przejeżdżał tamtędy oddział, a prowadził go wąsaty i gruby szlachcic, który z opisu wieśniaków łudzaco przypominał Lubomirskiego. Chłopi nie znali jego nazwiska, ale podejrzewali, że to ktoś znaczący, bo minę miał butną i ubrany był po szlachecku. Jego grube palce zdobiły pierścienie. Nawet koń, który go wiozł, był wyjątkowy. Kroczył dostojnie, rzucając ogonem na boki, rżąc przy tym delikatnie, lecz dziko, a grzywę miał ciemną i lśniącą.

Dawno minął poranek, gdy nieopodal Łodzi dwóch obdartych hultajów powiedziało Konradowi, że oddział przejeżdżał tamtędy przed chwilą. Jezierski spojrzął na rozległe pola, które widać było po prawej stronie. W oddali jaśniała wieżyczka łódzkiego ratusza. Boczny trakt był dobrym miejscem na ukrycie kolasy i nieznacznej liczby żołnierzy. Andruszkiewicz popędził konia przodem, ale nie dał mu się zbyt rozpedzić, bo zaraz przytrzymał lejce i puścił wierzchowca spokojnym stępem. Za nim jechał Jezierski. Trzymał się nieco z tyłu, by nie zaatakowały go nieprzyjacielskie muszkiety. Oficer, choć był wybornym strzelcem i bano się go w całej Rzeczypospolitej, nie dałby rady całemu oddziałowi rokoszan.

Trakt wyglądał na świeżo ubity. Prowadził na południe, ale musiał omijać Łódź i Chojny, bo Konrad nie znał tej drogi. Ścieżka prowadziła prosto do lasu. Bór był okazały, rozciągał się z lewej strony aż po horyzont.

– Tu się mogą kryć wojska – szepnął Andruszkiewicz.

– I kolasa by tędy przejechała.

Nie musieli długo szukać. Gdy tylko wjechali do lasu, spostrzegli wyraźne ślady doskonale podkutych końskich kopyt. Widać było też głębokie, długie ślady kół, które mogła zostawić niewielka kolasa. Nikły wprawdzie tu i ówdzie w kępkach trawy rosnącej na niewydeptanym trakcie, ale po chwili znów się wyłaniały. Suchy piasek dowodził, że wóz wciąż jedzie, choć z trudem. Ziemia była bowiem zdradliwa.

– Musieli się gdzieś zatrzymać. Koń długo nie pociągnie wozu w piasku – stwierdził Konrad i popędził ogiera nieco raźniej.

Wciąż się rozglądali, by zobaczyć, co kryje się między drzewami. Dostrzegli dwa zaniedbane kurhany porośnięte trawą. Przeżegnali się i pojechali dalej, wypatrując zagrożenia.

Było cicho. Tylko liście drzew szeleściły w zapomnianym borze. Nawet ptaki zdawały się czuć tu nieswojo, bo nie śpiewały, tylko przysiadły na

gałęziach, spoglądając na przejeżdżających mężczyzn.

Wtem Konrad ujrzał, że spośród drzew wyłaniają się końskie łby. Spojrzał ze zdumieniem w drugą stronę i zatrzymał ogiera. Z obu stron traktu wyjeżdżali buntownicy na koniach. Wyglądali wyniośle, na ich twarzach widoczne były krwawe rumieńce. Rokoszanie zbliżali się powoli, jakby wiedzieli, że Konrad nie zamierza uciekać. Andruszkiewicz również przystanął i tylko się rozglądał.

Jeźdźcy mieli bogate stroje i widać było, że Lubomirskiemu służy nie byle kto. Ubrani byli po polsku, a szable połyskiwały wśród drzew jak srebrne, migotliwe monety. Konrad aż zamarł, widząc butę w oczach rokoszan. Wyglądali dumniej niż król, ale też dziko i przerażająco. Było ich około trzydziestu. Nie odzywali się. Konrad także nic nie mówił. Wyprostował się w siodle, by wyglądać poważniej.

– Witamy waszmościów – powiedział jeden z jeźdźców.

Był chudy, myszowaty, ale wąsy miał dłuższe niż oficer. Sięgały mu poniżej szyi i łopotały na wietrze niby dwie chorągwie.

Pozostali zrównali się z nim, stając naprzeciwko Andruszkiewicza.

– Witamy – burknął oficer. – Jestem Aleksander Orzechowski, dowódca tego rozbisurmanionego oddziału.

– W służbie Lubomirskiego waść służysz? – zapytał Konrad, choć wcale pytać nie musiał, bo odpowiedź była oczywista.

– Służyłem, ale nasz miłościwy hetman rozkazał pójść precz po bitwie, w której, jeśli mnie wzrok nie myli, waść uczestniczyłeś.

– Jak to? Więc nie ma go tu?

– A nie ma. Czemu miałyby być?

– To przecież w całym łęczycko-sieradzkim rozpowiadają, że Lubomirski przejeżdża przez wsie – odparł Andruszkiewicz.

Orzechowski spojrział na niego spode łba i uśmiechnął się nieprzyjaźnie.

– Niezbyt grzecznie pytać o takie rzeczy, gdy się jeszcze swojego nazwiska nie podało.

Niech się dzieje wola nieba – pomyślał Konrad i wystąpił przed Andruszkiewiczza.

– Wybacz, waść. Jestem Konrad Jezierski, porucznik chorągwi husarskiej w służbie miłościwego króla Jana Kazimierza. A to jest mój druh serdeczny, ojciec ukochanej – oficer Wojciech Andruszkiewicz...

– Słyszałem o rodzinie Andruszkiewiczów – przerwał groźnie Orzechowski, łypiąc w stronę oficera. – Nie wiedziałem jednak, że waćpan rodzinę ze zdrajcami chcesz łączyć.

Na te słowa Andruszkiewicz poruszył się w siodle, a Konrad zacisnął zęby i pewnie porwałby się do szabli, ale pamiętał, że musi szukać matki.

– Nieładnie kogoś zdrajcą mianować, jeśli się służy buntownikowi – warknął Andruszkiewicz i cios ten okazał się trafny, bo tym razem to Orzechowski stracił rezon i niespokojnie spojrzął w kierunku towarzyszy.

– Nie chcemy zwady z Andruszkiewiczami. To dobra rodzina, niegdyś wspierała pospolite ruszenie i z Lubomirskimi się przyjaźniła. Ale proszę, wydaj waść tego łotra na pojedynek – powiedział tęgi szlachcic siedzący na nieco pokierszowanym siwku.

Wskazał na Konrada. Choć serce porucznika poczęło teraz bić ze zdwojoną siłą, a w boku wciąż czuł lekki ból, wyprostował się z godnością.

– Z kim miałbym się pojedynkować? – zapytał.

– Ze mną – odparł ktoś stojący na końcu oddziału.

Wtem szlachcice poczęli szarpać lejce i konie wycofały się na boki, robiąc miejsce wytwornemu gniadoszowi o smukłych pęcinach. Ogiera dosiadał gruby wąsaty szlachcic.

– A waść to kto? – zapytał Konrad.

– Ktoś bardzo podobny do Lubomirskiego – szepnął Andruszkiewicz i wbił wzrok w dumnego szlachcica.

– Ale nie jestem Lubomirski, choć po wszystkich wsiach rozpowiadałem co innego. Sądziłem, że tak łatwiej zwabię cię w pułapkę, bratku. I proszę, udało się znakomicie. Naprawdę sądziłeś, dworski głupcze, że Lubomirski prowadzi oddział? Że ci matkę porwał?

Nieznajomy szlachcic miał mętny, znudzony wzrok, choć odbijała się w nim czasem niebezpieczna iskra podobna do rozpalonego lontu. Poprawił rękawicę i sięgnął nią do pochwy, kładąc palce na rękojeści szabli.

– Co będę miał z pojedynku? – zapytał Konrad.

– Jeśli ze mną wygrasz, będziesz mógł odjechać, a oddział cię przepuści. Dostaniesz też z powrotem matkę.

Jakby na ten sygnał czekał chuderlawy żołnierz. Pociągnął konia i z lasu wyłoniła się kolasa. Matka Konrada siedziała w środku i ocierała łzy rękawem sukni.

– A więc pojedynek – wycedził Konrad.

Słyszał protesty matki, ale jej łzy nie zmiękczyły urażonego serca. Zeskoczył z konia i poprawił poły kontusza. Podobnie zrobił jego przeciwnik. Kiedy zsiadł z gniadosza, wydawał się jeszcze grubszy. Machnął jednak szablą niespodziewanie szybko, rozgrzewając dłoń.

– Jeszcze nie wiesz, z kim staniesz do pojedynku. Jestem Jan Kosakiewicz herbu Agryppa. Skromnie dodam, że niektórzy uważają mnie za najlepszego szermierza w całej Rzeczpospolitej – pochwalił się.

Andruszkiewicz jęknął, bo najwyraźniej już słyszał to nazwisko, ale Konrad tylko wzruszył nieznacznie ramionami.

– Wielu się za najlepszych szermierzy w Rzeczpospolitej uważa – mruknął z mściwą satysfakcją.

Kosakiewicza widocznie dotknęła ta uwaga, bo zaraz obnażył jak wilk zęby i tak zaciekle machnął szablą, że świst poniósł się echem po lesie.

– To będzie przemiała jatka – warknął pogardliwie i otarł z ust ślinę.

Teraz szlachta zaczęła się wycofywać, by zrobić miejsce do walki. Tumany piachu wzbiły się pod końskimi kopytami. Na twarzy Andruszkiewicza malowała się bezbrzeżna rozpacz. Nazwisko Kosakiewicza najwidoczniej zrobiło na nim wielkie wrażenie. Niechętnie usunął się w kępę drzew i patrzył to na jednego, to na drugiego szlachcica.

Tymczasem Konrad mocno chwycił szablę i czekał na atak. Serce biło mu szybko i chaotycznie, ale umysł porucznika był niezwykle skupiony. Ciepły wiatr lekko muskał kędzierzawe włosy, przynosząc delikatną ochłodę.

Jan Kosakiewicz skradał się ku Konradowi jak znudzony kot. Lekko rozchylił wydęte wargi i z pogardą patrzył na przeciwnika. Wtem błyskawicznie podniósł szablę, ujął ją w obie ręce i machnął w dół, krzyżując ją z ostrzem Konrada. Porucznika zaskoczyła szybkość ataku i poznał, że nie byle kto stoi naprzeciw niego. Ledwo wyprostował się po tym ciosie, a już szabla Kosakiewicza świsnęła mu koło ucha i tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi nie trafiła w głowę Konrada.

Choć pojedynek rozpoczął się sennie, następne chwile przyniosły grozę. Teraz Kosakiewicz począł w szale pruć powietrze ostrzem, a robił to tak zwinnie, że Konrad ledwo odskakiwał, unikając ciosów. Nie zaatakował jeszcze ani razu, tylko bronił się i obserwował ruchy nieprzyjaciela, powoli wyczuwając jego słaby punkt. Kosakiewicz bowiem, choć posługiwał się szablą tak chytrze, jakby się z nią urodził, lewą rękę miał słabą i problemy z właściwą pozycją stały się widoczne. Zdarzyło mu się kilkakrotnie wysunąć lewe ramię, by złapać równowagę. Napierał jednak coraz silniej i Konrad poczuł, że cofa się przy każdym ostrzejszym ataku.

Odpierał razy coraz słabiej, choć czuł, że przeciwnik też traci siły, a ponadto zaczyna machać jakby od niechcienia, poznając, że ma do czynienia z gorszym szermierzem. Nalana twarz Kosakiewicza wyrażała głęboką pogardę, a w znudzonych ślepiach błyskały lekceważące iskry. Nic jednak nie mówił, więc Konrad mógł skupić uwagę na walce. Wśród listowia nie słychać było nawet szelestu, ustał płacz Anny Jezierskiej. Patrzyła przez mokre oczy na pojedynek i z niepokojem dostrzegła, że syn jest słabszy od przeciwnika.

Konrad postanowił uśpić czujność Kosakiewicza. Bronił się więc jak uczeń, który pierwszy raz trzyma w ręku szablę. Jego ruchy były nonszalanckie, ale wprawny szermierz wziął te pozory za brak siły i efekt złej techniki.

– Ile można tak bez sensu machać szablą? – spytał zniecierpliwiony Kosakiewicz.

Był zły. Znużenie odbijało się na jego twarzy i chciał już zakończyć pojedynek. Nie miał jednak ku temu sposobności, bo Konrad skutecznie odpierał ciosy, choć nie atakował. Już się nie cofał, tylko tańczył w miejscu, a nogi same podpowiadały mu dogodne ułożenie. Tak skupiony nie był jeszcze nigdy.

Pierwszy przełom nastąpił po kilku minutach. Kosakiewicz był zmęczony i atakował coraz słabiej. W pewnej chwili zamachnął się jednak niespodziewanie szybko, wywijając szablą spod prawego boku. Cofnął ją, zanim uderzyła w ostrze Konrada i błyskawicznie zaatakował ponownie tym razem z drugiej strony. Konrad nie był na to przygotowany, ale jednocześnie Kosakiewicz zupełnie odsłonił się z prawej strony. Ta chwila wystarczyła. Konrad rzucił się do prawej strony i uderzył. Nie chciał zabić przeciwnika ani mocno go ranić, ale musiał się ratować, ponieważ słabł

coraz bardziej. Cios wymierzony w Kosakiewicza okazał się dostatecznie silny. Ostrze świsnęło i śmignęło prosto w żebra.

Kosakiewicz ryknął z bólu, aż ptaki, które siedziały w listowiu, poderwały się gromadą i odfrunęły. Echo poniosło się po całym lesie, zapewne słyszeli je też pracujący w polu łodzianie. Kosakiewicz padł na kolana. Ze skroni spływały mu wielkie krople potu. Włosy miał mokre i polepione. Przez chwilę chyba zastanawiał się, czy to możliwe, że otrzymał cios, ale zaraz potem dotknął rany. Przez palce przeleciały mu strużki krwi i skapnęły obficie na piach. Kosakiewicz wydał jeszcze jeden jęk, a potem z impetem zwałił się na twarz prosto pod nogi Konrada.

Najpierw zaległa cisza tak gęsta, jakby w lesie nikogo nie było. Po chwili jednak szlachta zaczęła między sobą szeptać i pomrukiwać z niezadowoleniem. Tu i ówdzie słychać było zdumione głosy, ale Konrad nie rozumiał, kto co mówi. Spojrzał w dół na swoje ciało, a zobaczywszy, że nie jest ranny, uniósł szablę w geście triumfu i schował ją do pochwy.

Andruszkiewicz przyglądał się temu ze zdumieniem, ale zaraz odzyskał trzeźwość umysłu i wydał pełny podziwu okrzyk.

– Konrad Jezierski zwyciężył!

Choć rokoszan było ze trzydziestu, nikt nie śmiał zastępować Konrowi drogi. Przeciwnie, podano mu oficerskiego konia i poczęto sprawdzać, czy Kosakiewicz żyje. Widocznie rana nie okazała się śmiertelna, bo złapano krewkiego szlachcica za ręce i nogi i przytargano na kolasę. Anna Jezierska dumnie zeszła z wozu i posłała rokoszanom spojrzenie pełne wzdargy.

– Matko... – wydyszał Konrad i rzucił się jej w ramiona.

Okrutnie osłabł przy pojedynku i osunął się nieco nieprzytomnie w ciepłe matczyne ramiona. Andruszkiewicz zeskoczył z ogiera i podtrzymał Konrada.

Kiedy porucznik wsiadał na konia, nie do końca był świadomy wygranej. Czuł jedynie żar, który trawił zmęczone ciało. Z włosów spływały mu krople potu, a wzrok miał mętny i nieobecny. Jedyne, czego chciał, to odjechać z matką i oficerem. Anna Jezierska mocno złapała syna w pasie i oboje popędzili konia. Andruszkiewicz także przejechał. Rokoszanie rozstąpili się i nie śmieli już atakować. Patrzyli zdumieni na młodego Jezierskiego, który pokonał sławnego szermierza.

– Zdrów będzie ten bratek? – zapytał wesoło Andruszkiewicz, wskazując na leżącego Kosakiewicza.

– To się okaże – mruknął szlachcic siedzący u wezglowia rannego.

Różne sceny rozgrywały się nieopodal Łodzi, ale takiego pojedynku wschodnia Wielkopolska nie pamiętała. Konrad ledwo trzymał się w siodle, ale pęd rozwiewał mu włosy i chłodził rozpalone ciało. Do Stoków zajechał już przytomny, choć nie pamiętał, żeby kiedykolwiek był tak zmęczony.

– Zaraz napiszę do córki, że jesteś cały i zdrów. Tymczasem odpocznij, służba przyniesie kolację – mówił troskliwie oficer.

Wziął Konrada pod pachę i zaprowadził do przytulnej izby. Nie było to pomieszczenie wytworne, ale znajdowało się w nim duże wygodne łoże. Jezierski natychmiast legł na nim na wznak. Próbował uspokoić zszarpane nerwy. Oddychał ciężko i szybko, ale po chwili uświadomił sobie, że matka jest bezpieczna, a jemu też nic już nie grozi. Zamknął oczy, wciąż czując pod powiekami piasek.

XXVI



Po Łodzi szybko rozniosła się wieść o zgodzie Wandy i nim dzień minął, wiedzieli już wszyscy. W domu Sobótków panowała przyjemna atmosfera, a Wanda starała się nie okazywać irytacji. Nikt bowiem nie wiedział, że jest przerażona i wolałaby dozgonne staropanieństwo niż ożenek z Andrzejem. Musiała jednak być rozsądna. Widziała przecież w oczach Konrada, że właśnie tego od niej oczekuje.

Czasem ją dziwiło, jak dobrze potrafi grać. Uśmiechała się promiennie, gdy zaczepiano ją na ulicy i pytano o zdrowie. W domu przy obiedzie naśladowała świergot wróbli. Wiesia ignorowała z całą stanowczością.

A było co ignorować. Żelichowscy aż zapienili się z wściekłości, gdy tylko dotarła do nich wiadomość o ostatecznej zgodzie na połączenie rodziny Sobótków ze Szczygłami. Żelichowska dygotała z gniewu i chodziła po izbie, trzymając się za serce. Łzy wstydu spływały po jej policzkach. Jeszcze nigdy nie czuła się bardziej upokorzona. A była to kobieta niebezpieczna i zbyt dumna, skora do okrucieństwa, gdy coś szło nie po jej myśli.

– Cała Łódź się z nas śmieje – powtarzała do znudzenia.

Niezupełnie była to prawda. Owszem, chwalono Wandę za spryt, podziwiano też zręczną rękę Rocha, bo w swataniu nie miał sobie równych.

Roch znowu chodził po mieście dumny niczym paw, a ci, którzy wcześniej robili zakłady, stawiali mu w karczmie gorzałkę.

– To sprytna dziewczka! – mówiono. – Żeby tak okręcić bogatego Andrzeja wokół palca! Żeby tak puścić Żelichowskiego kantem!

W słowach ludzi nie było jednak wiele jadu, a niechęć do Żelichowskich spowodowały głównie plotki Wiesia. Być może litowano by się nad sąsiadami Sobótków, ale przez pomówienia nikt nie miał na to ochoty.

– Co za bezczelność – sapała tymczasem Żelichowska. – Kiedyś się z nami liczone, a teraz?! Teraz byle kto może nami pomiatać. Co za zniewaga, co za zdrada! Ja tę dziewczuchę rozszarpię.

Wypieki wyszły jej na twarz, gdy z groźną miną chodziła po izbie. Mąż nie ważył się do niej zbliżyć, a Wiesio siedział z ponurą miną przy ławie i co chwilę przytakiwał lub dopowiadał coraz gorsze obelgi.

Gdy zbliżał się wieczór, Żelichowska stanęła pośrodku izby i wygięła usta w mściwej determinacji.

– O nie, tak nie będzie – powiedziała z mocą. Po czym spokojnie wyszła z domu.

Szare chmury przysłoniły zachodzące słońce. Gdzieniegdzie słychać było rozmowy; niektórzy łodzianie wybierali się do karczmy lub na Górki Plebańskie. Miasto pachniało słodko jak zawsze, gdy upalny dzień chylił się ku końcowi. W kilku domach podano już kolację. Spodziewano się spokojnej nocy i kolejnych ciepłych dni.

– Jaskółki fruują wysoko. Jutro nie będzie deszczu – mówiono.

Miasto wypełniła miła atmosfera senności. Tylko od Żelichowskiej wciąż biła łuna emocji.

Rano Wiesio wstał wcześniej niż zwykle. Wyspał się i świat od razu wydał mu się piękniejszy. Wyszedł na przyzbę, chłonąc świeże poranne

powietrze. Na horyzoncie unosiła się gęsta mgła, przez którą przebijały się pierwsze promienie słońca. Refleksy padały łagodnie na zroszoną trawę, a krople migotały jak drogocenne kamienie. Wiesio spojrzał w stronę Górek Plebańskich, ale mgła nie pozwalała dojrzeć charakterystycznego wzniesienia. Zastanawiał się przez chwilę, co to może znaczyć, i w końcu doszedł do wniosku, że to Bóg lituje się nad ludnością i nie zamierza nikogo dziś wysłać do siebie.

Łódź rankiem była najpiękniejsza i najbardziej pogodna. Choć przez chwilę dawała ludziom złudną nadzieję na lepsze życie. Nikt nie wiedział, jak miałoby ono wyglądać, ale każde marzenie nabierało mocy, gdy się o nim pomyślało o poranku.

Wiesio poszedł do obory. Jego stopy chłodziła rosa. Pierwsze pszczoły budziły się ze snu i latały między wielkimi słonecznikami, które rosły pod płotem. Było rześko i pięknie.

Gdy Żelichowski otworzył oborę, nie od razu zrozumiał, co się stało. Podszedł do krowiego boks, trzymając dwie garście siana. Wtem przystanął ze zdumieniem, a przerażenie odbiło się w jego ciemnych oczach. Oto na słomie leżało zeszywniałe całe bydło, a wokół niego z brzękiem latały muchy. Zasnęta krew wsiąkła już w słomę i zwierzęcą sierść. Na szyjach zwierząt widniały wielkie rany. To był równie żałosny, co przerażający widok.

Wiesio czuł, że dreszcz przerażenia biegnie mu po plecach, ale nie uciekł z obory, tylko podbiegł do boks wołów. Żyły, choć miały kilka niezbyt głębokich ran. Wiesio cisnął garściami słomy prosto w woły i rzucił się do ucieczki. Nie obejrzał się za siebie, nie zamknął drzwi obory. Wpadł do domu rozdygotany, zastanawiając się, czy to, co widział, było jawą czy snem.

– Wszystkie krowy zdechły! Ktoś zamordował krowy!

Żelichowscy poderwali się na równe nogi.

– Jak to? – zapytała matka z przesadnym oburzeniem.

– Nie ma! Wszystkie krowy nie żyją. Mają rozcięcia na szyjach – mówił Wiesio, wodząc przerażonymi oczyma po twarzach rodziców.

Żelichowska już biegła do obory, a za nią, opierając się o laskę, kuśtykał mąż. Krzyk wydobył się z gardła Żelichowskiej i Wiesio poznał, że nie przewidziało mu się – krowy naprawdę nie żyły. Wiesio po raz pierwszy w życiu widział, jak ojciec ociera rękawem koszuli łzy. Spływały mu po twarzy obficie.

– Czy to zwierzę jakieś? – zapytał Wiesio, gdy cała trójka podeszła do krów.

– To nie zwierzę, nie ma śladu pazurów – powiedziała Żelichowska i nachyliła się nad krowami, przeganiając muchy.

Fetor zarzniętych krów rozniósł się po całej ulicy i zewsząd zaczęli zbiegać się ludzie. Patrzyli na Żelichowskich, którzy miotali się po podwórzu, biegali między domem a oborą.

– Chyba Żelichom znowu krowa zdechła. A może nawet wół, bo Żelichową dopadła histeria – powiedział Ryszard, spoglądając przez okno.

Wanda w tym czasie siedziała na krześle. Nie obchodziły jej zwierzęta sąsiadów, ale mimowolnie zaczęła nasłuchiwać, gdyż krzyki wzmogły się i Żelichowska wszczęła lament. Pod płotem gromadziło się coraz więcej łodzian, a była wśród nich głównie biedota i mieszkańcy, których zaalarmował mdły zapach krwi. Z niepokojem spoglądano na oborę, w której spoczywały potężne krowie cielska.

Sobótkowie także wyszli z domu i siedzieli na przyzbie, obserwując Żelichowskich. Wanda nie zwracała uwagi na Wiesia, ale on też zdawał się tym razem daleki od rzucania pogardliwych spojrzeń i wymieniania przytyków. Był poruszony do głębi, a nawet wylękniony.

Żelichowska wybiegła z obory, płacząc. Zasłoniła usta umazanymi od krwi dłońmi i przepędziła tłumek stojący przed jej ogrodzeniem. Pognąła ulicą, nie odpowiadając na ciekawskie pytania łodzian, którzy stali skonsternowani i niepewni tego, co ma nastąpić.

Ludzie jeszcze przez chwilę wyczekiwali przed domem, ale już po chwili zorientowali się, że szybciej dowiedzą się o tym, co zaszło w oborze, jeśli pobiegną za kobietą. Tłumek zaczął się przerzedzać i wkrótce pod płotem zostali tylko nieliczni.

– A co tam mogło się stać, Wandziu? – zapytała Marysia Szczygłowa, podchodząc pod płot Sobótków.

– Nie wiem, pewnie wół Żelichowskiej zdechł i dlatego taki raban zrobiła. A może nawet dwa woły, bo inaczej tak by nie płakała – odparła Wanda.

Nie obchodziło jej za bardzo, jaka krzywda stała się Żelichowskim. Starła się przekonać samą siebie do współczucia, ale nie wychodziło jej to zbyt dobrze. Poszła więc do studni po wodę, a po drodze rozmyślała o tym, czy Konrad odnalazł matkę.

Do łodzian trafiła bowiem wiadomość o chojeńskiej tragedii. Choć żaden wieśniak mieszkający w Chojnach nie został przy życiu, to przyjechał przecież wójt i wieść o podpaleniu wsi rozeszła się błyskawicznie. Wanda nie wiedziała zatem nic o tym, co spotkało Konrada. Nie mogła spodziewać się, że bawi w Stokach u Andruszkiewicza.

Sobótkówna miała ochotę wymknąć się, by go odszukać, ale byłaby to wyprawa niebezpieczna i niepotrzebnie naraziłaby rodzinę na plotki. Szła więc prosto do domu, choć jej serce pękało z żalu. Mogła przecież co najwyżej zobaczyć Konrada przy następnym łódzkim jarmarku. Innych możliwości nie było.

Wracała z wiadrem do domu, gdy nagle zobaczyła, jak pędzi ku niej tłum łodzian. Wśród nich poznała Andrzeja Szczygła. Szedł nieco z boku, a na jego twarzy malowała się taka zgroza, jakby właśnie zobaczył upiora. Obok niego szła matka, a za nimi człapała Maryś. Wszyscy patrzyli na Wandę ze strachem, ale ich wzrok krył coś jeszcze – wrogość.

Ludzie obskoczyli Wandę, zaczęli zadawać jej pytania, krzyczeli, a nawet straszili widłami gnojnymi. Dziewczyna odskakiwała od ciżby, ale nie na wiele się to zdało, bo rozjuszony tłum okrążył ją ciasnym pierścieniem. Poczowała, że dotykają ją jakieś ręce, widły smagają po plecach, a w uszach słyszała tylko strzępki słów zlewające się w jeden hałas do ludzkiej mowy niepodobny.

– Czego wy chcecie?! – krzyczała, a tłum szarpał ją, napierając ze wszystkich stron.

Niechybnie zginęłaby z rąk ludzi, gdyby nie tubalny głos wójta rozkazujący łodzianom rozstąpić się. Tłum posłusznie, choć niechętnie, przestał ciskać w Wandę przekleństwa i cofnął się nieznacznie, przepuszczając Gliniewicza.

Wójt stał przed Wandą niezdecydowany. Uszła z niego cała pewność siebie. Widać było, że narasta w nim strach. Podparł się pod boki, żeby dodać sobie odwagi.

– Czy twoja matka wyrznęła wszystkie krowy sąsiadów, jak Żelichowska powiada? – zapytał.

Wanda nie od razu zrozumiała słowa wójta, jednak po chwili rozejrzała się i zrozumiała, że właśnie takie oskarżenie padło z ust Żelichowskiej.

– Moja matka była w domu – odpowiedziała cicho.

Tłum począł krzyczeć i złorzeczyć, ale wójt wrzasnął kilka razy i nastąpiła cisza.

– Czy przyznajesz, że twoja matka wspak chodziła przy płocie i napuściła Lubomirskiego na Chojny?

Wanda jeszcze raz spojrzała na tłum, a oprócz biedoty widać było tam również znakomite rodziny, które pały równym gniewem, co wójt i ciżba. Wtem napotkała żalosne oczy Andrzeja. Zdawał się patrzeć na nią dziwniej niż kiedykolwiek, ale Wanda nie miała czasu, by zastanowić się nad tym spojrzeniem. Szybko zebrała nieskładne myśli.

– Nie rozumiem... Co dokładnie zrobiła moja matka? – szepnęła.

Wandę zabrano do ratusza. Wójt i ławnicy musieli ją ochraniać. Sobótkówna szła i patrzyła pod nogi, bojąc się spojrzeć na rozsierzonych łodzian. Próbowwała też poskładać w całość strzępy myśli, ale nie mogła rozpoznać, o co jest oskarżona. Przez głowę przelatywały słowa wójta, a gonitwa myśli stawała się z każdą chwilą bardziej męcząca. Nie wiedzieć czemu, chodziło raz o krowy, innym razem o Lubomirskiego. Najstraszniejszym zarzutem było jednak owo chodzenie wspak przy płocie, bo łączyło wszystkie oskarżenia w jedno zapierające dech z przerażenia.

W ratuszu było cicho. Pisarz Piekarczyk nakazał ławnikom, by pilnowali wejścia, po czym udał się na piętro. Wójt polecił Wandzie wejść do niewielkiej sali, w której wcześniej odbyło się przesłuchanie Grosików. Widocznie bardzo zmęczyła go ta niedługa wycieczka, bo usiadł szybko za biurkiem, wyjął butelkę wódki i pociągnął zdrowy łyk, sapiąc nieszczęście. Dopiero po kilku chwilach spojrzał na Wandę z wyraźnym przestachem.

– I co teraz, Wando? Co będzie z Sobótkami?

– Jak to co? – zapytała Wanda nieco impertynencko, bo zachowanie wójta zaczęło ją denerwować. – Chcę poznać zarzuty.

– Zarzuty dotyczą twojej matki – odpowiedział wójt i znowu upił łyk wódki.

– Czy spojrzysz mi pan wreszcie w oczy i powie, co Żelichowska znowu wymyśla?

Gliniewicz zaśmiał się nerwowo i otarł chustą pot z czoła. Był wyraźnie przestraszony.

– Żelichowska oskarżyła Zofię o... – zaczął i wziął głęboki wdech – o czary.

Wanda spojrzała na wójta nieprzytomnie i ze strachu aż oparła się o ścianę. Nadzieja gasła w niej z każdą chwilą. Wreszcie usłyszała to, czego tak się obawiała.

– Żelichowska powiada, że Zofia wspak chodziła przy płocie. Powiada też...

– Ona nas nienawidzi! Przecież pan to wie. Jest zdolna wymyślić każdą plotkę, żeby tylko pogrzyść naszą rodzinę – przerwała Wanda z mocą.

– I ja tak myślałem, bo to bardzo poważne oskarżenie. Ale widziałem, co się stało w oborze Żelichowskich. Tam wszystkie krowy zarżnięto.

Dopiero teraz wójt odważył się spojrzeć Wandzie w oczy.

– Jest jeszcze sprawa Chojen – mówił. – Jak wiadomo, ktoś spalił całą wieś Jezierskich.

– Moja matka? – zapytała Wanda z takim sarkazmem, że aż czuć go było w powietrzu.

– Nie, ale jaśnie pan Jezierski był u was w domu leczony. Twoja matka mogła napuścić na niego nieszczęście w postaci rokoszan.

Wanda aż westchnęła z oburzenia.

– Moja najdroższa matka się nim opiekowała! To nie nasza wina, że Chojny spalono.

Wójt znów upił łyk wódki, stał się nieco śmielszy i popatrzył Wandzie głęboko w oczy.

– Ale okoliczności nakładają się. Chodzenie wspak, zarżnięte krowy, spalony dworek i wybita służba. A Żelichowska wspominała jeszcze, że gdy jaśnie pan Jezierski przebywał w waszym domu, to krowy jej mleka nie dawały – rzekł dobitnie.

– Przecież ona zmyśla!

– A więc dawały?

– Nie wiem, nie przyglądam się, czy krowy sąsiadki dają mleko. Nam się nie skarżyła.

Wójt westchnął głęboko, widząc, że oburzenie Wandy jest szczere. Minę miał kwaśną, ale zarzuty, które wymyśliła Żelichowska, zdawały się go przekonywać.

– Musisz zostać w ratuszu do wyjaśnienia – powiedział i zawołał dwóch ławników, by wyprowadzili Wandę. Dziewczyna nie płakała i spokojnie dała się poprowadzić na dół, ale poczucie krzywdy rosło w jej sercu z każdą chwilą.

Sprowadzono ją na parter, gdzie mieściły się łódzkie lochy, i wrzucono do niewielkiego pomieszczenia. Nie było w nim niczego, a promienie słońca docierały tylko przez niewielką szparę między deskami. Wanda zorientowała się, że gdzieś obok musi siedzieć Zofia, ale nie słyszała nawet najmniejszego szelestu. Popukała więc cicho w deski po obu stronach, lecz odpowiedziała jej głucha cisza.

Siedziała przez chwilę pod ścianą i próbowała zebrać myśli. Wtem usłyszała, że ktoś wchodzi do ratusza. Tłumek, którzy oblegał budynek, musiał się rozejść, bo panowała cisza. Wanda nasłuchiwała z niepokojem krótkiego powitania, próbując odgadnąć, z kim rozmawia Gliniewicz.

– Bardzo dobrze, że siedzą pod kluczem. Tam ich miejsce – powiedział ktoś, a w jego głosie dało się wyczuć satysfakcję.

Był to głos Wiesia. Tuż obok stała jego matka, bo Wanda rozpoznała jej skrzek.

– Co z nimi będzie?

– Sprawa jest poważna. Chodzi o obrazę Boga, bydło, zakazane praktyki i folwark. Chociaż... nie jestem pewien, czy atak rokoszan to naprawdę wina Sobótków. Przecież się nim opiekowali. Po co Zofia miałaby napuszczać na Chojny takie nieszczęście? Poza tym stary Drewno powiedział mi nie dalej jak wczoraj, że jaśnie pan Jezierski wygrał pojedynek, odzyskał matkę i teraz wypoczywa z nią w Stokach u Andruszkiewiczów.

– To ty jesteś wójtem, Walenty. Od ciebie zależy, co postanowisz. My się na takich sprawach nie znamy – rzekła spokojnie Żelichowska.

– Problem w tym – tu wójt ściszył głos – że ja też się nie znam.

Na chwilę zaległa cisza pełna konsternacji, ale zaraz potem wójt przywołał się do porządku.

– To znaczy... nigdy nie mieliśmy w Łodzi takiego procesu. Trzeba koniecznie poprosić o pomoc kogoś, kto się na tym zna – powiedział.

– Procesu? – zapytał niepewnie Wiesio. – To będzie proces?

– Oczywiście, Wielisławie. I to poważny. W dobrym tonie będzie sprowadzić Warkę i Prukaza ze Rzgowa. Oni się na tym znają. I kata też weźmiemy ze Rzgowa.

– Jakiego kata? – zapytali jednocześnie Żelichowscy.

– Takiego, co katuje i podpala stos – odparł wójt tak sucho, jakby uderzyła go niewiedza Żelichowskich.

Wanda nie usłyszała już nic więcej, prócz jękliwego trzasku drzwi ratusza. Jej serce tłukło się teraz w piersiach jak skrzydła uwięzionego w klatce ptaka. W głowie czuła pustkę, a myśli przelatywały przez jej umysł w szaleńczej gonitwie.

Jeszcze nie wszystko stracone. Trzeba stąd uciec i biec co sił w nogach do Stoków po pomoc. W Konradzie ostatnia nadzieja – myślała Wanda.

Wstała i zaczęła rozglądać się za czymś, co pozwoliłoby jej uciec. Nie znalazła jednak niczego. Pomieszczenie, w którym ją zamknięto, było puste. Nie miała też żadnej spinki do włosów, by sforsować zamek. Ogarnęło ją uczucie beznadziei i do zmierzchu przesiedziała w lochu, płacząc z bezsilności.

Gdy całkiem się ściemniło, ucichły wszystkie głosy. W ratuszu został tylko pijany strażnik pilnujący lochów. Wanda próbowała wybić drewniane deski, bo za tylną ścianą lochu była upragniona wolność. Jednak bez piły jej wysiłki na nic się zdały. Opadła z sił, była głodna, a deski nawet nie drgnęły. W końcu poddała się i bezsilnie opadła na zimną podłogę.

Zamykała oczy, ale nie mogła zasnąć.

Była już głęboka noc, gdy usłyszała szelest. Tuż przy tylnej ścianie coś zachrobotало, zatrzeszczało i ucichło. Pomyślała, że to pewnie jakiś bezpański pies, ale wtem usłyszała pukanie.

– Wanda, jesteś tam? – zapytał ktoś szeptem.

– Jestem – odpowiedziała drżącym głosem.

– Odsuń się od ściany, a ja spróbuję wypiłować przejście.

To był głos Wiesia.

– Odczep się – warknęła Wanda, ale zaraz pożałowała swoich słów.

Nie miała przecież wyjścia i musiała zaufać Żelichowskiemu. Wiesia nie odstraszyła jej odmowa. Wanda usłyszała lekki chrobot i domyśliła się, że Wiesio jak najciszej próbuje przepiłować tylną ścianę. Oddychał przy tym szybko, jakby się bał, że ktoś go nakryje. Wanda siedziała po drugiej

stronie, wpatrywała się w deski i czekała. Po kilku minutach, gdy już traciła nadzieję, zauważyła, że piła Wiesia przebiła ścianę i sunie delikatnie w bok.

Nie minął kwadrans, a jedna deska była wyłamana. Oczy Wandy przywykły do ciemności, więc popatrzyła prosto w zmęczoną twarz Wiesia, ale on unikał wzroku. Rumieńce pojawiły się na jego policzkach i pewnie miało to większy związek ze wstydem niż trudem pracy.

– Po co to robisz? – zapytała cicho, gdy chrobot ustał i kolejna deska padła na ziemię.

– Grozi ci niebezpieczeństwo. Matka tego nie chciała. Myślała, że zapłacicie wysoką grzywnę albo skończy się na jakimś niewielkim procesie – wyszeptał i otarł oczy rękawem.

– Twoja matka zabiła krowy?

– Tak. Tylko teraz się przecież nie przyzna. To zaszło za daleko.

– Za daleko? – wycedziła Wanda, ale zaraz nieco ściszyła głos. – Całe miasto chce, żeby nas...

– Spalono na stosie – zakończył Wiesio ponuro.

Wanda nie odpowiedziała. Gorzkie łzy spłynęły po jej policzkach, gdy uświadomiła sobie, że jest za późno, by cokolwiek ratować. Jeśli w kimś była nadzieja, to tylko w Konradzie. Wiedziała, że musi czym prędzej biec do Stoków, nie zważając ani na pannę Katarzynę, ani na szlachecką sławę porucznika.

– Naprawdę żałuję, Wando – szepnął Wiesio, a jego ciemne oczy wreszcie na nią spojrzały.

– Piłuj – odpowiedziała spokojnie.

Przez kolejną godzinę Wiesio klęczał i piłował deski. W innych okolicznościach przepiłowałby już na pół cały ratusz, ale teraz należało być jak najciszej. Wanda słyszała jedynie chrzęst piły i cykanie świerszczy, które spokojnie grały jednostajną melodię ukryte w kępach traw. Wiesio już

więcej się nie odzywał. Pochylał się nad piłą ze skupieniem, a na jego czarnych włosach osiadał pył.

Zanim minęła kolejna godzina, Wanda mogła precyzyjnie się przez dziurę. Drzazgi wpiły się w jej ciało, ale nie zważała na to. Stała naprzeciwko Wiesia.

– Dziękuję. Jak się domyślam, twoja matka nie odwoła oskarżenia – powiedziała odpychająco.

– Nie – odpowiedział tak cicho, że ledwo go dosłyszała.

– No tak. Trzeba przecież dbać o reputację – odparła Wanda lodowato.

– Musisz uciekać z miasta. Już nigdy się tu nie pokazuj. Nikomu nie mów, że to ja cię uwolniłem.

– Co z moją matką?

– Jest nie do uratowania, Wando.

– To się jeszcze okaże – mruknęła złowieszczo i uniosła dumnie głowę.

– Widzimy się po raz ostatni.

– Z Bogiem – rzekła Wanda, a pożegnanie zabrzmiało tak wrogo i obcesowo, że Wiesio aż się skulił.

Nie zwlekała dłużej. Przemknęła przez ciemny rynek, przeklinając to, że znów musi nocą opuścić miasto. Nie było jednak innego sposobu, żeby się ratować. Drzewa kołysały się przy porywach wiatru, a ich grube konary trzeszczały złowieszczo. Noc była ciemna, wielkie chmury nadciągnęły nad wschodnią Wielkopolskę, zasłaniając atrament nieboskłonu. Wanda biegła przez chwilę i patrzyła nieprzytomnie w dzikie listowie. Wśród poszycia szukała wrogich cieni lub niewielkich ognisk rozpalanych przez hultajów. Nie widziała niczego podejrzanego, ale wyobrażenia i strach podpowiadały najgorsze obrazy. W mroku nie mogła wyraźnie dojrzeć rozmytych konturów krzewów i zwierzyny.

Jedna tylko myśl pchała ją do przodu, a była to myśl rozpaczliwa, dalece bardziej bezsilna niż odpieranie niechcianych ożenków. Wanda skuliła się i szła środkiem drogi, choć nie było to może najrozsądniejsze, bo jej biała płócienna sukienka odznaczała się wyraźnie na tle ciemnych konturów. Jednak tak zrobiła, bo idąc przy skraju drogi, łatwiej mogła wpaść na śpiącego zbója.

Szła nieco na oślep, ale czuła, że wybrała dobrą drogę i idzie do Stoków, niewielkiej wsi, w której Andruszkiewiczowie postawili malutki letni folwark. Zaczęła się już martwić o to, czy zaczekać do rana z tak pilną sprawą, czy zbudzić śpiącą szlachtę od razu, gdy wtem ujrzała migotliwy płomień ogniska tłący się żywo w poszyciu. Żadnych głosów nie słyszała, choć ognisko paliło się blisko. Po przejściu kilku kroków Wanda wyraźniej widziała płomień. Nie oświetlił on jednak żadnej twarzy, więc dziewczyna domyśliła się, że ludzie musieli odejść od ogniska w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia.

Jeśli czekają w krzakach aż ktoś będzie przejeżdżał, to już jestem martwa – pomyślała i zanim wszystko rozważyła, schowała się za drzewem rosnącym przy drodze.

Skradała się między drzewami, ciężko oddychając z emocji, ale żadna ręka na razie jej nie pochwyciła. Szła więc dalej, ze strachem łowiąc każdy szelest. Była już cała rozdygotana, a chłodny wiatr smagał jej zaróżowione policzki, osuszając twarz z potu. Księżyc wyszedł na chwilę, ale Wanda nie poczuła ulgi. Przeciwnie, była jeszcze bardziej widoczna w swojej płóciennej sukience.

Mimo to udało jej się przemknąć i była już na wysokości ogniska, gdy usłyszała dwa męskie głosy należące zapewne do żebraków. Skryła się za drzewem i nasłuchiwała rozmowy.

– Byłem ostatnio w łódzkiej chacie. Dali mi jeść, dali gorzałki. Dobra rodzina, rzekłbyś. Ale jak im powrożyłem...

– Co wyszło?

– Same straszne rzeczy. Łódź lepiej omijać, bo tam się zdarzą okropności i niewinna krew zostanie przelana. Nie powiedziałem im wszystkiego, choć to oni będą winni całej tragedii.

Głosy ucichły i mężczyźni poszli w stronę ogniska. Wanda, która na chwilę przestała oddychać, by nie zwrócić na siebie uwagi włóczęgów, głęboko zaczerpnęła powietrza i znów poczęła skradać się między drzewami. Musiała robić to umiejętnie, by mężczyźni nie pomyśleli, że w poszyciu kryje się jakaś zwierzyna. Na szczęście udało jej się przebiec chyłkiem między wysokimi dębami i poszła dalej, nie oglądając się za siebie.

Była czwarta rano, kiedy Wanda dotarła do Stoków. Letni dworek Andruszkiewiczów wyglądał niepozornie, a służba jeszcze spała. Sobótkówna mocowała się ze sobą. Z jednej strony chciała od razu biec, by błagać Jezierskiego o pomoc, z drugiej wiedziała, ile znaczy godność szlachecka i jak bardzo zły humor Konrada może przekreślić jej plan.

Wśród tych wszystkich uczuć były też takie, nad którymi szczególnie trudno było jej zapanować. Nie wiedziała przecież, jak zareaguje na widok mężczyzny. Jej jasne oczy wodziły po folwarku, stajni i kuchni, chociaż nie spodziewała się zobaczyć Jezierskiego o tak wczesnej porze.

Niezdecydowana stała jeszcze kwadrans. Potem z przybudówki zaczęła wychodzić służba. Dziewki wypuściły kury i zaczęły szykować się do kuchennej pracy. Chłopi też już powychodzili i krzątali się po obejściu. Pobliskie chaty opuszczali wieśniacy.

Nie czekała dłużej. Gnana myślami o kacie i torturach pobiegła do służby Andruszkiewiczów.

– Muszę się zobaczyć z jaśnie wielmożnym panem Jezierskim – wydyszała, stając przed zdziwionymi wieśniakami.

– A ty to kto? – zapytała nieufna dziewczka w skromnej sukience.

– Ktoś, kogo jaśnie pan na pewno wysłucha.

Teraz otoczyło ją około dziesięciu wieśniaków, a każdy patrzył nieufnie, wręcz podejrzliwie. Wanda zauważyła mimo woli, że musi im się powodzić trochę lepiej niż chojeńskiej służbie, bo chłopskie chaty wyglądały solidniej, a ludzie byli szczęśliwi.

– Państwo nasi wyjechali stąd wczoraj – powiedziała ta sama dziewczka.

– Kiedy wrócą?

– Pewno w przyszłe lato – odpowiedziała służka, a Wanda poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

– To czemu nie pojechaliście z nimi? – zapytała rozpaczliwie.

– A bo to twoja sprawa? – wtrącił gburowato rosły chłop stojący przy dziewczce.

– Powiedzcie czemu, proszę! – krzyknęła Wanda i łyzy same pociekły jej po twarzy.

Chłop zmieszał się.

– Jaśnie pani Hanuszka przyjedzie tu na kurację świeżym powietrzem. To wdowa po żołnierzu Henryku Andruszkiewiczu i ciotka łaskawego pana oficera. Mamy jej dogadzać, choć oficer jej nie znosi i ona jego też – odpowiedział w końcu.

– Kiedy przyjedzie?

– A bo ja wiem? Chyba jutro. Ale już dziś wszystko ma być gotowe. Oficer zabrał wczoraj część swojej służby i pojechali na Litwę.

– Czy jaśnie pan Jezierski pojechał z nim? – załkała Wanda, choć znała odpowiedź.

– Tak – odrzekł zdziwiony chłop. – Wszyscy na Litwę pojechali, bo tam nasza kochana jaśnie wielmożna panienska Katarzyna została i na ślub z panem Konradem się szykuje. Wielkie to będzie święto.

Ale Wanda dłużej nie słuchała. Odwróciła od służby zalaną łzami twarz i pobiegła czym prędzej w las. Osunęła się pod starą wierzbą i na dobre zaczęła płakać. Podwójny cios spadł na nią znienacka i przerwał serce na pół jak szlachecka szabla.

Smukłe listki wierzby zwisały nad Wandą smutno, jakby chciały wyrazić żal. Ptaki śpiewały smętniej i nawet dzika zwierzyna nie podchodziła pod drzewo. Nie było już ukojenia dla Wandy, więc przeleżała pod wierzbą kilka godzin. Sama nie wiedziała, jak długo patrzyła w jasny prześwit nieba, a rześiste łzy spływał jej po twarzy i spadały na wyschniętą leśną ściółkę. Nienawiść narastała w niej z każdą chwilą, a poczucie beznadziei nie słabło. Nawet gdy niebo poczęło szarzeć, Wanda nie spuszczała zeń oka i wodziła po nim chabrowymi tęczówkami.

Zmierzchało, gdy się ocknęła. Wstała i poczuła nieznośny głód. Wydał jej się nienaturalny i pragnęła nie czuć go już nigdy. Własne życie wydało jej się beznadziejne i pełne ohydy, choć jeszcze niedawno była nieświadoma prawdziwej miłości i szczęśliwa. Naraz poczuła niechęć do Konrada.

Mógł zginąć na wojnie. Przynajmniej nigdy bym go nie poznała – myślała.

Pełna złych myśli postanowiła pójść do Łodzi i oddać się w ręce kata. Nie czuła już nadziei, która wypełniała ją jeszcze przed świtem. Podążyła środkiem traktu, nie zważając na to, że może spotkać hultajstwo i grabieżców. Nie miała im czego zaoferować. Czuła się tak, jakby zgubiła część duszy, albo i całą. Utkwiła martwy wzrok w ścieżce i szła, nie zastanawiając się, że zamierza oddać się w ręce śmierci.

Dopiero gdy widać było Łódź, podniosła oczy. Spojrzała na rozległe mieszczańskie pola i ugór, na którym dzieci pilnowały bydła. Ogarnęła wzrokiem łódzkie domy pokryte słomą i smętne zaniedbane podwórka. Na koniec przeniosła wzrok na Górki Plebańskie. Tam spoczywali dziaduszko Sobótko i Staszko Grosik. Tam skończyła się droga życia starej Kurylczakowej i wszystkich mieszczan, których pochłoneły wojny i zarazy. Górki wyglądały jak zwykle spokojnie. Cmentarz stał niewzruszony, a na nim drewniane krzyże powtykane w kopczyki.

Wanda na chwilę rozpromieniła się, gdy smukła wiązka zachodzącego słońca padła na Górki. Był to jednak dziki uśmiech, pełen rozdarcia i desperacji. Westchnęła i podążyła w kierunku pól, ku miastu, w którym spokojnie płynęły Ostroga i Jasień.

Była już niedaleko i domy zbliżały się z każdą chwilą, gdy nagle ujrzała, że ktoś biegnie w jej stronę. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że to Konrad. Wiedziała jednak, że to tylko złudzenia, bo gdy ponownie otworzyła oczy, zobaczyła czarną czuprynę poplątanych włosów, mieszczański strój i bose nogi. Gdy chłopak był już całkiem blisko, zajrzała w jego ciemne oczy, tak inne od kochanych oczu Jezierskiego.

– Wando, co ty tu robisz? Nie idź do miasta! – krzyczał Wiesio.

Pierwszy raz w życiu widziała płaczącego Wiesia. Dumny syn Żelichowskiej nie przypominał siebie. Znikła cała jego pewność siebie, a na zwykle pogodnej i pogardliwej twarzy tańczyły, niby w tercecie, przerażenie, wstyd i żal.

– Zakazuję ci iść do miasta! – krzyczał Wiesio, ale Wanda nie zamierzała go słuchać.

Zrobiła jeszcze kilka kroków, ale mężczyzna zagroził jej drogę.

– Nie pozwalam ci, nie możesz tam iść – mówił nieskładnie.

– Wszystko na nic. Pojechał na Litwę – oznajmiła Wanda i nagle zakręciło jej się w głowie z głodu i emocji.

– Wiem, wiadomość już tu przyszła. Wszyscy w Łodzi cię szukają – powiedział Wiesio. – Uważają, że czarodziejskimi sztuczkami wydostałaś się z lochu.

– To czemu mnie im nie przyprowadzisz? Twoja matka będzie zachwycona! – krzyknęła Wanda.

– Wando, ja przepraszam... – wyjąkał Wiesio i przytrzymał dziewczynę za ramiona. – Musisz na zawsze opuścić Łódź, bo inaczej cię zabiją.

– Umrę razem z matką. Jedyna z tego pociecha, że zawsze będziesz miał wyrzuty sumienia – syknęła Wanda z mściwą satysfakcją.

Wiesio zrobił dziwną minę.

– Zofia zmarła podczas tortur – szepnął, nie patrząc Wandzie w oczy.

Zagryzła wargę i dwie łzy pociekły jej po mokrym policzku. Jednak nie mogła już poczuć się gorzej. Przeczuwała przecież, że tak się stanie.

– Błagam cię, żebyś nie wracała do miasta. Nie przeżyjesz tam nawet minuty. Już nie chodzi o to, że kat cię dopadnie. Wcześniej ludzie cię rozszarpiają widłami. Ja przez cały dzień się kręcę przy drodze do Stoków i wypatruję, kiedy nadejdiesz.

Wiesio dopiero teraz odważył się spojrzeć Wandzie głęboko w oczy. Były mokre od łez i emanowały taką żalnością, jakby ujrzały naraz wszystkie tragedie świata.

Wanda o dziwo posłuchała Żelichowskiego. Wycofała się, nie zaszczycając sąsiada ani słowem.

– Ukryj się w krzakach, to ci wieczorem przyniosę mięsa z kapustą i chleb – krzyknął za nią Wiesio.

Nie odwróciła się.

XXVII



Nadszedł wieczór, lecz Wiesio nie mógł znaleźć Wandy. Trzymał pod koszulą jedzenie zwędzone z izby i nawoływał, ale nie pokazała się. Przypomniawszy sobie jej zacięty wyraz twarzy i łzy spływające po rumianych licach. Choć nie chciał, żeby płakała, ogarnął go srogi gniew. Wcześniej przecież pilnował, by uprzykrzyć Sobótkównie życie.

Duma nie miała już dla niego znaczenia. Wlazł w krzaki i począł szukać Wandy. Nawoływał ją raz ciszej, raz głośniej, ale odpowiadało mu milczenie. Czasem tylko liście zaszeleściły w ściółce albo dzięcioł opukał drzewo.

W tym samym czasie Konrad Jezierski spał mocnym, dobrym snem. Zatrzymali się wraz z oficerem i służbą pod Warszawą i oczekiwali aż znów wstanie słońce. Konrad śnił o chabrowych oczach i poczuł przez chwilę zawód, bo wiedział, że panna Katarzyna nigdy tak na niego nie spojrzy, choć zapewne bardzo go kocha.

Błękitne tęczę Wandy skrzyły się w słońcu i lśniły naturalnością. Olśniewająco piękne, niczym dwa szafiry, ale smutne, przerażająco zatroskane i wylęknione. Konrad nie mógł się obudzić, choć czuł, że sen

zmierza w złą stronę. Wyczuwał niepokój i bał się, że zaraz stanie się coś nieodwracalnego. Jednocześnie pragnął zgłębiać tajemnicę, której sednem była Wanda.

Zaczęła płakać. Czuł, że jego oczy też wypełniają gorzkie łzy. Widział łodziankę coraz słabiej, bo mgła wypełniała go od wewnątrz i emanowała z niespotykaną siłą, aż owładnęła całym drżącym ciałem. Nie widział już niczego. Zniknęły ostrość, kształty i sen się rozmazał. Policzki Konrada stały się dziwnie mokre i wiedział, że płacze. Płakał nad Łodzią, nad Rzeczpospolitą i nad Wandą, bo był pewny, że już nigdy jej nie zobaczy. Przeczucie ścisnęło mu gardło, miał wrażenie, że dusi go zmora. Męczył się tej nocy i z trudem oddychał, ale za nic nie potrafił zmusić ciała, by otrzeźwiało. Zawładnął nim głęboki sen. Nigdy więcej Jezierski nie przeżył tak przerażającej nocy.

Tymczasem nad Jasieniem było spokojnie i cicho. W oddali słabł gwar rozmawiających łodzian. Świerszcze cykały prastarą niezmienną melodię. Mrok spowił Rzeczpospolitą. Wanda wiedziała, że poza Łodzią nic na nią nie czeka, a widmo nędznego żywota żebraczki napawało ją obrzydzeniem i lękiem.

Przecież nie sposób żyć poza Łodzią – pomyślała smętnie. Spojrzała na pola i pomyślała o matczynych rękach, ojcowskiej szorstkości i ciepłe dziaduszkowego serca. Gdyby żył stary Sobótko, może wszystko byłoby inaczej. Ale umarł i to był koniec Łodzi, i koniec Wandy. Ludzie zdawali się to wiedzieć, choć bali się przyznać przed sobą, że miasto ich pochłania i wciąga w czeluść. Czarna dziura. Oto, czym stała się Łódź.

Jeszcze ostatni rzut oka na ciemne Górki. Jeszcze jedno zasłuchanie w prastarą muzykę świerszczy niezmienną od stuleci. Wdech, bo powietrze

czyste i świeże po zmroku. I myśl, ta ostatnia, najgorliwsza ze wszystkich. Ta, która najbardziej płonie w umyśle i nie daje się zgasić ani wyrzutami sumienia, ani euforyczną radością.

Wanda popatrzyła w rwącą toń Jasienia. Zamknęła oczy, by nie oglądać już więcej miasta. Potem skoczyła w rzekę i nie wynurzyła się.

Konrad Jezierski obudził się zlany potem.

Słowniczek dawnych nazw i określeń



ad personam (z łac.) – o konkretnej osobie, w stosunku do konkretnej osoby lub ze względu na konkretną osobę

afekt (z łac.) – uczucie miłości lub sympatii do kogoś

arkebuz – długa ręczna broń palna gładkolufowa używana od XV do XVII w.

bakałarz – w dawnej Polsce nauczyciel w szkole parafialnej

bandura – ukraiński ludowy instrument strunowy

czarna polewka – nieprzyjęcie oświadczyn, danie kosza

dragonia – formacja wojskowa, w której żołnierze walczyli pieszo, a poruszali się konno; używali broni palnej i białej

dzieża – naczynie z drewnianych klepek i obręczy służące do rozczyniania mąki i wyrastania ciasta chlebowego

fasa – drewniane naczynie, które kształtem przypominało beczkę, rozszerza się ku dołowi; najczęściej wykonane z klepek spiętych obręczami stalowymi. Miało dopasowaną pokrywę

fraucymer (z niem.) – kobiety należące do dworu, służące królowej i damy dworskie

hultaj – człowiek wolny, najemnik, nieosiadły wyrobnik

kahał (z hebr.) – zarząd żydowskiej gminy wyznaniowej

karwasz (z węg.) – część zbroi, rodzaj płytowego zarękawia o łyżkowatej formie, pochodzenia wschodniego; płyta wypukła tzw. łyżka, która chroniła przedramię od łokcia do nadgarstka

krajczy – urzędnik dworski, który miał obowiązek krajania potraw na stół królewski; potem tytuł honorowy

kramnica – przednia część domu, gdzie wystawiano towary na sprzedaż (kram w przedniej części domu)

kurhan – mogiły w kształcie kopca o kształcie stożkowatym lub zbliżonym do półkulistego

liberum veto (z łac.) – nie pozwalam, zasada umożliwiająca w przypadku protestu jednego posła zerwanie sejmu i uchylenie przyjętych ustaw bez obowiązku podania przyczyny sprzeciwu

litkup – przypieczętowanie większej transakcji (np. zakupu konia) poprzez wspólne toasty na koszt nowego właściciela

luter – w dawnej Polsce protestant

majdeburskie obyczaje – tortury

misiurka – rodzaj hełmu pochodzenia wschodniego

murwa – prostytutka

oczerety – rośliny tworzące szuwary

patrzyć spod byka – patrzyć wrogo i nieufnie

płanetnicy – postacie z wierzeń słowiańskich, demoniczne lub półdemoniczne istoty posiadające dar kierowania chmurami

pogłównie – w dawnej Polsce podatek pobierany „od głowy”; nie dotyczył dochodu, lecz osoby

proconsul Antiquae Varsaviae – burmistrz Starej Warszawy, był pierwszym urzędnikiem miasta

rajtaria – w Polsce, od XVI w. do XVII wieku, lżejsza jazda cudzoziemska uzbrojona w rapiery i pistolety

rekuza (za łac.) – odmówienie ręki kobiety starającemu się o nią mężczyźnie

rusznica – dawna ręczna długa broń palna, strzelba

samopał (z ros.) – długa czarnoprochowa ręczna broń palna, używana w XVI–XVII w. przez Kozaków na Ukrainie, w Rosji i Białorusi

stratus – chmura w postaci jednolitej białej lub szarawej warstwy

tatarczuch – słodki ciemny chleb wypiekany z mąki gryczanej; bywa określany jako placek

tuwalnia – ozdobny ręcznik do wycierania rąk

tynf – srebrna złotówka polska o nominalnej wartości trzydziestu groszy.

Wybijana w latach 1663–1666 na masową skalę

vivente rege (z łac.) – sposób wyboru nowego króla za życia jego poprzednika. Tym sposobem najczęściej władcy chcieli mianować na tron potomków.

węgrzyn – w dawnej Polsce nazwa win pochodzących z Węgier

zamtuz – dom publiczny

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warszlatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

POLECAMY



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387



Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

Rozdział XXV

Rozdział XXVI

Rozdział XXVII

Słowniczek dawnych nazw i określeń

Karta redakcyjna

Copyright © Oficynka & Ewa Popławska, Gdańsk 2020

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2020

Opracowanie redakcyjne: Jolanta Zientek-Varga

Korekta: zespół

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: shutterstock.com © Anneka,

© Subbotina Anna, © EA09 Studio

ISBN 978-83-66613-75-1



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek